BUDAPESZT MIĘDZY MOSKWĄ A KIJOWEM

Po pierwsze, Węgry! – kulisy polityki zagranicznej Orbána

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 20/476 16–22 MAJA 2022

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

Warzecha ocenia polskie sankcje przeciw Rosji

NIEZNANE KARTY HISTORII PRL: TWARDE ROZMOWY KARD. WYSZYŃSKIEGO Z GOMUŁKĄ

Katastrofa polskich ciułaczy bankowych

CZYM SIĘ SKOŃCZY TA WOJNA?

Piszą:
Marek Jurek, Piotr Semka, Rafał A. Ziemkiewicz, Wojciech Golonka

ISSN 2299-9800
Nr indeksu 288 829
Nakład: 54 000 egzemplarzy

NARODOWY BANK POLSKI informuje:

Podwyższona inflacja, z którą zmaga się polska gospodarka, ma swoje źródła przede wszystkim w czynnikach zewnętrznych, wśród których należy wskazać:

- wzrost cen surowców energetycznych i żywnościowych wskutek rosyjskiej agresji przeciw Ukrainie,
- zaburzenia produkcji związane z kryzysem pandemicznym,
- rosnące koszty transportu.

Zjawisko rosnących cen ma charakter międzynarodowy. **Poziom inflacji – 7,4% w strefie euro w marcu 2022 r. był najwyższy w historii,** ale w wielu państwach wzrost cen był jeszcze wyższy:

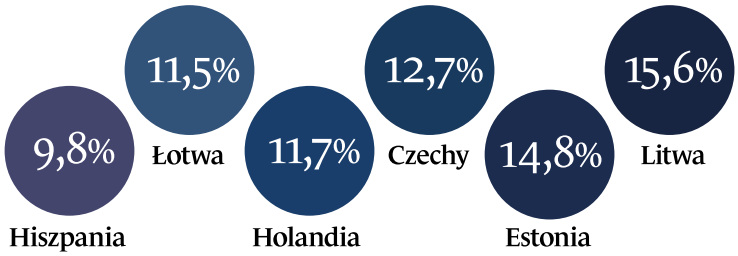

W Stanach Zjednoczonych inflacja osiągnęła poziom najwyższy od 40 lat. **Średnia inflacja w Polsce w ostatnich sześciu latach wyniosła 2,9%*, a zatem była zgodna z celem inflacyjnym NBP wynoszącym 2,5% ± 1 pkt proc.**

Ograniczenie wzrostu cen wymaga zwiększenia stóp procentowych. **Obecna stopa referencyjna – ustalona przez Radę Polityki Pieniężnej – wynosi 4,50%, co oznacza powrót do poziomu z listopada 2012 r.** Najwyższy poziom podstawowej stopy procentowej za kadencji Prezesów NBP dla porównania wyniósł:

- 36,00% – prof. Hanny Gronkiewicz-Waltz,
- 19,00% – Leszka Balcerowicza,
- 4,75% – prof. Marka Belki,
- 4,50% – prof. Adama Glapińskiego.

W ubiegłym roku Narodowy Bank Polski wypracował niemal 11 mld złotych zysku, z czego 95%, czyli prawie 10,43 mld złotych zasili budżet państwa. **Suma wpłat do budżetu państwa dokonanych w czasie jednej kadencji (6 lat) prof. Glapińskiego jest niemal tak duża, jak łączne wpłaty za dwóch kadencji (12 lat) – prof. Belki i Balcerowicza:**

43,3 mld zł – prof. Adama Glapińskiego,
23,6 mld zł – prof. Marka Belki,
21,5 mld zł – Leszka Balcerowicza.

Dane na dzień 28.04.2022
*średni poziom inflacji za okres 07.2016–03.2022

eprasa.pl d61c8fc90f

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Wielkie nawrócenie pani Mosbacher

To, że ludzie z dnia na dzień zmieniają swoje zapatrywania, nie wydaje się w dzisiejszych czasach zdumiewające. Przeciwnie – w tym zmiennym świecie właśnie brak zmiany mógłby zaskakiwać. Dlatego nie zdziwiło mnie szczególnie, kiedy to swego rodzaju nawrócenia, najwyraźniej wskutek agresji Rosji na Ukrainę, doznała była ambasador USA w Polsce, Georgette Mosbacher. Choć wyrazistość, z jaką występuje teraz, wspierając Warszawę, może budzić zdumienie. Nazwać ją neofitką to chyba za mało.

5 maja mówiła, że „Polska powinna otrzymać Pokojową Nagrodę Nobla za pomoc ukraińskim uchodźcom". W innej rozmowie dodawała: „Polska jest dzisiaj najważniejszym państwem regionu, które koordynuje politykę humanitarną oraz transport broni na Ukrainę. Jesteście w pełnym tego słowa znaczeniu wschodnią flanką NATO – kluczowym elementem architektury bezpieczeństwa kontynentu".

Wcześniej, bo w marcu, twierdziła, że „wygląda na to, że w sercu Europy musiała wybuchnąć krwawa wojna, żeby niektórzy – zwłaszcza Niemcy – uświadomili sobie konsekwencje wiązania się umowami handlowymi z Moskwą". I dodawała: „Uważam, że Polsce należą się przeprosiny ze strony Unii i USA". Wszystko to brzmi bardzo pięknie. Nie mniej szlachetnie niż jeszcze jedno twierdzenie: „Unia zajmuje się w tej chwili praworządnością w Polsce i debatuje nad sankcjami. Pora powiedzieć to głośno – jeśli chodzi o problemy z praworządnością, to spora część z tego, co docierało na Zachód, była efektem rosyjskiej dezinformacji. Zarówno Unia, jak i Ameryka przyjmowały ją bezkrytycznie" – twierdziła. Wprawdzie w rozmowie z panią Mosbacher pojawiło się pytanie, jak należy traktować jej wcześniejszą krytykę Polski, ale odpowiedź była już bardziej enigmatyczna: „Owszem, tam, gdzie trzeba było, krytykowałam". Okazuje się jednak, że „Polska ma problemy z sądami, ale wierzę, że to etap przejściowy. Gdyby było tak źle, jak to przedstawiają w Brukseli, amerykańskie firmy nie inwestowałyby nad Wisłą miliardów dolarów".

Być może już całkiem straciłem pamięć, ale mam osobliwe wrażenie, że co się tyczy mediów i tzw. lex TVN, to głównym promotorem ataków na polski rząd i gróźb pod jego adresem była jednak nie Unia, ale USA. Podobnie przypominam sobie, że to pani ambasador potrafiła wpływać na kształt polskich ustaw, wzywać do siebie ministrów i zachowywać się w sposób w najwyższy sposób osobliwy. Zresztą ośmielam się przypomnieć, że to również z jej ust jako ambasadora padły najostrzejsze chyba w ogóle słowa, które pod adresem Polski wypowiedział publicznie jakikolwiek dyplomata, kiedy to mianowicie ogłosiła, że „Polska jest po złej stronie historii". Zakładam, że te wypowiedzi nie były, jak to twierdzi teraz była ambasador, „efektem rosyjskiej dezinformacji", ale reprezentowały jej własne stanowisko, a ściślej postawę Waszyngtonu.

Nie przypominam tego wszystkiego dlatego, że chciałbym jątrzyć i wypominać. Czy to się nam podoba czy nie, pani Mosbacher reprezentowała w Polsce amerykańskie interesy i dla ich obrony nie wahała się wpływać, wbrew racji Polski, na politykę. Stała się nieformalną rzeczniczką najbardziej antyrządowej stacji telewizyjnej tylko dlatego, że ta była i jest kontrolowana przez amerykański kapitał. Dzisiaj pani Mosbacher przeszła metamorfozę i mówi rzeczy, których Polacy uwielbiają słuchać i które zawsze budziły wśród nas entuzjazm. Albo też dzisiaj zmieniła się sytuacja i była ambasador mówi rzeczy, o których wie, że Polacy bardzo pragną je słyszeć.

Jednak o jej urzędowaniu warto pamiętać. Była to przecież przedstawicielka największego politycznego przyjaciela polskiej prawicy, czyli Donalda Trumpa. Mimo to wszędzie tam, gdzie uważała, że interes jej kraju tego wymaga, nie wahała się postępować stanowczo, ba – brutalnie. Piszę o tym teraz, bo mam wrażenie, że nauka, jaką Polacy – tak publicyści, jak politycy – powinni wyciągnąć z tych kilku lat urzędowania pani ambasador, została natychmiast zapomniana.

Jest rzeczą oczywistą, że dobre stosunki z USA są podstawą polskiego bezpieczeństwa, ale nie oznacza to jeszcze, że interesy Waszyngtonu i Warszawy są zawsze tożsame. To, co dla Amerykanów może być choćby rozgrywką z odległą Moskwą, dla Polski może być, w sytuacji rozlania się wojny na Ukrainie, bezpośrednim ryzykiem. Czy nasz cel polega na tym, by wojna przy polskiej granicy trwała jak najdłużej? Dlatego z rosnącym niepokojem obserwuję falę zauroczenia Ameryką, tak jakby wierne podążanie za USA Joe Bidena miało być receptą na wszelkie zagrożenia. Przyjaźń i partnerstwo, szczególnie z mocarstwem światowym, to wielkie wartości. Obawiam się wszakże, że niektórzy od tej świadomości dostają zawrotu głowy. ©℗

eprasa.pl d61c8fc80f

TEMAT TYGODNIA

14 MAREK JUREK
WOJENNY KLINCZ
Jakich warunków pokoju chcemy?

16 PIOTR SEMKA
CZY ROSJA MA CZAS?

18 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
UPADEK, ALE POWOLNY

20 WOJCIECH GOLONKA
ZDERZENIE GIGANTÓW

KRAJ

22 ROZMOWA Z ANNĄ MARIĄ SIARKOWSKĄ
RACHUNEK ZA PANDEMIĘ
Przydałaby się komisja śledcza

24 ŁUKASZ WARZECHA
SANKCJAMI NA OŚLEP

26 TOMASZ ROWIŃSKI
BŁĄD POLITYCZNY

KULTURA

28 JOANNA BOJAŃCZYK
JAK PRZEMIJAJĄ RZECZY
Opowieść o przedmiotach

30 ROZMOWA Z PROF. RAFAŁEM WIŚNIEWSKIM
KREATYWNOŚĆ I PRACA U PODSTAW

32 PIOTR GOCIEK
WSZYSTKO W RODZINIE

NIE PRZEGAP

34 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

40 OLIVIER BAULT
PO PIERWSZE, WĘGRY!
Wojenne pozycje

44 PAWEŁ CHMIELEWSKI
REZYGNACJA ZE ZBAWIENIA

HISTORIA

46 RAFAŁ ŁATKA
GOMUŁKA KONTRA KARD. WYSZYŃSKI
Spotkania 1957–1963

50 PIOTR SEMKA
HERCEGOWINA FLOR, CZYLI CZERWONY DYMEK Z PAPIEROSA

ŚWIAT

56 MACIEJ PIECZYŃSKI
SŁAWA BOHATEROM?
Podziw i szacunek

60 MAŁGORZATA WOŁCZYK
ZIMNE WOJNY GAZOWE

62 ROZMOWA Z CAROL TOBIAS
PRZEŁOMOWY CZAS DLA PRO-LIFERÓW

EKONOMIA

64 ŁUKASZ ZBORALSKI
PRZEKOPANA NADZIEJA
Mierzeja Wiślana startuje

68 JAKUB WOZINSKI
OSZCZĘDNEMU ZAWSZE WIATR W OCZY

SPORT

72 RADOSŁAW WOJTAS
WANDA, CZYLI ŻYWIOŁ
W trzydziestolecie ostatniej góry Wandy Rutkiewicz

O ZDROWIU

74 KATARZYNA PINKOSZ
NOKAUT W PORÓWNANIU Z „CHEMIĄ"
Nowoczesne leczenie chłoniaka już w Polsce

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (54), PRZYBYLSKI (59), GABRYEL, WARZECHA (70), KOMUDA (78), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), NOWAK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl d61c8fc80f

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Propaganda, czyli broń

Zakupy nowoczesnej broni, zwiększanie zasobów WOT, dbałość o bezpieczeństwo cybernetyczne kraju – to koszty liczone w miliardach, ale niezbędne, jeśli mają skutecznie odstraszać potencjalnego napastnika. Istnieje jednak równie efektywny, a być może w dłuższej perspektywie bardziej opłacalny system obrony, którego koszt liczony jest już „tylko" w milionach. Mam na myśli broń propagandową, której zadaniem jest pozbawienie potencjalnego agresora oparcia we własnym społeczeństwie. Agresja Rosji na Ukrainę była możliwa m.in. dlatego, że popierała ją ogromna większość społeczeństwa rosyjskiego. Przez co najmniej kilka lat media (zwłaszcza zaś wciąż ciesząca się w Rosji popularnością telewizja) kreowały taki obraz świata, który za swój uznały miliony Rosjan. Głównie dlatego, że był to właściwie jedyny przekaz (oparty na fałszywie interpretowanej historii), który do Rosjan docierał i tworzył spójny, logicznie skonstruowany obraz sytuacji Rosji. […]

Ową pieczołowicie budowaną przez (przyznaję – profesjonalnych) propagandystów Putina propagandę czas zacząć burzyć, czas wyjmować cegła po cegle z tego muru kłamstw, przeinaczeń i fałszywych obrazów. Nie ma na co czekać, należy stworzyć system propagandy, oparty na rzetelnie sprawdzonych faktach i równie rzetelnej ich interpretacji. Okolica tzw. przesmyku suwalskiego to idealne miejsce do transmisji programu telewizyjnego i radiowego w języku rosyjskim, który zburzy rosyjski mur propagandowy w obwodzie kaliningradzkim. A długa granica Finlandii z Rosją pozwoli na docieranie takich programów na tereny przygraniczne. Podobnie wygląda sytuacja, jeśli idzie o granicę ukraińsko-rosyjską. To tylko część potencjalnych odbiorców. Pozostali (czyli w praktyce wszyscy Rosjanie) powinni mieć możliwość oglądania rzetelnie informującego programu TV i radiowego dzięki przekazowi satelitarnemu i internetowemu. Strategia rozbrajania potencjalnego wroga poprzez dobrze prowadzony przekaz informacyjno-propagandowy powinna być oczkiem w głowie NATO i ta organizacja powinna program sfinansować. Zanim podjęte zostaną odpowiednie decyzje na wysokim szczeblu (o ile faktycznie zapadną), warto projekt rozpocząć już teraz, dogadując się z tymi, którzy są przez Rosję najbardziej zagrożeni. Medialna koalicja Polski, posowieckich państw bałtyckich, Finlandii i – rzecz jasna – Ukrainy – to broń potencjalnie bardziej efektywna niż czołgi i rakiety. Jak taką bronią profesjonalnie i skutecznie operować, jakie powinny być jej elementy konstytutywne – to już wymagałoby dłuższego wywodu, którego w tym liście nie zmieszczę.

dr Stanisław Danielewicz

Wyjaśnienia

W moim tekście „Układ w Rapallo" (poprzedni numer „Do Rzeczy") wkradł się głupi błąd polegający na pomyleniu włoskiej Genui – jak powinno być! – ze szwajcarską Genewą, która akurat z układem w Rapallo w 1922 r. nie miała nic wspólnego. Ubolewam…

Maciej Rosalak

W tekście Grzegorza Kondrasiuka „Jamci Go po chlebie poznał" („DRz" 16/2022), recenzującym spektakl Teatru im. J. Osterwy w Lublinie pt. „Historyja o chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim", pomyłkowo zamieściliśmy fotografię z innego spektaklu, za co przepraszamy.

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczyk-Stefaniak**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Contributor/Getty Images, Ukraine Presi/Zuma/Forum, Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 54 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl d61c8fc80f

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

PiS wciąż ma większość

Który to już kryzys w sześcioletnich rządach PiS mozolnie rozbraja? Jarosław Kaczyński znalazł wymaganą większość do ponownego wyboru Adama Glapińskiego na szefa NBP. Szef narodowego banku to jeden z najstarszych towarzyszy politycznej drogi lidera PiS. Kaczyński i Glapiński działają razem od ponad 30 lat. Nic dziwnego, że dla Kaczyńskiego głosowanie nad kandydaturą Glapińskiego było prestiżowym wyborem. Szef NBP i stojący za nim PiS walczyli o bardzo długą, sześcioletnią kadencję.

Ale dodatkowo głosowanie nad kandydaturą Glapińskiego było testem, czy PiS wciąż ma sejmową większość. Jak się okazało, owszem – ma. Wysłannicy prezesa Kaczyńskiego dotarli na czas do odpowiedniej liczby posłów niezrzeszonych i kukizowców. Za drugą kadencją prezesa NBP było wszystkich 228 posłów z klubu Prawa i Sprawiedliwości, a także trzech posłów Kukiz'15 – Paweł Kukiz, Jarosław Sachajko i Stanisław Żuk. Czwarty kukizowiec – Stanisław Tyszka – nie wziął udziału w głosowaniu. Na Glapińskiego głos oddali również Zbigniew Girzyński z koła Polskie Sprawy oraz dwóch posłów niezależnych – Łukasz Mejza i Zbigniew Ajchler. Tego samego dnia Sejm wybrał kandydatów do Krajowej Rady Sądownictwa. I znów znalazła się odpowiednia większość mimo sprzeciwu opozycji.

Teraz Kaczyńskiemu pozostaje ostatnia konkurencja w tym politycznym trójboju – zebranie większości do przegłosowania zmian w ustawie o Sądzie Najwyższym na posiedzeniu Sejmu w końcu maja. Do tego czasu Kaczyński i prezydent Andrzej Duda muszą znaleźć sposób, by skutecznie rozbroić wątpliwości Solidarnej Polski przed zmianami w Ustawie o Sądzie Najwyższym. PiS chce zaspokoić wymagania Brukseli, ale musi uważać, by nie spowodować chaosu w wymiarze sprawiedliwości. Rozpolitykowani sędziowie spod znaku stowarzyszenia Iustitia z chęcią rozpoczną wendetę mającą upokorzyć zwolenników zmian. Z kolei prezydencki szef gabinetu Paweł Szrot twardo stoi na stanowisku, że w ustawie musi znaleźć się instytucja testu bezstronności i niezawisłości sędziego. Jeśli ta praktyka testu będzie stosowana masowo, to może sparaliżować wymiar sprawiedliwości. Przez kolejne dni zobaczymy, jaki może być kształt kompromisu między obawami ziobrystów a obozem prezydenta i PiS.

Ale na zderzenie czołowe i przyspieszone wybory raczej się nie zanosi. Za mało jest czasu do wyborów, by obie strony ryzykowały polityczny rozwód. A Mateusz Morawiecki pilnie potrzebuje unijnych pieniędzy z KPO. Inaczej niełatwo będzie mu spiąć budżet. Bruksela dobrze zapamięta sobie tę lekcję. Polityczni euroszantażyści z Komisji Europejskiej poczekali na sytuację kryzysową i teraz liczą na zgięcie karku przez PiS w sprawie reformy sądów.

Pytanie, jak teraz prezydent Duda, przewodniczący Kaczyński i minister Ziobro chcą połączyć ogień z wodą – zaspokoić żądania Komisji z ocaleniem założeń reformy sądownictwa. Wyborcy PiS nie mają bowiem ochoty oglądać triumfujących twarzy sędziego Igora Tulei i Marcina Matczaka. ©℗

FOT. SARAH YENESEL/EPA/PAP

NAJDROŻSZA MARILYN

Portret Marilyn Monroe autorstwa Andy'ego Warhola został w ubiegłym tygodniu sprzedany na aukcji w siedzibie Christie's w Nowym Jorku za 195 mln dol. To oznacza, że portret powstały w 1964 r. (dwa lata po śmierci ikony Hollywood) stał się najdroższym dziełem sztuki XX w., które sprzedano na publicznej aukcji. Natomiast najdroższym dziełem w ogóle wśród dzieł wystawianych na aukcjach jest wciąż „Salvator Mundi" Leonarda da Vinci sprzedany w 2017 r. za ponad 450 mln dol. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl d61c8fc80f

KOSZULKA MĘSKA POLSKI ORZEŁ

Z NASZYTĄ SUBLIMOWANĄ
BIAŁO-CZERWONĄ OPASKĄ

KULTOWA MARKA ODZIEŻY PATRIOTYCZNEJ I TOŻSAMOŚCIOWEJ

W PEŁNI POLSKA PRODUKCJA

ZAMÓWIENIA INTERNETOWE
www.redisbad.pl

ZAMÓWIENIA TELEFONICZNE
506 184 306

SKLEPY STACJONARNE
Warszawa
· ul. Jagiellońska 88/24
· Plac Piotra Szembeka 4

RED IS BAD™

eprasa.pl d61c8fc80f

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Akademia Przegrywu

Z boku się szczerzy garstka młodzieży, młodzież też przyszła, bo też należy" – „Egzekutywa", stara parodia wiersza Tuwima, ożyła w mej pamięci, gdy dowiedziałem się, że młodzież działająca w PO będzie miała w tym roku już nie jeden szkoleniowy kampus, ale dwa. Ten pierwszy po staremu urządza Rafał Trzaskowski. Nad drugim „merytoryczny nadzór" sprawować ma Radosław Sikorski, co samo w sobie jest gwarancją kolejnego wielkiego sukcesu, ale powszechnie impreza ta nazwana jest w PO „kampusem Tuska".

Złe języki rozpowiadają, że p.o. przewodniczący PO zazdrosny jest o zeszłoroczny sukces jej wiceprzewodniczącego i stąd właśnie potrzeba przyćmienia jego kampusu kampusem własnym. Trudno w to uwierzyć. Bo jakim tam niby sukcesem była ubiegłoroczna impreza Trzaskowskiego? Jedyne, co się z niej przebiło do opinii publicznej, to „opiłowywanie katolików" i obcesowe odesłanie przez lewicowy narybek Leszka Balcerowicza do politycznej zajezdni.

Organizatorzy obu kampusów zapewniają, że chodzi o to, żeby partyjna młodzież się uczyła polityki. Tylko czego mogą jej nauczyć ludzie, których cała polityczna wizja i mądrość zawierają się w kilku prostych jak uderzenie cepa okrzykach: „PiS jest zły, my dobrzy", „Europa naszą prawdziwą ojczyzną" i „Władza nam się zwyczajnie należy, bo jesteśmy elitom". Całe szkolenie ideologiczne zajmie najwyżej dwie minuty. Więcej czasu można poświęcić oczywiście politycznej technologii, ale do tego trzeba by wziąć jakichś ekspertów spoza PO. Bo czego mogą swą młodzieżówkę nauczyć ludzie, którzy od lat przegrywają wszystko, co można, i nawet to, czego na zdrowy rozum przegrać się nie da? O tym, jak wrócić, żeby wyleczyć masy członkowskie z entuzjazmu, wygłosi pogawędkę Donald Tusk, a Bronisław Komorowski zrobi łorkszop, jak mając wszystkie atuty w ręku, przegrać z kontrkandydatem, o którym pół roku wcześniej nikt nie słyszał? A na koniec ktoś udowodni, że doświadczenie ostatnich wyborów europejskich oraz niedawnych na Węgrzech dowodzi, iż jedna lista zwycięży.

Ten ostatni będzie musiał być naprawdę wygadany, aż sam jestem ciekaw. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Skąd to zdziwienie?

Wezwanie Marca Impagliazza, przywódcy Comunità di Sant'Egidio, by „modlić się o pokój, a nie o zwycięstwo", wywołała konsternację. Nie chodzi o apel o modlitwę o pokój w czasie wojny, bo chrześcijanie w tej intencji modlą się codziennie, w czasie wojny szczególnie. Rzecz w charakterystycznym manichejskim przeciwstawieniu pokoju i walki. Pius XII (w podobnych warunkach jak dziś, w czasie powstania węgierskiego w 1956 r.) pisał, że gdy „religia jest żywym dziedzictwem przodków – ludzie traktują jako krucjatę każdą walkę, do której zmusza ich niesprawiedliwość nieprzyjaciół". Z naszej zaś historii wiemy najlepiej, że Bóg i Jego Matka nie odwracają się od walczących.

Deklaracja lidera Sant'Egidio budzi zrozumiałą odrazę, ale konsternację, którą wywołała, zrozumieć jednak trudno. Doskonale się bowiem wpisuje w irenistyczną ideologię i działalność tego stowarzyszenia. Od ćwierć wieku Sant'Egidio entuzjastycznie promuje oficjalne ceremonie modlitw międzyreligijnych i „ducha Asyżu". Pierwsze spotkanie w Asyżu nie tylko położyło się cieniem na pontyfikacie św. Jana Pawła II, lecz także zapoczątkowało dryf doktrynalny i duszpasterski, którego aktualnym punktem dojścia jest deklaracja z Abu Zabi, promująca (odrzuconą przez Kościół) antyuniwersalistyczną teologię pluralizmu religijnego. Cóż więc dziwnego, że obrona ziemskiej Ojczyzny nie ma większego znaczenia dla wspólnoty, która nie uważa za konieczne głoszenia i obrony prawdy katolicyzmu?

Do tej pory tych konsekwencji współczesnego kryzysu duchowego nie zauważaliśmy, bo dopóki na horyzoncie nie widać Rosji, dopóty sami jesteśmy skłonni bagatelizować wszelkie dramaty i dylematy naszej cywilizacji. Jeszcze niedawno wierzyliśmy, że u nas jest, jak było zawsze, a duchowe i moralne „dziwactwa" Zachodu nas w ogóle nie dotyczą. A teraz się dowiadujemy, że coś z nich jednak wynika dla wojny na naszych granicach i to coś bardzo dla nas niemiłego. ©℗

eprasa.pl d61c8fc80f

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Z najnowszych dziejów Włoskiej Partii Komunistycznej

8 maja we Włoszech hucznie obchodzono Dzień Zwycięstwa aliantów nad faszyzmem. Natomiast Włoska Partia Komunistyczna z Zagarolo pod Rzymem w tym dniu zaprosiła na pobliski cmentarz w Palestrinie, by – jak napisano na rozwieszonych plakatach – „oddać hołd Wielkiej Wojnie Patriotycznej Związku Radzieckiego, który uwolnił Europę od jarzma Bestii Faszystowskiej". Na cmentarzu pochowani są sowieccy partyzanci, głównie z Kaukazu. Zdezerterowali z oddziałów utworzonych tam przez Niemców i wysłanych na front włoski.

Na plakatach wielkimi literami napisano: „Zagarolo – Święto Zwycięstwa", ale wielkie i stylizowane „Z" na początku bardzo wyraźnie nawiązuje do symbolu armii rosyjskiej mordującej i rabującej na Ukrainie. A poniżej: „Związek Radziecki wyzwala Europę od nazifaszyzmu". Jest jasne, że chodzi nie tylko o fałszowanie historii, bo przecież Armia Czerwona nikogo nie wyzwoliła, co najwyżej zniewoliła na nowo, lecz także o solidarność z trwającą nieludzką „akcją specjalną" Putina.

W wydanym z tej okazji manifeście komuniści napisali rzeczy jeżące włos na głowie. Jak czytamy: „Dziś w świecie, jeśli chodzi o wojnę na Ukrainie, króluje jedna fałszywa narracja. Zrehabilitowane zostały symbole i gesty nazistowsko-faszystowskie. NATO i Unia Europejska zbroją batalion »Azow« – nazistów i banderowców. Italia wysyła broń, która używana jest przeciwko ruchowi oporu w Donbasie i jego rosyjskim sojusznikom. Nie godzimy się z tym ani z żadną formą porównywania nazizmu z komunizmem. My, komuniści, jesteśmy za Europą narodów od Lizbony po Ural, z neutralną i antyfaszystowską Ukrainą, za współpracą z Rosją, za pokojem i dobrobytem. Europa powinna wyzwolić się spod jarzma Stanów Zjednoczonych. Jesteśmy za Italią niezależną, poza strukturami NATO".

W końcu, po wielkiej awanturze we włoskich mediach, miejscowe władze zakazały organizowania żałosnej imprezy, bo uznały, że zakłóci ona porządek publiczny. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl d61c8fc80f

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jakoś tak przejęliśmy się informacją, iż Polska rozmawiała z Nigerią na temat zakupu ropy. Of kors nie mamy niczego do Nigerii, absolutnie.

Bardziej zastanawia nas inna sprawa: jak to się dzieje, iż prawie wszystkie kraje dookoła potrafią sobie produkować ropę, a ten kraj oczywiście nie. No popatrzcie sami: Rosja, Norwegia, Nigeria, a pewnie nawet i Niemcy, bo – jak wiadomo – oni potrafią wyprodukować wszystko.

Potem ktoś przykręci kurek i mamy problem. A może gdybyśmy nie utrzymywali jakichś „500+", gdybyśmy nie finansowali Kościoła, to mielibyśmy na produkcję własnej ropy? No chyba warto o tym przynajmniej pomyśleć, co?

Izba Dyscyplinarna nas interesuje znacznie bardziej z powodów, wiecie, prestiżowych i towarzyskich. W sensie: jakie stanowisko zająć, iżby wyjść na światłego obywatela. A tutaj: Ziobro swoje, Duda swoje. Jak my się mamy w tym odnaleźć?

A z tą Izbą Dyscyplinarną i zmianami w sądach to dajcie spokój, oszaleć można, kto to widział. Chcielibyśmy zająć jakieś stanowisko w tej sprawie, ale nie spodziewaliśmy się, iż będzie to aż do tego stopnia skomplikowane.

To znaczy of kors nie chodzi nam o poziom skomplikowania prawnego, jeśli chodzi o to, czy Izba powinna zostać czy też nie – tak sobie interesowaliśmy się tą sprawą, bardziej nas zaciekawiło, iż jedna z wiodących marek wypuściła na rynek trampki za bardzo dużo złotych, które wyglądają, jakby ktoś je wykopał w ramach znaleziska archelologicznego.

Kiedyś było jakoś łatwiej: Kaczyński jedno, to Tusk drugie – i na odwrót. A teraz sytuacja wygląda dla nas jak jakaś logiczna łamigłówka i serio nie wiemy, co o tym myśleć ani – co gorsza – co o sobie myśleć. Chyba poprzestaniemy na tym, iż chcemy, aby sądy były wolne – i tyle.

Jak wiecie, lubimy sobie czasem sięgnąć do różnych badań, aby dowiedzieć się, co Polacy myślą o świecie, i żeby móc się potem za nich powstydzić. No i znów sięgnęliśmy, nie zawiedliśmy się i możemy się wstydzić.

Otósh aż 97 proc. Polaków ma w domu telewizor. Wyobrażacie sobie? Pamiętajcie: jeśli pójdziecie na piwo z kolektywem znajomych i będzie was dziesięcioro, to będzie oznaczało, iż jedynie jedna trzecia jednego z was nie ma w domu telewizora. I mamy szczerą nadzieję, iż będziecie to wy.

Co gorsza, to ponad 70 proc. Polaków z telewizora czerpie wiedzę o świecie. Zupełnie, jakby nie było Internetu, a więc Twittera, TikToka, Instagrama, Fejsbuka i naszego wizjonerskiego fanpejdża.

Jak więc w tym kraju ma być dobrze, skoro nawet w poszukiwaniu informacji taki przeciętny wąsaty Janusz nie jest w stanie oderwać się od tradycyjnych patriarchalnych postaw? Młodsi czytelnicy tego nie pamiętają, ale niegdyś ganianie dzieci do przełączania kanałów było niemal polskim sportem narodowym.

A teraz janusze wysługują się dziećmi do przynoszenia pilota. I potem siedzi taki wąsaty Janusz patriarcha, ogląda „Wiadomości" TVP i już wszystko wie: für Deutschland, wina Tuska, ech. Zresztą co się dziwić, jakby taki Janusz wszedł na Twittera, to pewnie głowa by mu się przegrzała od nadmiaru informacji xD ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Tak sobie to ułożyłem

Mateusz, co ci powiedział ten Harrari, jak sami gadaliście?
Jak by ci to, Jacek... Najlepiej ci przeczytam transkrypcję, bo tu mam. No więc on mi powiedział: „Autonomiczne tendencje hiperspołeczne do indywidualnego odrywania się od ustalonych endemicznych dla danego kraju reguł postępowania będą musiały skutkować przywróceniem rudymentarnych zasad symbolicznej wymiany zabsolutyzowanych wartości imponderabilnych".

Aha. Ale to będzie drożej czy taniej? Bo czwarte mieszkanie chciałem kupić pod wynajem.
No... Tak prosto to ci nie wyjaśnię. Ja mu powiedziałem, że w Polsce transasocjalne protuberancje społeczne o charakterze piwotalnym nie mają takiego rezonansu ekonomiczno-symbolicznego jak w obszarach o ugruntowanej tendencji ku ekonomii grawitacyjnej.

Czyli że będzie drożej?
Nie wiem. Ten tekst to wczoraj sobie ułożyłem, z dwóch książek na chybił trafił pozlepiałem. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Morawiecki próbuje wmówić UE, że pomoc, jakiej Polacy udzielili uchodźcom, powinna dać Kaczyńskiemu wolną rękę w pacyfikacji sądów".

RADOSŁAW SIKORSKI, *europoseł KO, na Twitterze*

eprasa.pl d61c8fc80f

Nowy-stary prezes NBP

FOT. NBP

Adam Glapiński został ponownie wybrany na prezesa Narodowego Banku Polskiego i będzie pełnił tę funkcję przez kolejną kadencję.

O tym, że Glapiński pozostanie na stanowisku dłużej, w ubiegły czwartek zadecydowali w głosowaniu parlamentarzyści. Za przedłużeniem jego kadencji do 2028 r. opowiedziało się 234 posłów, przeciw było 223, a trzech nie wzięło udziału w głosowaniu. Większość bezwzględna wynosiła 229. Wśród popierających kandydaturę Adama Glapińskiego było 228 posłów Prawa i Sprawiedliwości, trzech posłów Kukiz'15, dwóch posłów niezrzeszonych oraz jeden poseł z koła Polskie Sprawy.

Przeciw Glapińskiemu w Sejmie zagłosowało 126 posłów Koalicji Obywatelskiej, 44 posłów Lewicy, 24 posłów Koalicji Polskiej, 11 posłów Konfederacji, ośmiu posłów Polski 2050, czterech posłów Porozumienia, dwóch posłów z koła Polskie Sprawy, trzech posłów z PPS i jeden poseł niezrzeszony.

Wybór prezesa NBP odbył się w czasie, gdy polska gospodarka zmaga się z wysoką inflacją. Działania mające przeciwdziałać musi podejmować Rada Polityki Pieniężnej, czyli organ Narodowego Banku Polskiego. Od października ubiegłego roku Rada nieprzerwanie podnosi stopy procentowe, by stłumić inflację. Stopa referencyjna wynosi aktualnie 5,25 proc.

Adam Glapiński ma 72 lata. Był współzałożycielem Porozumienia Centrum. W 1991 r. był ministrem gospodarki przestrzennej i budownictwa, a potem ministrem współpracy gospodarczej z zagranicą, posłem i senatorem. W 2009 r. był doradcą ekonomicznym prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego, a w latach 2010–2016 pełnił funkcję członka Rady Polityki Pieniężnej. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

SĘDZIOWIE WYBRANI DO NOWEJ KRS

W ubiegły czwartek Sejm wybrał 15 sędziów na członków Krajowej Rady Sądownictwa. Swoje kandydatury wskazały Prezydium Sejmu (osiem propozycji) oraz klub Prawa i Sprawiedliwości (siedem propozycji). Pozostałe kluby parlamentarne nie skorzystały z tego prawa.

Sędziów wybrano w drugim głosowaniu, gdy możliwe było to już przy bezwzględnej większości głosów (a nie przewagą trzech piątych głosów).

W składzie KRS na 15 sędziów aż 11 to dotychczasowi członkowie. Są to: Katarzyna Chmura, Dariusz Drajewicz, Grzegorz Furmankiewicz, Marek Jaskulski, Joanna Kołodziej-Michałowicz, Ewa Łąpińska, Zbigniew Łupina, Maciej Nawacki, Dagmara Pawełczyk-Woicka, Rafał Puchalski, Paweł Styrna.

Czterech nowych sędziów w Krajowej Radzie Sądownictwa to: była wiceminister sprawiedliwości i sędzia NSA Anna Dalkowska, sędzia Sądu Rejonowego dla Krakowa-Podgórza Irena Bochniak, sędzia Sądu Rejonowego w Nowym Targu Krystyna Morawa-Fryźlewicz oraz sędzia Sądu Okręgowego w Warszawie Stanisław Zdun. ***(luz)*** ©℗

NEKROLOG

Z ogromnym żalem żegnamy

ŚP.

Profesora Waldemara Parucha

Wielkiego, zasłużonego Polaka, Patriotę, znakomitego wykładowcę, wrażliwego działacza społecznego. Twórcę i pierwszego Szefa Centrum Analiz Strategicznych.

Rodzinie i Przyjaciołom kondolencje składają Szef i pracownicy Rządowego Centrum Analiz

eprasa.pl d61c8fc80f

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

Uwaga! Radziwiłłowie wracają w rodzinne strony! A konkretnie jeden, za to znany, czyli Konstanty. Uspokajamy Łukaszenkę, u którego znajduje się Nieśwież, gniazdo rodzinne Radziwiłłów – Konstanty nie wybiera się na Białoruś, ale na Litwę. Żeby uspokoić braci Litwinów – nie chce tam ani panować, ani odzyskiwać rodzinnego pałacu. Natomiast, owszem, będzie urzędował w pałacu. W pałacu Paców w Wilnie mieści się bowiem polska ambasada. A nowym ambasadorem ma zostać Konstanty Radziwiłł herbu Trąby.

Dużo gorzej idzie innym arystokratom. Wspominaliśmy już kiedyś o śledztwie w sprawie afery ziemiańskiej. Otóż koniec jest bliski, a za sprawą prokuratury na ławie oskarżonych oprócz przedstawicieli znanych rodów (Zamoyscy, Czartoryscy, Czetwertyńscy, Krasiccy czy Sobańscy) Korony i Wielkiego Księstwa ma też zasiąść jeden Burbon, a to już nie w kij dmuchał. Macronowi się nie spodoba. I to nas akurat cieszy.

W minionym tygodniu wiele emocji wzbudziło posiedzenie klubu PiS. Wedle mediów mówiono głównie o Ziobrze i Kukizie, ale to, co najważniejsze, działo się gdzie indziej. Mało kto zwrócił uwagę na skromnie brzmiące słowa „reorganizacja partii". Otóż w skrócie chodzi o to, by ambitni obecni posłowie chętni na kolejną kadencję grzecznie słuchali pełnomocników wyznaczonych do okręgów przez Nowogrodzką. Inaczej zostaną zreorganizowani.

Apropos reorganizacji. W minionym tygodniu w Reichstagu, zwanym dla niepoznaki Bundestagiem, ukonstytuowała się niemiecka część polsko-niemieckiej grupy parlamentarnej. Akces zgłosiła rekordowa liczba deputowanych: aż 54! Znakomita większość ma związki z Polską. Wielu się tu urodziło, równie wielu ma polskie żony. Szefem został Paul Ziemiak urodzony w Szczecinie. Jego rodzina nie dała się zgermanizować, bo rodzice nadal mówią do niego Paweł. Co więcej, Paweł zamierza posyłać swoje dzieci na lekcje polskiego.

Nawiasem mówiąc, Ziemiak, który jest w Niemczech rozpoznawalnym politykiem, narzeka, że kiedy jedzie na urlop do rodzinnego kraju, też nie może liczyć na anonimowość. Ostatnio bawił w Międzyzdrojach. I był powszechnie rozpoznawany. Otóż kurort ów upodobali sobie niemieccy emeryci, którzy są widzami niemieckich stacji informacyjnych, więc Ziemiaka znają, bo to młoda gwiazda CDU.

Potwierdzamy. Zły Donald z Sopotu chce latem konkurować z Rafciem Trzaskowskim własnymi imprezami typu Campus Polska. Jest jednak pewien problem. Otóż partyjne doły entuzjastycznie są nastawione do obozów radosnego ględzenia Rafcia, natomiast średnio entuzjastycznie do Donalda. I nawet obietnica pokazania im żywego Radka Sikorskiego niespecjalnie to zmienia. Według wiewiórek sentyment do Donalda mają już tylko platformersi z pokolenia Schetyny. Oczywiście bez Schetyny.

W związku z powyższym trwają gorączkowe poszukiwania autorytetów moralnych, które uatrakcyjniłyby ofertę Donalda. Kłopot w tym, że autorytety też wolą Rafcia. Naszym zdaniem do imprezy Donalda jak ulał pasowałby marszałkissimus Tomasz Grodzki. Skromny jak Sikorski, powściągliwy jak Tusk, uczciwy niemal jak Gawłowski. Ale nic z tego, Donald go nie cierpi. Proponujemy więc, by Grodzki zorganizował własną imprezę: Campus Szpital.

Emocje wzbudza info, jakoby Zły Donald z Sopotu lansował na osobę premiera niejaką Izabelę Leszczynę, za czasów PeŁo wiceminister finansów. Ha, ha, no dobrze, to był żarcik, jakie tam emocje. Ambicje Izabeli są niezmierzone, pół roku temu organizowała ruch poparcia kandydatury własnej osoby na prezydenta RP. Jeśli myśleliście, że Ewka Kopacz to najlepsze, co ma dla was Eine Totalopposition, to byliście w mylnym błędzie. Leszczyna przebija ją na każdym polu.

A teraz przypowieść. Dawno, dawno temu (czyli na początku kadencji europarlamentu) pewien eurodep wpadł na pomysł, że połączy swoje biuro z biurem asystentów i uzyska dzięki temu wejście z boku, przez antyszambr. Zgłosił swój pomysł. Odpowiedziano, że nic z tego. O sprawie zapomniał. Dwa i pół roku później pod jego nieobecność pojawili się w gabinecie niespodziewanie ludzie z młotami, żeby wywalić ścianę. Asystenci obronili ją, ryzykując własne życie. Przytaczamy tę opowieść, bo wciąż są ludzie, którzy narzekają na zbyt wolne działanie organów unijnych w sprawie Ukrainy. Kochani, wy naprawdę nic o Unii nie wiecie.

Apropos Ukrainy, warto zwrócić uwagę na wiadomość o Iwanie Miszczenko. To tamtejszy sędzia Sądu Najwyższego, który zamienił togę na karabin i poszedł na front. Towarzysze broni nadali mu fajną ksywę: Sędzia Dredd. Przytaczamy ową informację, by przypomnieć Polakom, że istnieją miejsca na świecie, gdzie sędziowie występują w obronie swoich krajów, a nie wręcz przeciwnie.

Idzie lato, pora lektur wakacyjnych. Z tej okazji ukazuje się Biblia. Niestety, nie jest to wersja znana dotąd. Jest to „Biblia queeru". Odnotowujemy to wydarzenie, bo wciąż żyją naiwniaki uważające, że wydawnictwo Znak ma coś wspólnego z Kościołem, chrześcijaństwem czy nawet rozumem. To już dawno nieprawda. O ile nie możemy podpisać się pod hasłem promocyjnym „święta księga queeru", o tyle pod drugim już tak: „Biblia, o jakiej nigdy ci się nie śniło". Zaiste, zaiste. ©℗

eprasa.pl d61c8fc80f

Polskie groty strzelają na Ukrainie

Oprócz pocisków przeciwlotniczych Piorun na Ukrainę trafia też inne polskie uzbrojenie. W Internecie pojawia się coraz więcej relacji ukraińskich żołnierzy, którzy używają polskich karabinków Grot.

Ukraińcy mówią, że to nowoczesna broń, „NATO-wska". Wśród zalet wymieniają lekkość i poręczność. Eksperci zajmujący się uzbrojeniem wskazują, że na filmach widać zarówno starsze, pierwsze konstrukcje polskiego karabinku, jak i udoskonaloną wersję grot C16A2.

Trudno znaleźć oficjalne informacje na temat przekazywania Grotów Ukraińcom – nie wiadomo więc, ile ich z Polski tam trafiło. Jednak obecność tej broni to znak, że polska konstrukcja zostanie teraz przetestowana w realiach wojennych. W ten sposób Grot może zbudować pozycję, która zaowocuje, gdy ukraińska armia będzie decydowała o swoim wyposażeniu.

Grot powstał w Polsce w ramach programu badawczo-rozwojowego „Modułowy System Broni Strzeleckiej kalibru 5,56 mm". Po wprowadzeniu tego uzbrojenia w polskich mediach pojawiały się teksty mające dowodzić jego nieprzydatności i złej konstrukcji. Zarzuty te odpierała Fabryka Broni „Łucznik", producent karabinka. ©℗

Łukasz Zboralski

NEKROLOG

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ŚP.

Maryny Miklaszewskiej

wybitnej pisarki, dziennikarki i działaczki opozycji niepodległościowej

Rodzinie i Bliskim Zmarłej składamy wyrazy serdecznego współczucia

Ryszard Legutko oraz Grupa Europejskich Konserwatystów i Reformatorów

NEKROLOG

8 maja 2022 r. odszedł przedwcześnie

ŚP.

Profesor Waldemar Paruch

Kawaler Krzyża Komandorskiego z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, człowiek głębokiej wiary i żarliwego patriotyzmu, wybitny naukowiec o ogromnym dorobku, wspaniały wykładowca i niezrównany analityk. Współtwórca Instytutu Europy Środkowej w Lublinie oraz twórca i pierwszy szef Centrum Analiz Strategicznych.

Swoimi wyjątkowymi talentami, ogromną wiedzą i mądrością służył z oddaniem sprawie budowy lepszej Polski. Zawdzięczmy Mu bardzo wiele. Wspomagał nas jako ekspert, doradca oraz członek Rady Programowej Prawa i Sprawiedliwości, wnosząc wielki wkład w kolejne zwycięstwa wyborcze naszego obozu politycznego. Był również członkiem oraz współautorem Deklaracji Ideowej Ruchu Społecznego im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Wchodził także w skład Komitetu Naukowego Konferencji Smoleńskich.

Był dzielny. Pracował do końca.

Niech odpoczywa w pokoju.

Rodzinie i Bliskim śp. Profesora Waldemara Parucha składam najserdeczniejsze wyrazy współczucia.

W imieniu Prawa i Sprawiedliwości oraz własnym
Jarosław Kaczyński

eprasa.pl d61c8fc80f

Wojenny klincz

Marek Jurek

„Ja nie prowadzę polityki, staram się ją kontrolować" – mawiał Napoleon, władca, który strącał z tronów dynastie, ustanawiał państwa, przebudowywał Europę. Polityka jest wielowymiarowym procesem, na który wpływ mamy ograniczony, choć ona na nas – ogromny. Tym bardziej nie można trwonić tych skromnych aktywów, które posiadamy

Końca wojny dziś nie widać. Rosja zawiodła się na pierwotnych rachubach, ale błędem byłoby założenie, że podjęła wojnę tylko dlatego, że spodziewała się, iż będzie łatwa. Putin chce kontrolować Ukrainę, a przesuwanie się na wschód prozachodnich demokracji traktuje jako zagrożenie dla swego neosowieckiego systemu.

Większość analityków zachodnich, począwszy od Zbigniewa Brzezińskiego (będącego wśród pierwszych zakładających niepodległą przyszłość Ukrainy), była przekonana, że przywódcy moskiewscy mogą wszcząć wojnę dla zapobieżenia definitywnemu geopolitycznemu zwrotowi Kijowa.

Rosję mogą zatrzymać wyczerpanie własnych sił i zmiana przywództwa politycznego. Ale Rosja może też zdecydować się na ostrzegawcze („deeskalacyjne") taktyczne uderzenie jądrowe, co nawet jeśli byłoby aktem desperacji, to „desperacji przemyślanej". Właśnie to bowiem – w wypadku przegrywanej wojny – zakłada rosyjska doktryna wojenna. Wreszcie dla zapobieżenia takiemu rozwojowi wypadków może dojść do przewrotu pałacowego, oczywiście z inscenizacją protestów ulicznych, aby nowe władze mogły wyprowadzić Rosję z międzynarodowej izolacji.

W każdym razie doprowadzenie do przywrócenia pokoju Ukrainie i Europie wymaga zarówno systematycznej presji (która trwa), jak i gotowości uruchomienia dyplomacji pokojowej w miarę, jak presja będzie przynosić owoce. Choć Polska ma na to ograniczony wpływ, to nie możemy z niego rezygnować, a przede wszystkim musimy mieć świadomość, jaki stan rzeczy uważamy za pożądany i możliwy jednocześnie.

KIERUNEK NASZEJ POLITYKI

Nie sposób projektować polityki bez odniesienia do nastawienia tych, którzy ją bezpośrednio prowadzą. Cele polskiej polityki wobec wojny na Ukrainie już w pierwszym dniu rosyjskiej agresji najzwięźlej streścił Mateusz Morawiecki. „Przywrócimy – mówił premier w Sejmie – razem z Europą, razem z naszymi sojusznikami, razem z wolnym światem wolność, niepodległość i integralność terytorialną Ukrainy". Oczekiwany koniec wojny nie został więc zdefiniowany jako zatrzymanie lutowego najazdu i doprowadzenie do przerwania ognia, ale jako wyzwolenie Krymu i okupowanych od ośmiu lat ziem Zagłębia Donieckiego, jako przekształcenie wojny obronnej w wyzwoleńczą.

Tak zdefiniowana polityka oznaczała nie tylko wspieranie zdolności obronnych Ukrainy, lecz także usztywnianie jej stanowiska politycznego. Tymczasem prezydent Zełenski cele polityki ukraińskiej w czasie wojny zdefiniował mniej maksymalistycznie. Oczywiście zawierało się w nich jak najszybsze przyjęcie Ukrainy do Unii Europejskiej, ale przede wszystkim przerwanie działań wojennych, połączone z udzieleniem neutralnej Ukrainie międzynarodowych gwarancji bezpieczeństwa przy odłożeniu spraw Krymu i Donbasu do osobnych negocjacji. Krótko mówiąc – podtrzymanie prawnych pozycji Kijowa w sposób umożliwiający względnie szybkie zakończenie działań wojennych. Coś w rodzaju statusu karabaskiego, w którym (aż do wojny 2020 r.) obie strony formalnie zgadzały się w dwóch sprawach: po pierwsze – że się nie zgadzają i po drugie – że tych różnic nie wolno rozwiązywać siłą. Jako międzynarodowych gwarantów swej neutralnej niepodległości Ukraina zaproponowała Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię, Francję, Niemcy, Polskę, Włochy, Izrael, a także Rosję i Chiny.

Gdy pod koniec marca stanowisko to przedstawił w Ankarze ukraiński negocjator Dawyd Arachamija, warunkowej aprobaty udzielił mu Jarosław Kaczyński, zastrzegając jednak, że miałoby to sens „z udziałem Stanów Zjednoczonych, bo

eprasa.pl d61c8fc80f

Polska delegacja z premierem Mateuszem Morawieckim i Jarosławem Kaczyńskim w Kijowie, marzec 2022 r.
FOT. PRESIDENT.GOV.UA

one są tutaj najistotniejsze, a także innych dużych państw europejskich". Poparcie (udzielone w radiowym wywiadzie) było zdawkowe, wicepremier nie apelował do USA i państw sprzymierzonych o podjęcie planu Zełenskiego i udzielenie postulowanych w nim gwarancji. Ta chłodna reakcja kontrastowała z entuzjastycznie ogłoszoną rolą „reżysera sankcji", którą wziął na siebie premier Morawiecki, a jeszcze bardziej z niedawnym wywiadem prezydenta Dudy dla „The Wall Street Journal", w którym zaapelował do przywódców i opinii Ameryki, by „nie bać się" nuklearnych „gróźb Rosji" i sięgnąć po „brutalną siłę".

ZANIM OTWORZY SIĘ „OKNO POKOJU"

Deklaracje prezydenta z pewnością nie przekonają Amerykanów, by „nie bać się" strategicznej wymiany atomowych ciosów. Co nie zmienia faktu, że nieustraszona postawa Andrzeja Dudy wobec zagrożenia własnego kraju może się władzom amerykańskim bardzo spodobać. Stanowi bowiem radykalne rozwinięcie warszawskich wezwań prezydenta Bidena do „przygotowań na długą walkę", której „nie da się wygrać w ciągu kilku dni czy miesięcy". Antony Blinken, sekretarz stanu USA, by upewnić aliantów o nieretorycznym charakterze warszawskiego apelu Bidena, zapowiedział, że walki nie wygasną przed końcem roku. Nie data jest tu zresztą ważna, ale informacja, że w najbliższych miesiącach nie należy spodziewać się przerwania ognia. Horyzont pokoju się odsuwa, co nasze władze przyjmują ze stoicką determinacją. Skoro Putin wywołał wojnę, to nie my odpowiadamy za jej zakończenie.

Tymczasem koszty wojny dla Polski niepokojąco rosną. Gwałtownie zwiększają się koszty utrzymania, co musi destabilizować życie rodzin i stabilność państwa. Utrwalenie uchodźstwa wymagać będzie dodatkowych nakładów na politykę społeczną i służbę zdrowia. Jeśli chodzi o edukację, to już pojawiają się głosy, że wymaga to nie tylko dodatkowych środków finansowych, lecz także istotnych zmian treści programowych w nauczaniu historii. Za zasłoną wojennych dymów konferencja w sprawie przyszłości Europy forsuje dalszą federalizację Unii Europejskiej, pogłębiającą ograniczenia suwerenności państw dokonane w czasie kryzysu sanitarnego. Poza granicami Europy – ale z oczywistymi konsekwencjami dla niej – pojawia się widmo głodu, wywołane załamaniem się uprawy i eksportu zbóż na Ukrainie. Mimo to prezydent Andrzej Duda 3 maja spokojnie wyjaśniał Polakom, że choć „przed nami jeszcze bardzo wiele zmartwień", to „musimy sobie z tym poradzić".

Klasa polityczna (bo nie ma tu większych różnic między władzą a opozycją) zdaje się tym wszystkim następstwom wojny odmawiać istotnego znaczenia. Tymczasem nie chodzi o to, by podważać konieczność presji wywieranej na Rosję, ale żeby mieć świadomość, że musimy racjonalnie zdefiniować jej cel. A warunków pokoju nie formułuje dziś nikt. Wśród polityków milczą nawet ci, których konsekwencje wojny niepokoją coraz bardziej. W tej sytuacji tylko bezpośrednie reakcje opinii publicznej mogą doraźnie wpływać na poszczególne działania czy polityczne stanowiska.

Za nami dwa momenty negocjacyjne – przed najazdem i w okresie rozmów ankarskich. Formułowane wtedy (a przywołane wyżej) założenia pokojowe zachowują aktualność. Dopóki nie otworzy się kolejne „okno pokoju", dopóty polityka nie ulegnie zmianie. Co nie znaczy, że nie należy postulować potrzebnych działań w chwilach, kiedy szanse pokoju rosną. Gdy Putin zażądał wstrzymania dostaw broni dla Ukrainy, była doskonała okazja, by Zachód odpowiedział – owszem, ale w wypadku zawieszenia ognia. Szkoda, że Polska nie zaproponowała sojusznikom takiego stanowiska. Nie ze względu na naiwną wiarę, że racjonalne propozycje automatycznie tworzą fakty, ale by sformułować założenia, które będą musieli stale rozważać nasi przeciwnicy.

BOLSZEWICKIE ŹRÓDŁA WOJNY

Polska, jak każde aktywne dyplomatycznie państwo, ma możliwość opisania i zdefiniowania tego konfliktu. Jeśli jedną z szans na zakończenie wojny widzimy w upadku Putina, to trzeba tak formułować nasze wojenne stanowisko, by Putina i jego system odróżniać od Rosji. W ostatnich dniach miał tutaj miejsce obiecujący sygnał. O ile w pierwszych tygodniach wojny premier Morawiecki – zgodnie z liberalną poprawnością – mówił o rosyjskim „systemie faszystowskim", o tyle w niedawnym artykule na portalu Wszystko Co Najważniejsze pisał jednak, że motywem Putina jest „tęsknota za czasami stalinowskiej dominacji Związku Radzieckiego". Ten opis należy utrwalić i pogłębić.

Wyznawcy sanacyjnych tradycji zapominają często, że w 1920 r. marszałek Piłsudski mówił, że walczymy „nie przeciwko narodowi rosyjskiemu, a przeciwko reżimowi, dla którego nadrzędną zasadą jest terror". Dziś czas powiedzieć, że – wbrew kłamstwom Putina – nie jesteśmy przeciw bezpieczeństwu Rosji, ale przeciw spadkobiercom bolszewizmu i systemu sowieckiego, przeciw ZSRS, z nazwą czy bez nazwy. Jesteśmy przeciw tym, którzy z dumą nazywają się czekistami, bo zastraszyli tych, którzy pamiętają, że Czeka zamordowała więcej Rosjan niż gestapo Niemców.

Takiej polityce i ofensywie kulturalnej nie służą niedorzeczne bojkoty Czajkowskiego, Dostojewskiego i Czechowa. Owszem, świetnie służą one Putinowi, by przekonywać Rosjan, że musi ich bronić przed światem. Bądźmy realistami, ci, którzy wymachują sowieckimi flagami, są po prostu naszymi wrogami. Tym bardziej czas adresować nasze orędzie do tych, którzy wiedzą, co rewolucja bolszewicka uczyniła nie tylko światu, lecz także ich własnemu narodowi. Liberalizm swoją wiarygodność antykomunistyczną stracił już dawno, ale takie orędzie w ustach przywódców Rzeczypospolitej miałoby niepodważalną wiarygodność. I służyłoby naszej ofensywie politycznej i kulturalnej na Wschodzie i na Zachodzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d61c8fc80f

Zniszczony rosyjski czołg w obwodzie kijowskim FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

Czy Rosja ma czas?

Piotr Semka

Rosyjski upór i prowadzenie rozwleczonej na długie miesiące wojny na zasadzie krwawiącej granicy mogą odbywać się mimo wszystkich słabości Kremla

Najnowsze doniesienia wywiadu amerykańskiego wskazują, że Władimir Putin jest przekonany, iż presja Zachodu nie będzie trwać bez końca. Według tego założenia różnice polityczne pomiędzy państwami zachodnimi połączone z tendencjami światowej ekonomiki prędzej czy później spowodują opór społeczeństw, a potem rządów, wobec pryncypialnej polityki rezygnacji z rosyjskich gazu i ropy. Założenia polityki Kremla bardzo często są traktowane jako rzeczywistość i wyznaczają aktualną politykę kraju nawet bez zwracania uwagi na to, co faktycznie dzieje się po drugiej stronie barykady. Putin wie, że wojny szybko nie wygra, ale może się nastawić na długotrwałą wojnę pozycyjną.

W wypadku Zachodu liczy na zniecierpliwienie polityką odwrócenia się plecami do Rosji, a w wypadku Ukrainy na znużenie stanem pełnej mobilizacji kraju. Już i tak Ukraińcy w ramach swojej polityki informacyjnej starannie przemilczają informacje o tym, ilu młodych ludzi uchyla się np. od walki. Ukraińcy zdają się rozumieć, że pełna mobilizacja nie może trwać w nieskończoność. Mają nadzieję, że przybywające do ich kraju amerykańskie haubice M777 i francuskie odpowiedniki Caesar mogą przełamać passę w zmaganiach wojennych.

Jeśli jednak tak się nie stanie, to Putin może postawić na wielomiesięczne wyniszczanie Ukrainy. Linia frontu będzie się zmieniała nieznacznie – raz 20 km do przodu, raz 20 km do tyłu, a rosyjski obstrzał miast ukraińskich będzie wyczerpywał wytrzymałość psychiczną Ukraińców. W tym wypadku Ukraina stanie na serio wobec dramatu, czy zgodzić się na zamrożenie wojny za cenę uznania zaboru Krymu i obwodów w Donbasie czy też pryncypialnie walczyć aż do odzyskania ostatniej piędzi ziemi okupowanej przez Rosjan.

ROSYJSKIE SŁABE PUNKTY

Czynnikiem mogącym doprowadzić do zmiany sytuacji może być jakiś wybuch niezadowolenia w Rosji. Już fakt, że Putin nie zdecydował się 9 maja w czasie parady zwycięstwa na ogłoszenie masowego poboru, wskazuje, że czynnik ewentualnej rewolty wewnętrznej może odgrywać ważną rolę w jego rachubach. Podpalenia iluś wojskowych komisji uzupełnień na terenie Rosji mogą pokazywać, że opór przed masową mobilizacją jest silny.

Kolejny czynnik, który może podciąć nogi Rosjanom, to kwestia sprzętu bojowego. Jeśli Moskwa będzie traciła czołgi, samoloty i statki w takim samym tempie, jak dzieje się to od 24 lutego, to może znaleźć się w bardzo trudnym położeniu. Amerykanie ochoczo przegłosowali dotacje ok. 40 mld dol. dla prezydenta Wołodymyra Zełenskiego i doskonale wyczuwają, że każda wysyłka broni wyniszcza armię rosyjską w stopniu, który wzmocni pozycję amerykańską w świecie. Ukraińcy zachodnią broń będą dostawać jeszcze długo, a rosyjskie zapasy w końcu się zaczną wyczerpywać. I tu kluczowa będzie pozycja Chin. Na razie Pekin uległ naciskowi Waszyngtonu i nie przeszkadza w większym stopniu w izolowaniu Rosji poprzez sankcje ekonomiczne. Nic też na razie nie wskazuje, by Chiny zgodziły się sprzedawać broń,

eprasa.pl d61c8fc80f

zwłaszcza tę o wysokim stopniu zaawansowania technologicznego.

Taka sytuacja powinna w końcu zmusić Rosjan przynajmniej do wielomiesięcznej „pieriedyszki".

Wszystko to dzieje się w sytuacji, w której na razie nic nie wskazuje, by jakaś wewnętrzna siła mogła obalić Putina. Informacje o tajemniczych samobójstwach oligarchów mogą być wewnątrzśrodowiskowym ostrzeżeniem tajnych służb wiernych Putinowi, że jakiekolwiek dyskusje o odejściu Władimira Władimirowicza mogą zakończyć się tragicznie dla tych, którym przychodzą do głowy spiskowe pomysły. Cisza zapadła też wokół domniemanej misji pokojowej londyńskiego oligarchy Romana Abramowicza. Wszystko to nie wyjaśnia jednak absolutnej utraty słuchu przez rosyjską propagandę. Działa ona tak, jakby chciała zrazić do siebie wszystkich, których tylko da się zrazić. Trudno przecenić znaczenie takich dziwacznych pomysłów ekipy Putina, że Hitler był Żydem, że najwięksi antysemici mieli często pochodzenie żydowskie, a prezydent Zełenski to typowy neonazista.

Takie błędy Rosja popełnia zresztą już od dłuższego czasu. Na długo przed wybuchem wojny rosyjscy propagandyści wpadli na pomysł, by w finałowym meczu mistrzostw hokeja z Finlandią wysłać na taflę Rosjan w koszulach z napisem CCCP. To nawiązanie do dawnego Związku Sowieckiego nie tylko na tyle rozwścieczyło Finów, by rozgromili drużynę rosyjską, lecz także jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przekonało wielu ostrożnych Finów do tego, że ich kraj powinien dołączyć do NATO. Teraz, gdy w Szwecji zaczęła się debata nad przyłączeniem do paktu północnoatlantyckiego, na ulicach rosyjskich miast pojawiły się bannery przypominające o niegdysiejszych pohitlerowskich sympatiach twórców Ikei i znanej z przygód Pippi pisarki Astrid Lindgren. Trudno będzie się dziwić, jeśli taka kampania plakatowa spowoduje reakcję poparcia Szwedów dla NATO, tak jak wywołały ją literki CCCP w oczach Finów na meczu z rosyjskimi hokeistami. O ile w pierwszych tygodniach dziwiono się, że rosyjska propaganda nie potrafi dotrzymać kroku sprawności PR-owców z otoczenia Wołodymyra Zełenskiego, o tyle dziś już atrofia rosyjskiej machiny propagandowej jest dla wszystkich oczywistością. Powtórzmy jeszcze raz: rosyjski upór i prowadzenie rozwleczonej na długie miesiące wojny na zasadzie krwawiącej granicy mogą odbywać się mimo tych wszystkich słabości Kremla.

Pojawić się może, częste w wypadku krajów ponoszących spore ofiary, nastrój rozgoryczenia wśród obrońców niepodległości Ukrainy. Padną pytania o to, czy po to ileś tysięcy Ukraińców oddało swoje życie, aby w końcu i tak pożegnać się z Symferopolem, Donieckiem czy Ługańskiem. To jednak będzie wybór Ukrainy i my na niego wpływu nie mamy. Niejasne jest, w jakich okolicznościach Ukraina byłaby gotowa na zawieszenie ognia.

POLSKIE SPOJRZENIE NA WOJNĘ

Często powtarzane zdanie brzmi jak banał, ale ma głębokie uzasadnienie. Mamy z Ukrainą dość podobne, choć nie identyczne, interesy w tym rejonie Europy. Żołnierze ukraińscy blokują na swojej linii frontu zbliżanie się do Polski złowrogiej machiny militarnej Putina. Problemem dla nas jest to, że Rosja wróciła do neoimperialnej formuły militaryzmu i ekspansjonizmu, tak jakby powstało imperium Andropowa czy Czernienki. Jeżeli wojna ukraińska wyczerpie siły Rosji choćby na pięć czy dziesięć lat, to i tak będziemy z tego korzystać. Oczywiście należy dbać, aby przekazywanie Ukrainie polskich czołgów było skoordynowane z docieraniem nad Wisłę nowego sprzętu bojowego z krajów zachodnich, ale powtórzmy – armia ukraińska wyczerpuje siły Rosjan, których siłą rzeczy jest mniej do jakiejś ewentualnej awantury na granicy obwodu kaliningradzkiego z Polską. Już teraz widać, jak prezydent Białorusi Alaksandr Łukaszenka uspokoił swoją retorykę i znacznie ostrożniej wypowiada się o Polsce i szerzej – o krajach Zachodu.

Jeśli Rosja nie wygra z Ukrainą, to ta w naturalny sposób będzie zainteresowana przemianą polityczną na Białorusi. Moskwa o tym wie i będzie starała się podtrzymywać władzę Łukaszenki. Jeśli jednak siły Rosji ulegną dalszemu wyczerpaniu, to jakiś incydent może znowu wyprowadzić mieszkańców Białorusi na ulice. A mająca problemy z wojną na Ukrainie Rosja może nie kojarzyć się wówczas z tradycyjnym mieczem Damoklesa, który wisi nad głowami Białorusinów.

Bezprzykładna akcja przyjęcia ponad 3 mln Ukraińców w Polsce zachęca już do snucia rozważań o dużym bloku, który wskrzesiłby tradycje unii polsko-litewskiej, tym razem w wydaniu sojuszu Warszawy i Kijowa. Taki alians od morza do morza dobrze pasuje do polskich doświadczeń historycznych. Jednak jakiekolwiek zbyt buńczuczne deklaracje na temat takiego sojuszu mogą okazać się niedźwiedzią przysługą dla takich planów. Oba kraje muszą jeszcze wykonać ogromną pracę, aby można było mówić o jakichś specjalnych relacjach.

Wojna zepchnęła na dalszy plan wiele problemów Ukrainy. Od zjawiska ciągle silnej obecności oligarchów w systemie gospodarki naszych sąsiadów do problemu wyniszczenia gospodarki ukraińskiej. Jeszcze mniej pewnie jawią się losy drogi akcesyjnej Ukrainy do Unii Europejskiej. Ale przestrzegając przed zbytnim wpadaniem w mesjanistyczne projekty, nie można też ulec bardzo typowej dla części polskiej prawicy skłonności do wywoływania ewentualnych niepowodzeń w relacjach z Ukraińcami. Fora internetowe pełne są obaw przed powstaniem partii ukraińskiej w Polsce czy wycieńczenia naszej ekonomii obciążeniem masą uchodźców z Ukrainy. O skali dawnych urazów świadczą też hasła typu: „Szykujecie nam drugi Wołyń" czy oskarżenie: „Robią z Polski nowy ukropol". Tego typu lęki zawsze zakładają, że jeśli coś może pójść źle, to pójdzie jak najgorzej. Część z takich lęków ma jakieś racjonalne podstawy, ale jednocześnie ich czarnowidztwo może paraliżować wynik ambitnej i efektywnej polityki na Wschodzie.

A w polityce tej musimy postrzegać Ukrainę jako równoważnego partnera, a nie pokornego ucznia, który będzie podążał polską drogą. Jeśli Ukraina zatrzyma rosyjski atak i obroni swoją suwerenność, to naturalny będzie wzrost poczucia pewności ukraińskich elit. Można mieć nadzieję, że Ukraińcom nie uderzy woda sodowa do głowy, ale tym bardziej Polska powinna robić jak najwięcej, by powstał sojusz ukraińsko-polski, ale nie wymachiwać nim, zanim sprawdzimy, jak będzie się on realizował w warunkach przynajmniej zawieszenia broni.

Polska ma szansę na prowadzenie ambitnej polityki na Wschodzie, ale musi po pierwsze – uwierzyć we własne siły, a po drugie – niwelować, na ile się da, wewnętrzne skłócenie. Przypominają się amerykańskie książki zachęcające, by wyzwolić w sobie olbrzyma. Przy obecnym stopniu skłócenia Polaków nie będzie to oczywiście łatwe, ale głupotą byłoby też marnowanie szans historycznych, które same wpychają się nam w ręce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d61c8fc80f

Upadek, ale powolny

Rafał A. Ziemkiewicz

Rosja nie jest w stanie obronić swej mocarstwowości. I tylko jedno pozostaje niewiadomą: Co jeszcze musi się stać, aby Rosja się z trwałą utratą mocarstwowości pogodziła? Wszystko wskazuje, że cokolwiek to jest, nie stanie się szybko

Wojnę łatwo zacząć, ale trudno skończyć" – świat wielokrotnie już przekonywał się o trafności tej przestrogi, którą, wedle legendy, próbował uspokoić zapędy swych generałów stary cesarz Franciszek Józef. Wojna na Ukrainie będzie kolejnym jej potwierdzeniem. Rosja jest za słaba, żeby ją wygrać, ale wciąż za silna, żeby pogodzić się z przegraną. Ukraina odnosi zbyt wielkie sukcesy, by zadowolić się byle jakim rozejmem, dającym Rosji choć pozór zwycięstwa. Kluczowe znaczenie ma jednak stanowisko Ameryki, zdecydowanej prowadzić te wojnę aż do całkowitego wykrwawienia Rosji oraz Chin, które zdecydowały jej w tym nie przeszkadzać.

Nawet więc gdyby ziścił się scenariusz, o którego realizację modlą się zapewne – mimo głębokiej laicyzacji – elity polityczne Unii Europejskiej, i Putin zostałby w drodze pałacowego przewrotu zastąpiony kimś bardziej obliczalnym i myślącym bardziej realistycznie, nie da się już zrobić tak, „żeby znowu było, jak było". Architektura polityczna świata została nazbyt naruszona i musi ulec gruntownej przebudowie czy może – lepiej powiedzieć – „urealnieniu". Bo to, że Moskwa nie ma już potencjału do bycia imperium i że Azja, choć wielka, jest za mała, by pomieścić jednocześnie Wielką Rosję i Wielkie Chiny, wiedziano wszędzie – poza Kremlem – już od dawna.

To, że długofalowo Rosja nie jest w stanie obronić swej mocarstwowości, również wiadomo. I tylko jedno pozostaje niewiadomą: Co jeszcze musi się stać, aby Rosja się z trwałą utratą mocarstwowości pogodziła? Wszystko wskazuje, że cokolwiek to jest, nie stanie się szybko.

EFEKT HO CHI MINHA

Putin wydaje się przekonany, że czas działa na jego korzyść. Liczy na to, że głód, który wywoła w biednych krajach, niszcząc ukraiński potencjał żywnościowy, uruchomi potężne fale migracji, które zmiękczą jego wrogów. Liczy, widać to było wyraźnie w jego wystąpieniach, że twardy opór stawiany „amerykańskiemu imperializmowi" uczyni Rosję liderem wszystkich krajów, które nie wywodzą się z cywilizacji europejskiej, i że kraje te zrekompensują mu straty gospodarcze ponoszone wskutek sankcji. Wysoko ocenia też stopień zindoktrynowania i zdyscyplinowania własnego społeczeństwa; uważa, że polityczna religia wielkiej wojny ojczyźnianej, w której zostało ono wytresowane, sprawi, że Rosjanie wytrzymają wszystkie trudy i wyrzeczenia, których od nich zażąda. Swego czasu nazwałem to „efektem Ho Chi Minha": przywódca komunistów wietnamskich, dążąc do wojny z Ameryką, miał mówić: „Jeśli za każdych 10 czy nawet 15 zabitych Wietnamczyków zabijemy jednego Amerykanina, to oni w końcu padną na kolana". Wychowanek KGB, znający doskonale sukcesy sowieckich i rosyjskich agentur wpływu w sączeniu w zachodnie społeczeństwa moralnego rozkładu, na pewno ocenia swych wrogów podobnie.

Wszystkie te rachuby są jednak chybione. Rosja nie ma potencjału pozyskiwania sojuszników nawet wśród państw najbardziej wrogo nastawionych do Ameryki, ponieważ poza zaspokojeniem antyamerykańskich emocji nie ma im nic do zaoferowania. Indie czy inne kraje azjatyckie chętnie kupią po niższych cenach ropę naftową (ale już nie gaz, bo nie istnieje niezbędna do tego infrastruktura), Iran zapewne skorzysta z innych surowców, ale jeśli Ameryka zagrozi im za to sankcjami albo – co będzie jeszcze skuteczniejsze – skusi swoją ofertą gospodarczą, to szybko zmienią zdanie.

Z kolei dalekosiężna broń Putina – głód i migracje – uderza przede wszystkim w zachodnią Europę, która już teraz nie ma w światowej polityce wiele do powiedzenia i mieć będzie coraz mniej. Gdyby to zależało od Paryża albo Berlina, Ukraina byłaby pozostawiona sama sobie i zapewne już brutalnie spacyfikowana. Uderzenie w te kraje niczego Putinowi nie da, co najwyżej zachwieje ich życzliwością wobec Rosji. Putin jednak wielokrotnie już pokazał, że nie ma litości dla swoich stronników – najstraszliwsze koszty jego szaleństwa na Ukrainie poniosły przecież ta jej część i te miasta, gdzie odsetek obywateli życzliwych idei ponownego związku z Rosją był najwyższy.

PRZEBUDZENIE NARODU

Można powiedzieć, że Zachód popełnił wobec Putina wszystkie te same błędy, co przed 90 laty wobec Hitlera. Historia ówczesnego i obecnego wyparcia otwarcie głoszonych przez zbrodniarza

eprasa.pl d61c8fc80f

Władimir Putin podczas przemowy w Dniu Zwycięstwa FOT. KREMLIN.RU

zamiarów i idei, wmawiania sobie, że pod maską agresora kryje się zwykły cwaniak, z którym warto robić interesy, a w końcu „appeasementu", przebiegła niemal identycznie. Ale właśnie dlatego „appeasement" Merkel kończy się podobnie jak tamten Chamberlaina: gwałtownym zwrotem, gdy „ułagadzany" gangster po raz kolejny okłamał Zachód i przekroczył nieprzekraczalną granicę. Na jesieni ubiegłego roku Ameryka zaoferowała Putinowi w zamian za włączenie się przez niego w politykę osaczania Chin naprawdę dużo: status regionalnego mocarstwa, kontrolę nad obszarem dawnego ZSRS i zgodę na wspólną z Niemcami dominację nad Europą.

Putin zaś zachował się tak, jak Rosja zachowuje się zawsze, ale Zachód nigdy nie chce wierzyć, że się znowu tak zachowa: dostawszy dłoń, rzucił się natychmiast wyrwać całą rękę. Tego USA po prostu nie mogą wybaczyć, tak jak Wielka Brytania nie mogła Hitlerowi wybaczyć zajęcia całej Czechosłowacji. I tak samo jak wtedy nie chodzi o żadną urażoną dumę. Napadając na Ukrainę, Putin, tak samo jak Hitler łamiąc kapitulanckie ustalenia z Monachium, udowodnił, że nie mieści się w logice politycznej Zachodu. Wbrew interesom własnego kraju, takim jak je zgodnie ze swymi racjonalnymi założeniami widzą Amerykanie, obsesyjnie uważa za swojego głównego wroga NATO i USA, a zagrożeń wynikających ze wzrostu siły Chin i państw azjatyckich w ogóle nie dostrzega. Skoro zatem nie da się z nim prowadzić racjonalnej polityki – to trzeba go zniszczyć.

Amerykanie są więc zdecydowani walczyć z Rosją do ostatniego Ukraińca. Takie sformułowanie brzmi oczywiście złośliwe i kojarzy się z politycznym cynizmem, ale tak się składa, że Ukraińcy zdecydowani są na tę walkę i przyjmują niezbędną pomoc wojskową z wdzięcznością. Na Ukrainie bowiem właśnie obudził się Naród. Jest to coś, czego nie rozumieją ani Putin, ani jego zachodnioeuropejscy poputczycy, którzy już wcześniej wmówili sobie, że „nacjonalizm" to upiór przeszłości, dawno przebity osinowym kołkiem i tylko od czasu do czasu straszący jeszcze na stadionach czy w środowiskach chuligańskich.

Gdyby czytali Dmowskiego – to by zrozumieli. W istocie, za naszą wschodnią granicą zrealizowała się wręcz modelowo wizja twórcy polskiego nacjonalizmu, który twierdził przecież, że wolną Polskę zbudują nie żadni karbonariusze, tylko lud, potomkowie pańszczyźnianych chłopów, bo ku narodowemu uświadomieniu pcha ich instynkt lepszego życia, podniesienia swego statusu materialnego, którego pod zaborem, w państwie obcym, masy dostąpić nie mogą. To właśnie wskazywana swego czasu przez Dmowskiego, Balickiego czy Popławskiego biologiczna siła emancypacji, nie tryzuby i nie patriotyczne symbole i narracje banderowców, uczyniła ze zobojętniałych na wszystko kołchoźników („chachłów", mówiąc z ukraińska) naród szukający swej pamięci, swego założycielskiego mitu, tożsamości i skłonny w imię samostanowienia do największych poświęceń. Widząc, z jaką pazernością rzuca się dziś rosyjska dzicz na każdy przejaw ukraińskiego luksusu, rabując nawet miski klozetowe, łatwo zrozumieć, dlaczego Ukraińcy nie chcieli być dłużej „kacapią" i nigdy więcej już chcieć tego nie będą. Zgaszenie tego narodowego przebudzenia wymagałoby wieloletniej eksterminacji na skalę Stalina czy choćby tylko Hitlera. A do jego przeprowadzenia Rosja nie jest już fizycznie zdolna.

Elity rosyjskie, wychowane w mentalności tajnych służb, są na narodowe i społeczne emancypacje ślepe jak daltonista na kolory. Taki czynnik po prostu nie mieści się w ich pojmowaniu świata. Rewolucje są skutkiem działań agenturalnych, pracy operacyjnej struktur zbudowanych do ich przeprowadzenia i przeznaczonych na nie pieniędzy. Żaden Rosjanin nie uwierzy nam, że Solidarność to był spontaniczny, 10-milionowy ruch społeczny, efekt ożywiających masy przekonań i dążeń: Solidarność założyła i sfinansowała CIA, by zniszczyć ZSRS. Niczego więcej nie umieli też Rosjanie zobaczyć w ukraińskim Majdanie. Dlatego nie spodziewali się, że Ukraina stanie z nimi do walki, i wciąż nie rozumieją, jak to się mogło stać.

NA WYNISZCZENIE

Pytanie kluczowe dla rozwoju sytuacji: Czy tą samą ślepotą nie wykazują się aby Rosjanie wobec własnego kraju i licznych wciąż pozostających pod jego jarzmem regionów i okręgów autonomicznych? Czy i tam nie wzbiera energia, która może rozsadzić kremlowski reżim? W końcu raz już wojna skończyła się w Rosji rewolucją. I być może Putin przypomniał sobie o tym, rozważając, czy ogłosić powszechną mobilizację.

Z tej czy innej przyczyny, jak wiemy, nie zdecydował się na to. Wierzy, że zdoła wymęczyć niszczony trądem „wokeizmu" Zachód tak, że powtórzy się na wielką skalę syndrom Wietnamu. A może nie wierzy, ale nie widzi innego wyjścia, niż brnąć w wojnę na wyniszczenie. Nie ma wątpliwości, kto ją ostatecznie wygra, nie spodziewałbym się jednak upadku Rosji w najbliższych miesiącach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d61c8fc80f

Zderzenie gigantów

Wojciech Golonka

Inflacja pogłębiona efektem sankcji, droga energetyka – to może sprawić, że Europejczykom los Ukrainy zupełnie zobojętnieje. Bo będą chcieli przede wszystkim uniknąć własnej nędzy i rozpaczy

Rozważając dalszy rozwój wojny rosyjsko-ukraińskiej, warto na wstępie wskazać, że nasze mniej lub bardziej świadome oczekiwania, postawa „kibicowania" poszczególnym wariantom mogą przesłaniać nam realistyczną ocenę tego, co rzeczywiście możliwe i prawdopodobne. Na te zrozumiałe uwarunkowania psychologiczne nakłada się dodatkowo element przekazu medialnego, kształtującego opinię publiczną w określonym kierunku, wedle interesów poszczególnych państw.

Aby podać kilka przykładów oczekiwań, które wykroczyły poza sam aspekt obrony suwerenności Ukrainy i jej integralności terytorialnej, można wskazać, że rząd USA zaczął otwarcie mówić o nadrzędnym celu militarnego wykrwawienia Rosji na wiele lat, a niektórzy eksperci w Polsce widzą szanse na dziejowy rozpad Federacji Rosyjskiej. Padają również głosy, że w tej wojnie stawką jest utrzymanie lub podważenie obecnego światowego porządku tudzież że jest to okazja reorganizacji architektury wpływów w Europie, a przede wszystkim w Unii Europejskiej. Nie tyle jednak chcę komentować te wątki, ile wskazać, że oczekiwane cele mogą rzutować na realistyczną percepcję sytuacji, a cała trudność polega właśnie na tym, aby, wystrzegając się myślenia życzeniowego, obiektywnie przedstawić możliwe scenariusze, opierając się na zachodzących już teraz warunkujących je przyczynach. Wobec mnogości możliwości jest to oczywiście kwestia prawdopodobieństwa, nie dziwi więc, że i eksperci na świecie przeczą jedni drugim. Zresztą sama dyrektor Wywiadu Narodowego Stanów Zjednoczonych Avril Haines raportowała w ostatnich dniach przed Senatem USA, że w obecnym stanie wojna nie jest rozstrzygnięta, co może prowadzić do dalszej eskalacji ze strony rosyjskiej i nieprzewidzianych wydarzeń.

Prezydent USA Joe Biden podpisał ustawę Defense Lend-Lease Act, która pomoże dostarczać broń Ukrainie

FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

Spróbujmy jednak określić to, co już wiadomo.

KREML WCIĄŻ W NATARCIU

Pierwszą fazę wojny trafnie podsumował francuski minister spraw zagranicznych Jean-Yves Le Drian: Kreml nie docenił ukraińskiego oporu, odpowiedzi Europy oraz solidarności NATO, przeceniając jednocześnie możliwości własnej armii. Nie zmienia to jednak tego, że mimo poniesionych strat i bardzo wysokiej ceny w postaci sankcji Rosja wciąż przejawia inicjatywę, kontroluje pas południowej i wschodniej Ukrainy. Od przeszło trzech miesięcy dzień w dzień dokonuje systematycznego niszczenia infrastruktury i sprzętu ukraińskiej armii. W Donbasie zaś zgromadziła siły, które według analityków mają potencjał przełamania ukraińskiej obrony mimo bardzo silnie obsadzonych sieci okopów i bunkrów w regionie. Odwołuję się tu do analiz ppłk. Markusa Reisnera z Terezjańskiej Akademii Wojskowej w Wiedniu, który wskazuje na bilans zasobów ludzkich, sprzętu i przewagę siły ognia po stronie Rosji. Jego zdaniem w ciągu najbliższych tygodni może ona przełamać opór obrońców i zmusić ukraińską armię do odwrotu aż za linię obrony na Dnieprze.

eprasa.pl d61c8fc80f

Owszem, bitwa o Donbas nie jest rozstrzygnięta, znaczące jednak są fakt intensywnego ostrzału fortyfikacji ukraińskich oraz wysyłanie na front kolejnych ukraińskich oddziałów obrony terytorialnej, wbrew pierwotnym założeniom lokalnego wykorzystania tych formacji. Ukraina nie podaje wprawdzie swoich strat w Donbasie, pojawiają się jednak doniesienia o zdziesiątkowanych brygadach, o podupadającym morale, o protestach ze strony niektórych oddziałów terytorialsów, o brakującym sprzęcie, o poddających się do niewoli żołnierzach ukraińskich. Ma się rozumieć, wojnie w terenie towarzyszy wojna medialna i do podobnych informacji ochoczo nagłaśnianych przez rosyjskich influencerów w Internecie należy podchodzić z dużą ostrożnością, niemniej informacje o niezadowoleniu wśród formacji ukraińskich mają swe źródła właśnie po stronie ukraińskiej, a o tym, że rola niektórych oddziałów sprowadza się do roli mięsa armatniego, mówią między wierszami byli zachodni ochotnicy, jak kanadyjski snajper Wali w wywiadzie „Wojna to straszne rozczarowanie" dla „La Presse" (Wali zresztą oddał w całej tej wojnie tylko dwa strzały). Położenie wojsk ukraińskich w Donbasie jest zatem bardzo trudne, a ewentualna wygrana bitwy przez Rosję otwierałaby jej drzwi do dalszych znaczących postępów w regionie i wzmacniałaby pozycję w rokowaniach pokojowych.

Trudno przy tym ocenić postęp tych negocjacji, bo jeśli rozmowy z pierwszej fazy wojny zdawały się osiągać pewne konkrety, to później zapowiedzi strony amerykańskiej, że wojna na Ukrainie potrwa latami, zmieniły perspektywy konfliktu. Ma to również potwierdzenie w deklaracjach najwyższych przedstawicieli Ukrainy, dla których warunkiem rozejmu jest wycofanie się Rosji do pozycji sprzed 24 lutego, a celem jest odzyskanie integralności terytorialnej, z Krymem i Donbasem włącznie. Są to warunki zupełnie nierealne, co wiele mówi o impasie obecnych rozmów. Dość powiedzieć, że w okupowanych na południu terenach Federacja Rosyjska wprowadza podlegające jej władze administracyjne, rubla jako walutę, rosyjskie sieci telekomunikacyjne – a przede wszystkim obiecuje na miejscu ustami wysokich przedstawicieli Dumy, że zostanie tam na zawsze. Innymi słowy, mimo braku znaczących postępów w terenie projekt odbudowy historycznej Noworosji od Odessy do Charkowa jest realizowany systematycznie tam, gdzie Rosjanie ugruntowali militarnie swoją obecność na południu i wschodzie kraju. I choć w reżimowych rosyjskich mediach pojawiają się wyrazy niezadowolenia z powodu braku wyraźnych postępów „specjalnej operacji", to Rosja, która dawno przekroczyła Rubikon, zdaje się mieć czas na stopniową realizację tego celu. Być może też zarówno ta autoryzowana samokrytyka, jak i kreowana narracja o rychłym wkroczeniu na zachodnią Ukrainę polskich sił zbrojnych służą właśnie przygotowaniu rosyjskiej opinii publicznej do powszechnej mobilizacji, która dla Rosji byłaby przełomem, gdy idzie o możliwości wojenne i okupacyjne, czytaj: aneksji Noworosji, czyli ok. 40 proc. kraju, z jej bogatymi surowcami. Opcja ta, z której Kreml dotychczas nie skorzystał, wymagałaby formalnego wypowiedzenia wojny Ukrainie, co wiązałoby się zapewne z nowymi sankcjami, ale z drugiej strony podniosłaby jeszcze bardziej ryzyko rozlania się konfliktu na sąsiednie kraje.

WYKRWAWIĆ ROSJĘ

Ryzyko to istnieje jednakże i z innego powodu – Rubikon najwyraźniej przekroczyły także Stany Zjednoczone i Wielka Brytania, dając jasno do zrozumienia, że ich celem jest wykrwawienie Rosji na dobre i – czemu nie? – zmiana władzy na Kremlu. Amerykańscy oficjele mieli zresztą informować prasę, że dzięki wsparciu wywiadu USA ukraińskiej armii udało się zabić wielu rosyjskich generałów i wyższych oficerów, a także zatopić „Moskwę", flagowy okręt Floty Czarnomorskiej.

Jak donosił „The New York Times", podobne przecieki wywołały gniew prezydenta Bidena, bo choć Rosjanie nie są naiwni, gdy idzie o zakres wsparcia udzielanego przez USA Ukrainie, to już otwarte chwalenie się skalą udziału w tej wojnie zastępczej stawia Amerykę na bezpośrednim kursie kolizyjnym z Rosją. Przede wszystkim USA (i Wielka Brytania), stając się faktycznym gwarantem bezpieczeństwa Ukrainy, mają w tej wojnie wiele do stracenia. Klęska ich protegowanego podważałaby ich wiarygodność (po raz kolejny – po Kurdach, po Afganistanie…) i stanowiłaby mocny cios w ich światową hegemonię, którą kwestionuje przecież nie tylko sama Rosja. Mamy zatem dwie główne siły wyraźnie nastawione na osiągnięcie swych celów, co oznacza dalszy krwawy antagonizm, a przypomnijmy, że planowana pomoc finansowa USA dla Ukrainy osiągnęła już w 2022 r. rząd wielkości budżetu obrony Rosji.

Zaskakujące mogą być również zwroty polityczne. Jeśli trudno sobie wyobrazić, aby zachodnie państwa zgodziły się na jakiekolwiek uznanie modyfikacji granic terytorialnych Ukrainy (ewentualny rozejm sankcjonowałby stan faktyczny bez uznania prawnego), to o wiele łatwiej założyć możliwość łagodzenia sankcji. Inflacja, niewywołana przez wojnę, ale z pewnością pogłębiona efektem sankcji, droga energetyka mogą sprawić, że Europejczykom los Ukrainy zupełnie zobojętnieje, byle uniknąć własnej nędzy i rozpaczy. Kijów ponadto zapowiedział, że „nie przełknie" braku szybkiego przyjęcia Ukrainy do Unii Europejskiej, na które Bruksela z kolei nie ma najmniejszej ochoty, tym bardziej w obliczu możliwej ruiny kraju. Otóż Ukraina ma możliwość wstrzymania przepływu rosyjskiego gazu do Europy, czego dała wyraz 10 maja, ograniczając go o jedną czwartą, ale takie powtarzane próby szantażowania Brukseli mogłyby z kolei, paradoksalnie, spowodować błyskawiczną certyfikację rurociągu Nord Stream 2.

Dywagując o przyszłości, która w każdym scenariuszu ma ponure odcienie, warto na koniec wskazać rodzimy wątek, jakim jest atmosfera samosądów. Doszliśmy do punktu, kiedy swobodna dyskusja, niuansowanie wątków, krytyczna analiza naszych poczynań i kalkulacja kosztów stały się publicznie praktycznie niemożliwe. Główny przekaz, zdaje się – maksymalnie ukierunkowany na zyski w polityce wewnętrznej, przypomina jazdę na sterydach z hasłem: „Kto nie z nami, ten ruski szpion, onuca i zdrajca Polski, hurra na Moskwę!". Owszem, walka polityczna stała się na przestrzeni ostatnich lat skrajnie brutalna retorycznie i nad wyraz emocjonalna, ale postawa licytacji na radykalne pomysły, której towarzyszą zakrzykiwanie i ekskomunika głosów krytycznych, oznacza dociskanie pedału gazu przy jednoczesnym odcinaniu linek hamulców bezpieczeństwa. Podobna postawa, przypominająca czasem zbiorowy amok, rodzi uzasadnione pytanie, czy rozwój możliwych scenariuszy spotka się zawsze z naszej strony z trzeźwą, uwzględniającą maksymalne bezpieczeństwo Polski oceną. Pamiętajmy bowiem, że wzbudzone emocje, a zwłaszcza nienawiść, przesłaniają racjonalne kalkulacje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d61c8fc80f

Z Anną Marią Siarkowską, poseł Solidarnej Polski, przewodniczącą Parlamentarnego Zespołu ds. Sanitaryzmu
rozmawia Ryszard Gromadzki

Rachunek za pandemię

FOT. KRYSTIAN MAJ / FORUM

RYSZARD GROMADZKI: Zmieniła pani polityczne barwy, przechodząc z PiS do Solidarnej Polski. Co skłoniło panią do takiego kroku?

ANNA MARIA SIARKOWSKA: Wspólnota wartości, których fundamentem jest wolna, silna, demokratyczna Polska. Mam jak najlepsze doświadczenie ze wspólnej pracy z politykami Solidarnej Polski w Sejmie. Z ich strony zawsze mogłam liczyć na partnerstwo i gotowość do dialogu. Tego bardzo brakuje w Zjednoczonej Prawicy.

Czy sceptyczna postawa Solidarnej Polski wobec sanitaryzmu miała znaczenie dla pani decyzji?

Oczywiście. Środowisko SP jako jedno z nielicznych w Sejmie nie zgubiło wrażliwości na ograniczanie praw i wolności obywatelskich pod pretekstem walki z pandemią.

16 maja, po ponad dwóch latach, odwołany został w Polsce stan epidemii. Bilans tego okresu to – jak szacują eksperci – ok. 200 tys. ponadnormatywnych zgonów, ogromny dług zdrowotny, z którym będziemy się zmagać przez lata, rozregulowana gospodarka, rekordowa inflacja, trudne do oszacowania koszty społeczne. Kto zapłaci rachunek za pandemię? Czy autorzy i wykonawcy polityki prowadzonej w związku z COVID-19 powinni zostać rozliczeni?

Każdy polityk odpowiada za to, co robi. Jako politycy ponosimy odpowiedzialność polityczną za swoje działania, a jeśli złamiemy prawo, to także odpowiedzialność karną. Ja i moje środowisko polityczne od wielu miesięcy podkreślaliśmy, że minister Adam Niedzielski musi odejść. To on odpowiada za resort, którego zadaniem było zapewnienie Polakom bezpieczeństwa zdrowotnego w czasie pandemii. Trzeba powiedzieć wprost, że szef resortu zdrowia nie sprostał temu zadaniu. Minister Niedzielski przysporzył wielu problemów nie tylko pacjentom, lecz także rządowi Zjednoczonej Prawicy, podejmując decyzje wpływające destrukcyjnie na system opieki zdrowotnej. Co więcej, zachowywał się również w sposób politycznie nieodpowiedzialny, próbując pouczać posłów i oceniać ich pracę. Najwidoczniej zabrakło mu politycznego doświadczenia lub zwyczajnie zapomniał o tym, że podlega kontroli parlamentarnej i to jego praca podlega recenzowaniu przez posłów, nie odwrotnie. Warto przy tej okazji przypomnieć, że minister Niedzielski nie posiada demokratycznego mandatu politycznego, bo nie jest ani posłem, ani senatorem. Gdyby nie poparcie ze strony opozycji, której postulaty związane z wprowadzaniem sanitaryzmu były jeszcze dalej idące, minister Niedzielski z pewnością nie utrzymałby się tak długo na swoim stanowisku.

Trudno mieć złudzenia co do rozliczenia polityki covidowej, skoro w tej sprawie panował ponadpartyjny consensus. Czy polską klasę polityczną stać na krytyczną ocenę swoich działań w czasie pandemii?

Rzeczywiście, rozliczenie polityczne decyzji podejmowanych w czasie pandemii będzie trudne. Dodatkowo dzisiaj znajdujemy się w innej, trudnej sytuacji międzynarodowej, związanej z trwającą wojną na Ukrainie i zagrożeniem dla Polski ze strony Rosji. Ludzie domagający się dzisiaj rozliczenia osób, które podejmowały decyzje polityczne i urzędnicze wbrew obowiązującemu w Polsce prawu, częstokroć słyszą zarzut, że to obecnie temat zastępczy, żeby się tym nie zajmować, bo wobec wojny na Ukrainie i związanych z nią wyzwań dla naszego bezpieczeństwa narodowego i stabilności wewnętrznej wszystkie inne sprawy powinny zejść na dalszy plan.

Powiem więcej, ludziom upominającym się o rozliczenie polityków w okresie pandemii przypinana jest łata rosyjskiej agentury...

To absurdalny zarzut, bo przecież to rosyjskiej agenturze zależało najbardziej na wprowadzaniu politycznych i społecznych podziałów w Polsce, a w czasie pandemii nasza jedność narodowa została narażona na szwank. Jestem pewna, że agentura rosyjska działała po obu stronach politycznego sporu. Jej celem bowiem w takich sytuacjach nie jest wygrana tej czy innej racji politycznej, ale wprowadzanie podziałów w Polsce i doprowadzenie do destabilizacji wewnętrznej. Najwidoczniej jednak ci, którzy mają sobie najwięcej w tej sprawie do zarzucenia, bronią się, jak

eprasa.pl d61c8fc80f

potrafią. Wykorzystują również toczącą się wojnę na Ukrainie do obrony samych siebie. Tak należy bowiem rozumieć żądania formułowane przez niektórych polityków, by w obliczu wojny na Ukrainie przejść do porządku dziennego nad wszystkim, do czego doszło w trakcie pandemii, i nie domagać się rozliczeń politycznych i prawnokarnych za podejmowane w tym okresie działania.

Tymczasem pandemia i wojna to dwie zupełnie różne sprawy. Łączy je jednak to, że w obu przypadkach znaleźli się ludzie, którzy postanowili je wykorzystać do wprowadzania w Polsce wewnętrznych podziałów i siania społecznego niepokoju. Warto zwracać uwagę, kto w politycznej debacie zachowuje się tak, jakby chciał jedynie dolać oliwy do ognia. Mam jednak wrażenie, że w obliczu nowych zagrożeń uwaga ludzi skierowana jest jednak w inną stronę, a wielu z nich już dziś zaczyna zapominać o dwóch latach bezprawnego ograniczania praw i wolności obywatelskich.

Trudno się dziwić, że ludzie wypierają ten czas z pamięci. Chcą się cieszyć odzyskaną – jeszcze nie wiadomo na jak długo – normalnością.

To oczywiste. Obywatele mają prawo do normalnego życia, normalnego funkcjonowania i zajmowania się swoimi sprawami. Ale my jako politycy nie powinniśmy przechodzić do porządku dziennego nad tym, co się stało w czasie pandemii. Jeśli nie wyciągniemy z tego wniosków, to historia może się powtórzyć. Należy szczegółowo wyjaśnić chociażby zakup szczepionek przeciw COVID-19 w liczbie ok. 150 mln dawek, czyli w ogromnym nadmiarze, jeśli weźmiemy pod uwagę wielkość naszej populacji. I tu najlepiej polegać na dokumentach, a nie wyłącznie na przekazywanych prasie przez polityków informacjach, bo zazwyczaj okazują się one mocno nieścisłe. W tej sprawie przydałaby się sejmowa komisja śledcza. Pamiętajmy jednocześnie, że zakupy szczepionek były realizowane w atmosferze histerii i nacisków ze strony opozycji, która domagała się kupowania wszystkiego bez względu na cenę.

Teraz zbieramy owoce tej szczepionkowej histerii. W magazynach zalegają dziesiątki milionów dawek preparatu na COVID, z których prawdopodobnie część do niczego się nie nadaje. Polska musi odebrać kolejne miliony zakontraktowanych dawek, a producenci, koncerny Pfizer i Moderna, nie chcą nawet słyszeć o żadnej negocjacji kontraktów. Dziesięć czy więcej miliardów złotych poszło w błoto?

No tak. Zostaliśmy z tym problemem sami, mimo że zamówienia były realizowane systemowo w ramach Unii Europejskiej. Miało nam to pomóc w negocjacjach z koncernami farmaceutycznymi i zapewnić priorytetowe traktowanie. Jak widzimy, składanie zamówień na preparaty przeciwko COVID-19 w formule unijnej wcale nam nie pomogło, lecz zaszkodziło. Unia Europejska nie chce stanąć po naszej stronie i wesprzeć nas w renegocjacji tych umów.

Takich bulwersujących spraw było w czasie pandemii jednak znacznie więcej. Dość wspomnieć o testowaniu osób bezobjawowych, którą to praktykę wielu uczciwych lekarzy od razu krytykowało jako tę, która stoi w sprzeczności z nauką, a jednocześnie generującą wiele problemów dla systemu opieki zdrowotnej. Nie możemy również zapomnieć o zamykaniu szpitali i przychodni dla pacjentów cierpiących na inne niż COVID-19 choroby, o nieudzielaniu pierwszej pomocy lekarskiej pacjentom do czasu uzyskania wyniku testu na COVID-19, o zamykaniu gospodarki pomimo wiedzy, że to nie poprawia w żaden sposób sytuacji epidemicznej. Ta lista jest długa. Za to wszystko minister Niedzielski już dawno powinien odpowiedzieć.

Czy tylko on? Przecież Niedzielski nie działał w próżni.

Ale to minister Niedzielski był odpowiedzialny za ochronę zdrowia i bezpieczeństwo zdrowotne obywateli. To on przedstawiał rekomendacje konkretnych działań panu premierowi. Oczywiście w tym kontekście nie powinniśmy zapominać także o Radzie Medycznej, która była bardzo szkodliwym ciałem, nie tylko ze względu na swoje nieuargumentowane rekomendacje oraz powiązania z farmaceutycznym lobby, lecz także z uwagi na wypowiedzi jej członków, częstokroć skandaliczne i generujące konflikty oraz niepokoje społeczne. To szczególnie poważny zarzut w świetle obecnej sytuacji związanej z wojną na Ukrainie, bo działaniom państwa na rzecz bezpieczeństwa narodowego musi towarzyszyć stabilizacja wewnętrzna. To państwom nieprzyjaznym Polsce, takim jak Rosja, zależy szczególnie na wywoływaniu niepokojów i wewnętrznych napięć, zgodnie z zasadą „dziel i rządź". A okres pandemii był czasem, gdy ludzi stygmatyzowano, wykluczano ich z opieki medycznej, próbowano też wykluczać ich społecznie i zawodowo. Dostęp do praw i wolności obywatelskich chciano uwarunkować spełnieniem warunku postawionego przez władzę, czyli w tym wypadku przyjęciem szczepionki przeciwko COVID-19. Celowali w tym osławiona Rada Medyczna i minister Adam Niedzielski. Dlatego uważam, że w pierwszej kolejności to właśnie on powinien ponieść odpowiedzialność polityczną. Niestety, minister zdrowia miał poparcie opozycji. Gdyby to zależało wyłącznie od Zjednoczonej Prawicy, już dawno zostałby zmieniony na tym stanowisku.

Przyznała pani, że rozliczenie polityków za decyzje podejmowane w czasie pandemii będzie trudne. Na razie kontrolę wszczął NIK.

Cieszę się z zainicjowanej przez Najwyższą Izbę Kontroli weryfikacji działań władz publicznych w trakcie pandemii. Wspomniana wcześniej sprawa zakupu szczepionek powinna również zostać kompleksowo zbadana przez NIK. To samo dotyczy decyzji o zamykaniu gospodarki i konsekwencji tej decyzji. Jak pamiętamy, była ona tłumaczona obawami o przeciążenie szpitali. Tymczasem z danych samego resortu zdrowia wynika, że w „pandemicznych latach" 2020–2021 nic takiego nie miało miejsca. Wręcz przeciwnie, liczba hospitalizacji i wykonywanych zabiegów była mniejsza niż w latach poprzednich. Nadmiarowe zgony miały miejsce przede wszystkim w domach, a nie w szpitalach. Mam nadzieję, że Najwyższa Izba Kontroli będzie ten temat drążyć i w najbliższych miesiącach uzyskamy znacznie lepszy obraz sytuacji.

Czy podziela pani odczucie wielu ludzi, które potwierdzają choćby dane o rzekomym przeciążeniu szpitali w czasie pandemii, że społeczeństwa w ciągu ostatnich dwóch lat padły ofiarą wielkiego globalnego szwindlu?

To kwestia ocenna. Lepiej trzymać się faktów. A fakty są takie, że działania podejmowane przez rządy poszczególnych państw, nie tylko przez polski rząd, były ukierunkowane na absolutne zamykanie gospodarek. Przyczyniło się to do dezorganizacji nie tylko służby zdrowia, lecz także całego systemu społeczno-gospodarczego. Ostatecznie działania z tym powiązane były również jednym z istotnych źródeł inflacji, z którą teraz się borykamy. Spowodowały też olbrzymie koszty społeczne. Najważniejsze dziś jest jednak to, aby wyciągnąć wnioski z tego, co się stało, wskazać nadużycia, a osoby bezpośrednio za to odpowiedzialne politycznie rozliczyć. W przeciwnym wypadku historia może się powtórzyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d61c8fc80f

Sankcjami na oślep

FOT. ADOBE STOCK

Łukasz Warzecha

Ustawa sankcyjna miała uderzyć w podmioty wspierające putinowski reżim, a tym samym rosyjską inwazję na Ukrainę, wychodząc poza zakres sankcji unijnych. Jak w innych sprawach dotyczących rosyjsko-ukraińskiej wojny, tak i w tej musieliśmy być prymusami. Rezultat w niektórych przypadkach jest opłakany

Najpierw rzutem na taśmę udało się zablokować bardzo groźne rozwiązanie, które miało się w ustawie znaleźć w następstwie rządowej autopoprawki. Kto i dlaczego ją przygotował – pozostaje tajemnicą. Dzisiaj, w kontekście cenzorskiej akcji przeprowadzonej na podstawie art. 180 Prawa telekomunikacyjnego wobec m.in. portalu telewizji wRealu24, widać w pełni, jak skrajnie groźne narzędzie o mały włos by się w ustawie znalazło. Przepis miał brzmieć: „Decyzja w sprawie wpisu na listę [sankcyjną] może być wydana również względem osób i podmiotów stanowiących zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego Rzeczypospolitej Polskiej". Jako że decyzja o wpisie na listę ma charakter administracyjny, a pojęcie bezpieczeństwa narodowego jest niemalże nieskończenie szerokie, zwłaszcza w obecnym czasie, rządzący dostaliby sposób na zamrożenie aktywów niemalże każdego podmiotu czy osoby, w jakikolwiek sposób kwestionujących linię rządu. Zawsze przecież można by stwierdzić, że jest to tożsame ze stwarzaniem zagrożenia dla bezpieczeństwa państwa. Dokładnie tak, jak stało się z blokadą portalu Marcina Roli.

ETAT DLA JASNOWIDZA

Poprawka rekomendująca skreślenie tego przepisu została zgłoszona podczas obrad połączonych komisji finansów publicznych i spraw wewnętrznych przez posłów KO i Polski 2050. Przedstawiciele PiS rekomendowali Sejmowi jej odrzucenie, ale to się nie udało. Także dlatego, że w klubie Zjednoczonej Prawicy przeciwko przepisowi opowiedzieli się Teresa Hałas, Anna Maria Siarkowska i Sławomir Zawiślak, a poza tym także trzech posłów koła Kukiz'15 (bez samego Pawła Kukiza, który nie głosował).

Niestety, to, co się ostatecznie w ustawie znalazło, okazało się również narzędziem bardzo groźnym. Wpisanie na listę sankcyjną jest bowiem poza kontrolą sądową. Wpisu dokonuje minister spraw wewnętrznych, który nikomu z niczego tłumaczyć się nie musi. Tu trzeba zacytować stosowny fragment ustawy:

„Decyzję w sprawie wpisu na listę wydaje się względem osób i podmiotów dysponujących środkami finansowymi, funduszami oraz zasobami gospodarczymi […], bezpośrednio lub pośrednio wspierających:

1) agresję Federacji Rosyjskiej na Ukrainę rozpoczętą w dniu 24 lutego 2022 r. lub

2) poważne naruszenia praw człowieka lub represje wobec społeczeństwa obywatelskiego i opozycji demokratycznej lub których działalność stanowi inne poważne zagrożenie dla demokracji lub praworządności w Federacji Rosyjskiej lub na Białorusi – lub bezpośrednio związanych z takimi osobami lub podmiotami, w szczególności ze względu na powiązania o charakterze osobistym, organizacyjnym, gospodarczym lub finansowym, lub wobec których istnieje prawdopodobieństwo wykorzystania w tym celu dysponowanych przez nie takich środków finansowych, funduszy lub zasobów gospodarczych".

Konsekwencje takiego zapisu mogą być absurdalne oraz bardzo groźne. Regulację gruntownej analizie poddał w imieniu Krajowej Izby Radców Prawnych dr Aleksander Jakubowski z Uniwersytetu Warszawskiego, wskazując liczne mielizny i niebezpieczeństwa. Jednym z podstawowych było naruszenie zasady określoności prawa. Mówiąc językiem nieprawniczym – przepis powinien być tak skonstruowany, aby jego adresat wiedział, czego się od niego oczekuje, co się mu nakazuje, a czego zabrania. Jak wskazał dr Jakubowski, przepis ustawy sankcyjnej tego warunku nie spełnia. Zdaniem prawnika może on prowadzić nawet do tego, że sankcjami zostanie objęty małżonek osoby, która kupiła jakikolwiek rosyjski produkt, nie mając świadomości jego pochodzenia.

W dodatku w ustawie pojawia się sformułowanie „istnieje prawdopodobieństwo", a to pachnie już sytuacją jak z „Ra-

eprasa.pl d61c8fc80f

portu mniejszości" Philipa K. Dicka, gdzie specjalna policja dokonywała zatrzymań ludzi mających dopiero popełnić przestępstwo. Tylko że u Dicka źródłem tej wiedzy byli jasnowidze (inna sprawa, że zmanipulowani). Kto i na jakiej podstawie w MSWiA definiuje pojęcie tak nieostre jak „istnienie prawdopodobieństwa" – nie wiadomo. Być może są tam też na etacie jacyś jasnowidze.

KARANIE PO OMACKU

Jak w praktyce działa ustawa, mogliśmy przekonać się bardzo szybko. Uderzono między innymi w sieć sklepów GoSport. W uzasadnieniu na stronach MSWiA czytamy, że rzeczywistymi beneficjentami obecnego właściciela sklepów, singapurskiej spółki Sportmaster Operations, są osoby pochodzenia rosyjskiego, w tym oligarchowie „Nikolay Fartushnyak, Vladimir Fartushnyak oraz Alexander Mikhalskiy". Warto zwrócić uwagę na dziwaczną pisownię imion i nazwisk, zastosowaną przez ministerstwo, a niezgodną z polską transliteracją. To powtarza się w wielu miejscach listy. Powinno być oczywiście „Nikołaj Fartuszniak, Władimir Fartuszniak oraz Aleksander Michalskij". Najwyraźniej ministerialnym urzędnikom nie chciało się nawet zmieniać informacji, którą skopiowali z jakiejś zagranicznej bazy danych, co pokazuje, z jaką starannością podchodzą do swoich działań.

O wykreślenie z listy sankcji zaapelowali do ministerstwa pracownicy sieci, którzy praktycznie z dnia na dzień stracili pracę. „Ze względu na różne czynniki spółka jest nierentowna, co w praktyce oznacza, że nie przynosi zysków spółce singapurskiej, a w konsekwencji jej właścicielom pochodzenia rosyjskiego" – napisali pracownicy. „Zastosowanie tak daleko posuniętych sankcji oznacza natychmiastowe odebranie źródła utrzymania tym z nas, którzy pracują na podstawie umów cywilnoprawnych – są to w znacznej liczbie uczniowie i studenci, którzy próbują utrzymać się w trakcie nauki, a także starsze osoby świadczące usługi w zakresie utrzymywania porządku w naszych sklepach. Tym z nas, którzy zatrudnieni są w oparciu o umowę o pracę, odebrano stabilność zatrudnienia, postawiono pod znakiem zapytania perspektywy rozwoju zawodowego w spółce oraz – co ważniejsze – terminowość wypłat wynagrodzeń będących źródłem utrzymania naszych rodzin" – opisywali swoją sytuację. Jak łatwo można się domyślić – bez odzewu.

Jednak o ile w przypadku GoSportu istnieje przynajmniej faktyczna zależność właścicielska, o tyle inaczej jest w przypadku podwarszawskiej firmy Maga Foods, producenta gotowych surówek i tłoczonych soków. Wpisując Maga Foods na listę sankcyjną, ministerstwo uzasadniło to pośrednim kontrolowaniem firmy przez oligarchę Michaiła Fridmana. Tyle że to nieprawda. Jak tłumaczył zdesperowany prezes firmy Piotr Pawiński, w wyniku przekształceń własnościowych taka pośrednia zależność faktycznie istniała, ale już nie w momencie, kiedy ministerstwo podejmowało decyzję.

Powiązanie z Fridmanem było wyłącznie pośrednie. Współwłaścicielem holenderskiej firmy Signature Foods, właściciela Maga Foods od lat, od 2020 r. był Pamplona Capital Management, fundusz inwestycyjny. W nim z kolei udziały miała należąca do Fridmana grupa inwestycyjna LetterOne. Jednak pod koniec marca udziały wykupiło całkowicie holenderskie Signature Foods, a sam fundusz Pamplona Capital Management zaczął szybko odcinać związki z Rosjaninem również w innych dziedzinach.

MSWiA uderzyło zatem w stworzoną w Polsce, działającą od lat i – gorzka ironia – zatrudniającą ok. 100 Ukraińców firmę, dlatego że współwłaścicielem współwłaściciela jej właściciela była grupa inwestycyjna Fridmana. Grupa inwestycyjna, a zatem nawet nie sam Fridman. Czy państwo rosyjskie w jakikolwiek sposób na działalności Maga Foods przy tak mocno pośrednim powiązaniu w ogóle korzystało? Bardzo wątpliwe.

Na stronie firmy widnieje oświadczenie prezesa Pawińskiego, datowane na 27 kwietnia, w którym szef Maga Foods pisze, że zwrócił się do MSWiA o pilne wykreślenie firmy z listy. Maga Foods nie ma dostępu do kont, nie może zapłacić kooperantom, grozi jej bankructwo. MSWiA milczy. W praworządnym państwie tak potraktowana firma powinna mieć możliwość ubiegania się o słone odszkodowanie, jednak trudno stwierdzić, czy przewidziany w ustawie tryb podejmowania decyzji taką możliwość przewiduje.

Wygląda więc na to, że polski rząd posługuje się narzędziem sankcyjnym niemal na oślep, nie sprawdzając należycie, ani na kogo sankcje nakłada, ani jakie będą tego skutki dla polskich (a także ukraińskich) pracowników czy współpracujących firm. W Polsce sankcje mogą oznaczać utratę konkretnych miejsc pracy, problemy podwykonawców, brak wpływów podatkowych – dla Rosji mogą nie mieć najmniejszego znaczenia. Ministerstwo nie musi tu przedstawiać żadnych wyliczeń. Jako że w wielu polskich firmach w trzecim czy czwartym stopniu współwłaścicielem może być jakiś fundusz, w którym udziały ma rosyjski biznes, nikt nie może się czuć bezpieczny.

O tym, że decyzje w ministerstwie są podejmowane po prostu bezmyślnie, można się było przekonać, gdy pod koniec kwietnia sankcjami objęto firmę Novatek Green Energy z powodu powiązań z Rosjaninem Leonidem Michelsonem, dostarczającą gaz do kilkunastu gmin w Polsce, m.in. do turystycznej nadmorskiej Łeby, a także Zagórowa, Mieścisk, Cegłowa. Kilkanaście tysięcy osób zostało z dnia na dzień bez gazu. Jasne było, że w MSWiA nikt nawet nie zainteresował się tym, jakie skutki będzie miało wciągnięcie firmy na listę sankcyjną, i na gwałt trzeba było szukać rozwiązania. Gaz wrócił dopiero po kilku dniach, gdy na mocy na chybcika kleconych specjalnych przepisów państwowe PGNiG zaczęło przejmować obowiązki dostawcy gazu. Wiceminister spraw wewnętrznych Maciej Wąsik oznajmił wtedy z rozbrajającą szczerością, że dziwne, iż taka infrastruktura była w ogóle „w rękach Rosjan". Wąsik zapomniał najwyraźniej, że firmy w ten czy inny sposób powiązane z Rosjanami mogły działać w Polsce całkowicie legalnie, w tym mogły startować w przetargach – np. na gazyfikację miejscowości, szczególnie tych odciętych od głównej sieci gazowej (Novatek opierał swoją technologię na LNG, regazyfikowanym w miejscowych instalacjach). Nie było żadnego powodu – ba, mógłby to być powód do zaskarżenia rozstrzygnięcia – aby ktoś próbował je w takiej sytuacji dyskryminować.

POLITYKA LICYTACJI

Dlaczego przyjęte rozwiązanie jest tak źle pomyślane i tak bezrefleksyjnie stosowane? Odpowiedź wydaje się oczywista: bo polska polityka polega dzisiaj głównie na licytacji na antyrosyjskość i proukraińskość. PiS za wszelką cenę chce dowieść, że miotane przez opozycję oskarżenia o sprzyjanie Rosji są bezpodstawne, a dysponujący narzędziem sankcyjnym minister Kamiński nie ma pojęcia o gospodarce, nie rozumie więc, jakie konkretne skutki mogą mieć podejmowane przez niego działania. Niestety, regulacja nie wymaga nawet żadnej międzyresortowej konsultacji. Chciano zapewne dobrze – wyszło jak zwykle.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d61c8fc80f

Ambasador Rosji Siergiej Andriejew oblany farbą, 9 maja, Warszawa

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

Błąd polityczny

Tomasz Rowiński

Jeśli polskie władze świadomie dopuściły do znieważenia przedstawiciela obcego państwa na własnym terenie, to był to błąd polityczny. Jeśli stało się to z powodu niedostatecznej kontroli, to po raz kolejny Rzeczpospolita podważyła swoją wiarygodność

Oblanie w Warszawie 9 maja rosyjskiego ambasadora Siergieja Andriejewa czerwoną farbą przypominającą krew wywołało w mediach społecznościowych wiele – zrozumiałych psychologicznie – reakcji wyrażających satysfakcję. Jednak sam incydent nie świadczy dobrze o polskim państwie. Podsunął on raczej dodatkowy argument przeciw Polsce i Ukrainie wszędzie tam na świecie, gdzie z większą sympatią patrzy się na agresję Putina niż na zaangażowanie NATO w obronie naszego sąsiada.

Ten rodzaj eskalacji należy uznać za błąd polityczny choćby dlatego, że atak na Andriejewa stanowi rysę na mozolnie budowanym wizerunku Polski. Nasze państwo, choć stanowczo stanęło w trwającej wojnie po stronie ukraińskiej – dostarczając obrońcom także broń ciężką – to jednocześnie zdołało ukształtować w ostatnich miesiącach swój wizerunek jako nieagresywnego obrońcy ładu międzynarodowego, kraju humanitarnych obyczajów. Ten kurs wizerunkowy widać było zresztą już jesienią, podczas kryzysu na granicy polsko-białoruskiej. Wtedy to służby mundurowe ze stoickim spokojem przyjmowały niekończące się przypadki prowokacji realizowane przez przedstawicieli naszego wschodniego sąsiada.

Jeśli jednak do incydentu z rosyjskim ambasadorem doszło np. z powodu braku porozumienia pomiędzy władzami centralnymi a warszawskim samorządem odnośnie do zabezpieczenia terenu wizyty Andriejewa, to właśnie wysłaliśmy w świat sygnał, że Polska, choć bardzo się stara, pozostaje sezonowym środkowoeuropejskim Bantustanem na granicy cywilizowanego świata.

Marek Reszuta, w pierwszej dekadzie XXI w. II sekretarz Wydziału Ekonomiczno-Handlowego polskiej ambasady w Moskwie, jedna z ofiar serii ataków na polskich dyplomatów, które miały miejsce w Rosji w 2005 r., zwrócił słusznie uwagę w mediach społecznościowych, że warszawski incydent pod każdym względem jest niedopuszczalny. „Przypominam, że Ukrainy (i Polski) nie popierają wszystkie państwa świata. Cała Ameryka Południowa i prawie cała Azja i Afryka mają gdzieś ten konflikt. Nie poparli sankcji na Rosję. Teraz tam media rosyjskie działają. Będziemy (»słusznie«) nazywani państwem nazistowskim, gdzie nie szanuje się standardów demokratycznych i dyplomatycznych. Kolejny cios w nasz prestiż. A w UE też nas za to nie pochwalą". Niektórzy komentatorzy dopatrzyli się na twarzy oblanego farbą Andriejewa uśmiechu wyrażającego satysfakcję. Jeśli faktycznie rosyjski ambasador się uśmiechał, to naprawdę trudno się temu dziwić – majowy atak otwiera Rosji możliwości działania, nie tylko zresztą propagandowego.

Co właściwie wydarzyło się 9 maja? Andriejew przybył pod mokotowski Cmentarz Mauzoleum Żołnierzy Radzieckich, by złożyć wieniec z okazji obchodzonego przez Rosjan Dnia Zwycięstwa, upamiętniającego wiktorię Armii Czerwonej nad Niemcami. Równocześnie w tym samym miejscu zgromadzili się demonstranci protestujący przeciwko trwającej już dwa i pół miesiąca rosyjskiej agresji wobec państwa ukraińskiego. W pewnym momencie tłum wokół ambasadora zgęstniał, a część osób w jego

eprasa.pl d61c8fc80f

otoczeniu rozerwała worki wypełnione farbą w kolorze krwi. Skandowano antyrosyjskie i antywojenne hasła. Ostatecznie uniemożliwiono Andriejewowi złożenie wieńca, który został rozerwany przez protestujących, a jego resztkami – wedle relacji – obrzucono ambasadora i jego współpracowników.

„My, ukraińscy aktywiści, przynieśliśmy ze sobą sztuczną krew. Rozlaliśmy ją na siebie. Podeszliśmy do ambasadora i rozerwaliśmy kolejne worki ze sztuczną krwią. Spadła na ambasadora i jego asystenta. Odeszli zhańbieni, kiedy my krzyczeliśmy »faszyści«. Po prostu odjechali, nie pozwoliliśmy im złożyć kwiatów" – napisała w mediach społecznościowych Iryna Zemlana, ukraińska dziennikarka, która przyznała się do wykonania prowokacji.

Zemlana bardziej zresztą niż dziennikarką wydaje się być aktywistą. Dała się poznać polskiej publiczności przy okazji protestów na granicy przeciwko przejazdom rosyjskich i białoruskich ciężarówek. W Internecie można też znaleźć zdjęcie, które ma przedstawiać Zemlanę manifestującą z tęczową flagę politycznego ruchu homoseksualnego. Problem polega na tym, że akcję z 9 maja wiarygodnie można interpretować jako działanie na rzecz Rosji ze szkodą dla Polski, a pośrednio także dla Ukrainy – przynajmniej wizerunkowo.

ZŁAMANA KONWENCJA

Zwięźle wyraził to Maciej Świrski, prezes Reduty Dobrego Imienia, w wypowiedzi dla portalu Polskatimes.pl: „Widziałem tylko jeden filmik zamieszczony na koncie Polsatu na Twitterze i rzeczywiście widać na nim, że ambasador stoi sztywno, nie unika ataku – jak zwykle normalnie w takich sytuacjach – i mam wrażenie, że nie jest tym zaskoczony. Jego lekki uśmiech może świadczyć, że to, co się stało, jest tak naprawdę po jego myśli i nie jest zaskoczony. Wydaje mi się, że to jest to, o co Rosji chodzi, żeby pokazać Polaków jako rusofobów, że w najważniejsze święto rosyjskie, na cmentarzu wyzwolicieli, bo przecież rosyjska narracja jest taka, że Rosjanie wyzwolili Polskę i tam są ci wyzwoliciele pochowani, dzieją się takie rzeczy jak znieważenie dyplomatów. Ale to jest tylko pierwsza warstwa przekazu. Druga warstwa jest ważniejsza i to ona będzie przede wszystkim rezonowana szczególnie w Europie, gdzie Rosja ma rozbudowaną sieć swoich rezonatorów dezinformacji, i można to sformułować tak: »Rosja, która pokonała nazizm i chciała uczcić swoich poległych, którzy wyzwolili Polskę, a Polacy znieważyli rosyjskiego ambasadora«".

To jednak nie wszystko. Marek Reszuta w przywołanym już wpisie w mediach społecznościowych bardzo konkretnie wypunktował zaniedbania Polski. Zdaniem byłego dyplomaty „Polska dopuściła do złamania konwencji wiedeńskiej o stosunkach dyplomatycznych – art. 29", ponieważ „osoba przedstawiciela dyplomatycznego jest nietykalna". Konwencja mówi, że „państwo przyjmujące będzie traktować go z należytym szacunkiem i przedsięweźmie wszelkie odpowiednie kroki, aby zapobiec wszelkiemu zamachowi na jego osobę, wolność lub godność".

Atak na ambasadora Rosji Siergieja Andriejewa stanowi rysę na mozolnie budowanym wizerunku Polski

Zdaniem Reszuty „skandalem jest tłumaczenie przedstawicieli naszego rządu, że Ukrainki miały prawo do takiej manifestacji. Nie miały. Nie ma tu żadnego kontratypu. Powinny być natychmiast zatrzymane, aresztowane. Dokonały przestępstwa przeciwko Rzeczypospolitej Polskiej". Uważa też, że „prokurator powinien natychmiast wszcząć śledztwo z art. 136" („Kto na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej dopuszcza się czynnej napaści na głowę obcego państwa lub akredytowanego szefa przedstawicielstwa dyplomatycznego takiego państwa albo osobę korzystającą z podobnej ochrony na mocy ustaw, umów lub powszechnie uznanych zwyczajów międzynarodowych, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5").

Trzeba też w kontekście incydentu z rosyjskim ambasadorem pamiętać o żelaznej zasadzie wzajemności, która panuje w dyplomacji. Ciekawie opowiadał o tym 21 kwietnia br. Witold Jurasz w swoim podcaście „Raport międzynarodowy. Ukraina", przypominając przy okazji różne, czasem dość specyficzne przypadki wyrównywania rachunków pomiędzy państwami. „Zasada wzajemności stosowana jest z absolutnie żelazną konsekwencją. Kto jej nie stosuje, jest w świecie polityki międzynarodowej po prostu frajerem. I dotyczy to zarówno państw autorytarnych, jak i państw demokratycznych [...]. Zasadę wzajemności stosują wszystkie państwa" – podsumowywał dziennikarz Onetu.

CZEKAJĄC NA ESKALACJĘ

Jedną z opowiedzianych historii trzeba jednak traktować jako poważne ostrzeżenie. W 2005 r. doszło w Warszawie do stosunkowo niegroźnej napaści na troje nastolatków – dzieci pracowników ambasady rosyjskiej. Jej bezpośrednim efektem była kradzież telefonów komórkowych i pewien przestrach rosyjskiej młodzieży. Efektem dalekosiężnym okazały się trzy brutalne napaści w Moskwie, w których skatowano dwóch polskich pracowników ambasady RP w Moskwie, w tym cytowanego powyżej Reszutę, a także dziennikarza Pawła Reszkę.

Zdaniem Jurasza Rosjanie tymi aktami przemocy wcale nie dokonali wyrównania dyplomatycznych rachunków, ale wykorzystali sytuację, by dokonać eskalacji. Tak sytuację oceniał ówczesny ambasador RP w Rosji Stefan Meller i rekomendował, by MSZ odpowiedziało równie brutalną akcją przeciwko dyplomatom rosyjskim i wybranemu rosyjskiemu korespondentowi. Wtedy ministerstwo nie zdecydowało się na taki krok. Zostawiając na boku ocenę tej decyzji, trzeba zwrócić uwagę na coś innego. Historia uczy, że atak na Andriejewa z całą pewnością wystawił polskich dyplomatów pracujących w Moskwie, także samego ambasadora RP Krzysztofa Krajewskiego na niebezpieczeństwo riposty znacznie bardziej brutalnej niż happening Zemlany.

Jeśli wziąć pod uwagę kontekst wojenny i nastroje, jakie panują w rosyjskich elitach władzy, mogliśmy się spodziewać, że znów, jak w roku 2005, dojdzie nie tyle do wyrównania dyplomatycznych rachunków, ile do eskalacji. To, że prawdopodobnie sprawa zakończy się na oblaniu czerwoną farbą fasady polskiej ambasady w Moskwie – nastąpiło to 11 maja br. w godzinach popołudniowych – polskie władze powinny potraktować jako niski wymiar kary za niefrasobliwość, którą się wykazały. Trudno inaczej ocenić fakt, że polskie państwo w ogóle dopuściło do mokotowskiej akcji ukraińskiej działaczki. Oby wyniknęła z tego jakaś nauka na przyszłość. Jak widać przyspieszony kurs stawania się poważnym państwem jeszcze przez Rzeczpospolitą nie został zakończony.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d61c8fc80f

Jak przemijają

Joanna Bojańczyk

Wystawa „Stan rzeczy" w Muzeum Narodowym w Warszawie to opowieść o życiu, o pięknie i o przemijaniu. Trudno dziś odgadnąć, do czego służyło wiele z pokazanych tu kunsztownych, luksusowych przedmiotów. Nie są potrzebne, zapomniano o nich

Pudło wielkości sporej mikrofalówki. Drewniana obudowa, ekran jak kartka papieru. Żeby aparat uruchomić, należało podnieść grubą klapę na górze, pod którą znajdowały się pokrętła.

Tak wyglądał telewizor Wisła, rocznik 1956, pierwszy polski odbiornik telewizyjny. Pamiętam go z wczesnego dzieciństwa: przykryty był flanelowym pokrowcem (kurz!); sąsiedzi z okolicy zbierali się, żeby na mikroskopijnym ekranie oglądać sensacyjny teatr „Kobra".

Ten telewizor, dzisiaj eksponat muzealny, nie jest typowym obiektem wystawy „Stan rzeczy", którą właśnie otwarto w Warszawskim Muzeum Narodowym. Nie całkiem typowym, bo kuratorzy nie skupili się na powojennym designie, który skądinąd cieszy się dzisiaj dużym zainteresowaniem, ale którego jest tu niewiele. To temat na inną historię.

„Stan rzeczy" to opowieść o przedmiotach. Pochodzą z zasobów MN, z różnych epok, kultur, stron świata. I dobrze, że ujrzały światło dzienne na 160. rocznicę istnienia muzeum. Dobrze, że w rocznicowym roku nie uderzono w historyczno-patriotyczną nutę, nie pokazano bitew, sztandarów, oręża. Ta prezentacja jest po prostu opowieścią o życiu, o pięknie i o przemijaniu.

Bo przecież przedmioty bardziej niż kiedykolwiek są bohaterami życia współczesnych. Gromadzimy je, używamy, wyrzucamy, kupujemy nowe. Kuratorka Grażyna Bastek w katalogu do wystawy pisze: „Jesteśmy zrośnięci z rzeczami. Pierwszym przedmiotem, po który sięgamy rano, zazwyczaj jest smartfon. Wyłączamy nastawiony w nim budzik i sprawdzamy godzinę. Bardzo często jest on również ostatnią rzeczą, którą trzymamy w ręku przed pójściem spać (nasze ulubione urządzenie wymaga przecież doładowania). Potoczna nazwa przenośnego telefonu – komórka – przywołuje skojarzenia z lokatorską piwnicą i świetnie oddaje charakter współczesnych smartfonów. To wirtualny składzik informacji. Wpływowy filozof Byung-Chul Han zauważył, że chociaż żyjemy w świecie hiperprodukcji i hiperkonsumpcji, to mamy coraz większą obsesję na punkcie nie-rzeczy".

Stereoskop z zestawem stereofotografii FOT. MNW

ROBDESZAN, CZYLI SZLAFROK

Rzeczy zgromadzone na wystawie pochodzą z domów elit społecznych minionych czasów – tylko takie kolekcjonowały dawniej muzea sztuki. Są to przedmioty luksusowe. Kto chciałby obejrzeć bronę, niech uda się do skansenu. Tutaj mamy luksusy; na widok niektórych można się uśmiechnąć z melancholią i zazdrością. Dawniej to były piękne rzeczy... Nawet XVIII-wieczny kołowrotek z drewna orzecha włoskiego służył bardziej rozrywce pań, niż stanowił narzędzie pracy.

Zwiedzający pochylają się nad gablotkami – jak dobrze, że mamy tu sympatyczne gablotki, dzisiaj wypierane przez modne i bezduszne ekrany dotykowe – wpatrują się w przedmiot i nie mogąc odgadnąć jego przeznaczenia, przenoszą wzrok do opisu. Tak – często trudno dociec, do czego służyły te rzeczy. Większość z nich w dzisiejszych okolicznościach cywilizacji nie istnieje. Przestały być potrzebne.

Telewizor Wisła, to oczywiste. Stolik do robótek, przybory do haftu, męski robdeszan, czyli szlafrok (spolszczone francuskie robe de chambre), nóż do sera – także. Nawet maszynka do parzenia kawy z połowy XIX w. Choć w takim kształcie, jak tu widzimy, te rzeczy już

eprasa.pl d61c8fc80f

rzeczy

„Stan rzeczy" to opowieść o przedmiotach z różnych epok, kultur, stron świata FOT. MNW

by się dzisiaj nie przydały, to jesteśmy w stanie zrozumieć, do czego służyły. Ale niektóre są całkiem zagadkowe. Szczypce do rozpychania rękawiczek, porte bouquet – biżuteryjna oprawa do bukietów, weriera – naczynie do schładzania kieliszków, buliera – rodzaj czajnika do herbaty.

To już kraina fantasy. Nawet ich nazwy zostały zapomniane. Podobnie jak język, z którego pochodzą; w XVIII i jeszcze XIX w. francuski był obowiązkowy w wyższych sferach społecznych. Dziś został całkowicie wyparty przez angielski.

Wystawa daje ogromną przyjemność estetyczną. Nawigacja nie jest oczywista, ale gdy uważnie wpatrzeć się w broszurę, można przejść całość, niczego nie pomijając i oglądając eksponaty zgodnie z intencjami kuratorów. Mamy zatem rytm życia: wstajemy, wykonujemy zabiegi higieniczne, ubieramy się, jemy, przyjmujemy gości. Czynnościom życiowym odpowiadają poszczególne części wystawy i służące do nich przedmioty: poranna toaleta, domowe ubiory, praca w domu, nauka i zabawa, wielkie wyjście, wokół stołu, gry towarzyskie, obrazy i dźwięki. Z myślą o widzach dorosłych powstał dział używek. Prawdopodobnie dzisiejsi konsumenci zakazanych substancji ówczesne używki uznaliby za dziecinną zabawę.

Poza zmysłową przyjemnością oglądania pięknych przedmiotów „Stan rzeczy" jest przede wszystkim przyczynkiem do refleksji o przemijaniu. Brzmi banalnie, ale przecież właśnie te kunsztowne zabawki, luksusowe, wyrabiane ręcznie, trwałe, drogie dają do myślenia. Znikły z horyzontu, zapomniano o nich.

MACLUKSUS Z LOTNISKA

„Przedmioty będą znikać" – w katalogu kuratorka Grażyna Bastek cytuje słowa sławnego francuskiego projektanta Philippe'a Starcka z wywiadu udzielonego we wrześniu 2021 r. Zapowiada w nim koniec artystycznego projektowania. Po co bowiem design w świecie wirtualnym?

Zabawnie, jeśli nie obłudnie brzmią te słowa w ustach człowieka, który żyje z projektowania i sprzedawania przedmiotów i na tym dorobił się sporej fortuny. Słyszałam, jak w wywiadzie w odpowiedzi na pytanie, czy w jego domu wszystko jest jego własnym dziełem, odpowiedział, że ma kilka domów, ale w niektórych jeszcze nie był.

W odpowiedzi na młyn konsumpcyjny, w którym znalazła się nasza cywilizacja, przy tempie przyrastania naszego stanu posiadania mnożą się teorie i wezwania do ograniczenia konsumpcji. Różne blogi o minimalizmie i zapewnienia wielkich korporacji, że ograniczą konsumpcję, brzmią równie obłudnie jak słowa Starcka. I równie mało z nich wynika.

To jasne, że pozłacana oprawa do bukietów, którą damy nosiły, wychodząc na spacer lub w czasie balu, nie ma dzisiaj racji bytu. Ale widząc te wszystkie misternie wykonane rękodzieła sztuki jubilerskiej, stolarskiej, krawieckiej, zastanawiamy się również, jak bardzo zmieniło się pojęcie luksusu.

Na jednym z witraży katedry Notre Dame przedstawiona jest dama, która stroi się przed lustrem.

To alegoria luksusu – piętnowanego przez Kościół uosobienia zła, moralnej zgnilizny i zepsucia. Pisze o tym Christopher J. Berry w książce pt. „The Idea of Luxury" (Cambridge University Press 1994). Autor pokazuje historyczną ewolucję pojęcia luksusu. Nabywcy ekskluzywnych dóbr istnieli we wszystkich cywilizacjach – w starożytnym Egipcie, Babilonii, u Azteków. Jest o nim mowa w Biblii i u Homera. Do historii przeszedł wjazd Jerzego Ossolińskiego do Rzymu 27 listopada 1633 r. Okryte drogim suknem wozy z herbami, kozacy, dworzanie, wielbłądy, przystrojone rubinami, diamentami i turkusami konie, które gubiły złote podkowy, ponoć specjalnie źle przymocowane... Postrzeganie zbytku zmieniało się przez wieki: od potępianego, zagrażającego wartościom w średniowieczu aż do współczesnego – niewinnego usprawiedliwienia zachcianek konsumpcyjnych podsycanych przez kapitalizm. Luksus – dobro niegdyś rzadkie, dostępne dla nielicznych – dziś z klasy zjechał do poziomu masy.

Z salonów elity zjechał do poziomu reklamowanej na billboardach wulgarnej, drogiej konfekcji z Moliera 2.

Macluksus – luksus epoki rozwiniętego kapitalizmu – to towar masowy, dostępny w centrach handlowych, na lotniskach, na eleganckich ulicach stolic, w sklepach internetowych. Konfekcja, galanteria skórzana, okulary, biżuteria.

Châtelaine z zegarkiem-pektoralikiem, pieczątkami i brelokami FOT. MNW

Grażyna Bastek: „Dzisiejsze świeczniki, zużyte długopisy, wzgardzone ubrania, a nawet meble zapewne wylądują na śmietniku. W przyszłości nikt im nie nada numeru inwentarza i nie ustawi na półce w magazynie lub w galeryjnej gablocie. Nie tylko dlatego, że nie mają muzealnej wartości, przede wszystkim dlatego, że nie przetrwają w naszych domach – zostaną wyrzucone podczas kolejnych »wielkich sprzątań«, razem z plastikowymi pojemnikami, które rozpadły się po jednym sezonie używania. I chociaż szybko staną się odpadem, to rozłożą się po kilkuset, a niektóre nawet po tysiącu lat. Tyle liczą ceramiczne naczynia stojące w magazynach sztuki starożytnej".

Więc co po nas zostanie poza plastikiem w oceanach? Krzesło Starcka, T-shirt z H&M i zużyty iPhone? Flakonik na sole trzeźwiące by się przydał. Szkoda, że już go nie używamy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d61c8fc80f

Z prof. Rafałem Wiśniewskim, dyrektorem Narodowego Centrum Kultury *rozmawia Tomasz Rowiński*

Kreatywność i praca u podstaw

FOT. NARODOWE CENTRUM KULTURY

TOMASZ ROWIŃSKI: Jakie jest miejsce Narodowego Centrum Kultury we współczesnej kulturze polskiej?

PROF. RAFAŁ WIŚNIEWSKI: Kultura to prawie wszystko, co nas otacza, i jest wytworem ludzkiej twórczości, z wyłączeniem natury. Człowiek oczywiście jest po części istotą społeczno-kulturową, a po części biologiczną. Jeśli przyjmiemy taką szeroką definicję kultury, to dostrzeżemy, że aktywność Narodowego Centrum Kultury wpisuje się w nader uniwersalną wizję i odzwierciedla różne zjawiska w kulturze. To instytucja, która stara się egalitarnie i inkluzywnie działać na rzecz rozwoju kultury i promocji dziedzictwa narodowego w każdym środowisku społecznym oraz w każdej zbiorowości. I szerokie spektrum naszej aktywności rzeczywiście jest odzwierciedleniem misji sformułowanej w 2017 r.: „Wychodząc poza teraźniejszość, pielęgnujemy przeszłość".

Co to znaczy?

To znaczy, że z jednej strony szukamy innowacyjnych i kreatywnych rozwiązań w obszarze kultury. Staramy się być wzorotwórczy dla polskich, a także – nie boję się tak formułować naszych celów – europejskich instytucji kultury. Z drugiej strony z pietyzmem podchodzimy do przeszłości, ponieważ kultura – przywołując wybitnego, polskiego socjologa Stefana Czarnowskiego – to wspólnotowy dorobek przekazywany z pokolenia na pokolenie. Nie traktuję kultury w sposób ahistoryczny, nie uważam, że możemy odciąć się od przeszłości. Jestem przekonany, że ciągłość, kontynuacja jest immanentnym atrybutem kultury. Rolę NCK postrzegam jako upowszechnianie dziedzictwa w sposób otwarty, komunikatywny i interesujący. Każdy, nawet złożony temat można przedstawić atrakcyjnie albo w sposób redukujący jego odbiór do wąskiej grupy zainteresowanych. Moje doświadczenie akademickie podpowiada mi, że trzeba znaleźć odpowiedni klucz, by dotrzeć do audytorium i je zaangażować. W praktyce oznacza to konieczność pewnego rodzaju segmentacji odbiorców, ponieważ – także w kulturze – nie wszystko ma wymiar uniwersalny. Inny przekaz kierujemy do tych, którzy funkcjonują w kulturze profesjonalnie, a inny do hobbystów, miłośników kultury. Inaczej i w innych formach kultura dociera do ludzi w dużych miastach, inaczej w małych miasteczkach, a jeszcze inaczej na obszarach wiejskich. Różnimy się, mamy również inne potrzeby – nie stanowimy jednej, homogenicznej grupy uczestników kultury. Trzeba na bieżąco analizować nowe trendy i dostosowywać do nich ofertę kulturalną. To wymaga nieustannego badania, obserwacji i stawiania pytań, a także dyskutowania i spierania się. W zespole NCK często dyskutujemy na temat efektywności metod i kanałów komunikacji.

Jaka wobec tego jest pana wizja przyszłości?

Jak pisał John Gray, przyszłość to jest zawsze trochę lot na ślepo. Kiedy mamy już określone warunki brzegowe działania, to łatwiej nam się poruszać, ale trudno – a czasem to jest decydujące – kreować i wdrażać nowatorskie rozwiązania. Sądzę jednak, że na tym właśnie polegają rola i siła NCK. I my się tego wyzwania nie obawiamy. Według prestiżowego medialnego rankingu Top Marka 2021 jesteśmy najlepiej pozycjonowaną marką – liderem sektora kultury w Polsce.

Czy sukces NCK nie polega po prostu na tym, że staliście się agregatem oddolnych inicjatyw, którym daliście szansę zaistnieć?

Rzeczywiście, uważnie wsłuchujemy się w „lokalność". Mamy przekonanie, że jest ona ważnym elementem procesów społecznych i obszarem konstrukcji kultury. Praca w kulturze wymaga konfrontowania się z ludźmi funkcjonującymi w różnych kontekstach społecznych i dialogu z nimi, pytania o to, co jest dla nich kluczowe. Z tej perspektywy mogę potwierdzić, że – poprzez nasze programy dotacyjne – inspirujemy animatorów kultury i twórców do podejmowania lokalnych działań, które wspieramy różnymi formami kapitału (ekonomicznego, społecznego i kulturowego), jak również agregujemy wiedzę o lokalnych przedsięwzięciach, szkolimy i profesjonalizujemy oraz wzmacniamy sieci społeczne.

eprasa.pl d61c8fc80f

Mam wielką satysfakcję, że tak znacząco przyczyniamy się do realizacji tysięcy inicjatyw w całej Polsce i od lat jesteśmy rzecznikiem oraz sojusznikiem samorządowych instytucji kultury. To wszystko jest możliwe dzięki ogromnemu zaangażowaniu zespołu NCK. Mówiąc obrazowo: koncert każdej gwiazdy muzycznej wymaga zaangażowania sztabu najwyższej klasy profesjonalistów. Tak właśnie pojmuję zespół NCK. My nie siedzimy i nie czekamy, aż pomysły same do nas dotrą, ale staramy się inicjować nowe rozwiązania. Aktywnie przyglądamy się temu, co dzieje się w różnych środowiskach. Prowadzimy całe spektrum badań i analiz w sektorze kultury. Jesteśmy w stałym kontakcie z przedstawicielami środowiska.

Jak pan rozumie kulturę narodową?

Nie boję się mówienia o kulturze narodowej, odrzucam też iluzoryczne i fasadowe podejście do tego tematu na rzecz realnego i podmiotowego postrzegania wspólnoty narodowej. W socjologii kultury koncepcje narodu mają długą i dobrą tradycję, i to zarówno wśród badaczy europejskich, jak i polskich, by wspomnieć prace prof. Antoniny Kłoskowskiej, np. książkę „Kultury narodowe u korzeni". Mówiąc o narodzie, trzeba zwrócić uwagę na elementy wspólnotowe, m.in. język stanowiący fundament kultury, ale i treści, a przede wszystkim wartości narodowe – spoiwo więzi narodowej. Gdy mówimy o Mickiewiczu, Chopinie, dorobku polskiego malarstwa – w naszej galerii Kordegarda prezentujemy obecnie dzieła Józefa Czapskiego z kolekcji prywatnych – to okazuje się, że jako Polacy myślimy właśnie w kategoriach narodu, w kategoriach esencjonalnej wspólnotowości, tylko zwykle takich pojęć nie używamy. Naród jest też punktem wertykalnych odniesień aksjologicznych. One nie są redukowalne, obejmują zespół wartości, do których odnosi się tożsamość narodowa. Świat kultury to świat wartości i norm stanowiących fundament i drogowskaz naszego życia zarówno indywidualnego, jak i społecznego.

Porozmawiajmy o konkretach działania NCK

Gdybyśmy podsumowali działania NCK, to otrzymalibyśmy 1,5 tys. projektów, które dofinansowaliśmy ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, dzięki życzliwości i wsparciu wicepremiera, prof. Piotra Glińskiego, który jest wielkim orędownikiem kultury i twórców kultury. Dzięki temu w ostatnich latach zauważalnie wzrastał nasz budżet, a co za tym idzie – zwiększały się możliwości i skala działania. Gdy przychodziłem do NCK w roku 2017, mieliśmy budżet na poziomie 70 mln zł, dziś jest to ponad 150 mln zł. Te pieniądze za naszym pośrednictwem trafiają do samorządowych instytucji kultury, organizacji pozarządowych oraz innych lokalnych podmiotów.

Jaki jest zakres wsparcia, którego udzielacie środowiskom lokalnym?

Łatwiej byłoby powiedzieć, czego nie wspieramy. I chyba tu musiałbym wymienić jedynie balet. Do NCK rocznie trafia ok. 10 tys. wniosków o dofinansowanie. Nasze zaangażowanie rozkłada się na segmenty, o których już mówiłem, czego przykładem może być program „Etno Polska". Zwracamy w nim szczególną uwagę na dziedzictwo małych miejscowości do 50 tys. mieszkańców. A więc – powtórzę raz jeszcze – nasze wsparcie nie tylko trafia do dużych miast, gdzie kultura jest szeroko dostępna, lecz także szczególną troską otaczamy mniejsze ośrodki, gdzie poszukujący kontaktu z wartościowymi treściami kultury ma nieporównywalnie skromniejszy wybór.

Od lat NCK angażuje się z sukcesami jako kreator w obszarze muzyki.

Nasze zaangażowanie w projekty muzyczne jest coraz częściej dostrzegane i doceniane, co potwierdza tegoroczny Fryderyk dla albumu „Pieśni współczesne" Miuosha i zespołu Śląsk, którego jesteśmy koproducentem. Dodam, że rok temu mieliśmy udział w dwóch produkcjach nominowanych do tej muzycznej nagrody. Mówię o płycie „Herbert 3.0", na której wiersze Zbigniewa Herberta śpiewają polscy artyści. W pierwszej chwili pomysł ten wydawał się może nieco karkołomny, ale ostatecznie projekt się udał. Podobnie stało się z nową wersją kultowego krążka Marka Grechuty i Anawy – „Anawa 2020", stworzoną z inicjatywy NCK przez Wojciecha Waglewskiego oraz gwiazdy muzyki rockowej i alternatywnej. Czujemy i cenimy również muzykę jazzową i popularyzujemy ją w dobrych wykonaniach na naszych festiwalach, koncertach i nagraniach płytowych. W tym miejscu przywołam najnowszy projekt, zrealizowany z radiową Dwójką – album Sławka Jaskułke „Europa 67/21", inspirowany twórczością Krzysztofa Komedy. Unikatowym projektem jest „Dziedziniec Kultury", czyli cykl wakacyjnych piątkowych koncertów na dziedzińcu Ministerstwa Kultury. To namacalny przykład symbolicznego i realnego otwarcia przestrzeni ministerstwa na kulturę – w lipcu i sierpniu dziedziniec resortu jest otwarty dla tych, którzy chcą bezpłatnie, na żywo posłuchać wybitnych polskich artystów i dobrej muzyki. Wydarzeń festiwalowych jest oczywiście więcej, np. „Wschód Kultury" w Rzeszowie, Lublinie i Białymstoku czy „Eufonie" – festiwal odwołujący się do tradycji wspólnoty regionalnej krajów Europy Środkowo-Wschodniej, który w ubiegłym roku został uhonorowany przez ministrów kultury Grupy V4 Nagrodą Wyszehradzką.

Nie możemy nie wspomnieć o Narodowym Programie Rozwoju Czytelnictwa 2.0 (NPRCz 2.0) zainicjowanym przez wicepremiera Piotra Glińskiego.

Zdecydowanie to jedno z naszych priorytetowych przedsięwzięć i nasza fundamentalna misja: nieustannie zachęcać do czytania i korzystania z bibliotek publicznych. Ten projekt jest wyjątkowy ze względu zarówno na skalę, zasięg działania, jak i współpracę instytucjonalną Ministerstwa Kultury, Ministerstwa Edukacji, Biblioteki Narodowej, Instytutu Książki, NCK i lokalnych instytucji. Warto podkreślić, że biblioteki to miejsca, które nie tylko oferują bezpłatny dostęp do różnorodnych publikacji książkowych, w tym aktualnych bestsellerów, lecz także są nowoczesnymi, lokalnymi i kompletnymi centrami dostępu do rozrywki, kultury i wiedzy. W Polsce działa ok. 2,5 tys. bibliotek publicznych, które wraz ze swoimi filiami tworzą sieć prawie 8 tys. instytucji kultury w naszym bezpośrednim sąsiedztwie. Ich modernizacja, rozbudowa i zakupy nowości książkowych są w szerokim zakresie dofinansowywane właśnie ze środków wieloletniego, systemowego programu rządowego na lata 2021–2025, jakim jest NPRCz 2.0. Pamiętajmy, że w przypadku czytelnictwa nie wystarcza sam dostęp do publikacji. Potrzeba czegoś więcej – pozytywistycznej pracy u podstaw, prowadzonej konsekwentnie dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku w celu promocji kultury czytania. I temu służą NPRCz 2.0 oraz praca wszystkich instytucji zaangażowanych w jego realizację. Reasumując: bez muzyki i bez książki trudno sobie wyobrazić NCK.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d61c8fc80f

Wszystko w rodzinie

Piotr Gociek

„Kto zabił?", „Czy zabił?" – tradycyjne pytania z opowieści kryminalnych trafiają w „Schodach" na drugi plan. Ważniejsze staje się: Co, u licha, tak naprawdę dzieje się z rodziną Petersonów?

Pierwsze minuty serialu „Schody" przekonują nas, że nawet gdy mowa o historii, która wydarzyła się naprawdę, opowieść fabularna jest wyborem bez porównania lepszym niż film dokumentalny. True crime święci w ostatnich latach triumfy, na efektowne montaże zeznań świadków, ofiar, policjantów prowadzących śledztwo – a czasem i sprawców – wydawane są coraz większe pieniądze, nic jednak nie jest w stanie równać się z prawdziwym zmyśleniem. Dobremu reżyserowi wystarczy kilka ujęć, by złapać widza za łeb i wciągnąć wprost do kreowanego świata; utalentowanemu aktorowi wystarczą strzępy dialogu, by stworzyć intrygującą postać. W „Schodach" wszystko to dzieje się w ciągu kilku minut, zaiste reżyser jest bardzo dobry, a w obsadzie utalentowanych aktorów nie brakuje.

Para nastolatków wraca ze świątecznej imprezy; jest chłodny grudniowy wieczór. Były drinki, zabawa, przyjaciele, jest więc też nadzieja na ciąg dalszy. Pod rezydencją państwa Petersonów stoją jednak samochody policyjne i karetka. Wewnątrz zrozpaczony ojciec, ciało matki leżące przy kuchennych schodach, funkcjonariusze, taśma, kamery. „Coś jest nie tak, coś jest nie tak" – powtarza Michael Peterson, kryjąc twarz w dłoniach. To on znalazł żonę, to on zawiadomił pogotowie ratunkowe. Wstrząśnięty syn pyta policjantkę, czy mogą przysłać specjalistę od traumy, tymczasem po chwili do domu wkracza policjant ogłaszający dom sceną zbrodni.

Sprawa Michaela Petersona była już tematem głośno komentowanej miniserii. Stworzył ją Jean-Xavier de Lestrade w 2004 r. dla francuskiego Canal+ (produkcja powstała w języku angielskim, więc szybko obiegła resztę świata). Teraz historia śmierci Kathleen Peterson, długiego dochodzenia do prawdy oraz procesu (a nawet dwóch procesów) powraca w fabularnym serialu Antonia Camposa dla HBO Max.

DUSZE W UDRĘCE

Kilka słów dla tych, którym rzecz umknęła, gdy opisywały ją gazety. Michael Peterson to weteran marines i pisarz (w Polsce ukazały się dwie z jego powieści: „Czas wojny" i „Gorzki pokój"). Ma też w życiu epizod polityczny, ale jego marzenia o wielkiej karierze zostały rozbite za sprawą dość dowolnego obchodzenia się z prawdą o własnej żołnierskiej przeszłości (nigdzie nie prześwietla się kandydatów tak dobrze jak w USA). Media miały używanie, a wyjaśnianie sprawy śmierci Kathleen Peterson zajęło 15 lat. W tym czasie doszło do jednego z najdłuższych procesów sądowych w dziejach Karoliny Północnej. A także do wydania kontrowersyjnego wyroku, gwałtownych zmian frontu wśród familii Petersonów (sklejonej z różnych rodzin, bo małżonkowie mieli dzieci z poprzednich związków) oraz ujawnienia niepokojących faktów z przeszłości nie tylko oskarżonego (jego pierwsza żona zmarła w identycznych okolicznościach).

Będziecie zdumieni, ile kolejnych warstw uraz, konfliktów, kłamstw i podejrzanych zbiegów okoliczności zmieściło się w tej opowieści

Campos, twórca m.in. filmu „Diabeł wcielony", szykował się do nakręcenia „Schodów" od roku 2008. Zebrał zacne grono sojuszników. Główną rolę zagrał Colin Firth, w rolę Kathleen Peterson wcieliła się Toni Collette. Świetnie obsadzono role ich dzieci: adoptowaną

eprasa.pl d61c8fc80f

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

córkę Petersona (rodzina była mocno patchworkowa) gra Sophie Turner (pamiętamy ją jako Sansę z „Gry o tron"), jako synów widzimy Danego DeHaana i Patricka Schwarzeneggera, stawkę uzupełniają Odessa Young i Olivia DeJonge. Całkiem spora gromadka, wśród której relacje bywają różne, a podziały zostaną za chwilę pogłębione, gdy w sprawę Kathleen Peterson wmieszają się prawnicy. Coś gnije w tym pięknym domu w Durham (Karolina Północna), domyślamy się już w chwili, gdy całą gromadkę widzimy po raz pierwszy. Ale co?

Życie pisze najdziwniejsze scenariusze; będziecie mocno zdumieni, ile kolejnych warstw uraz, konfliktów, kłamstw i podejrzanych zbiegów okoliczności zmieściło się w tej opowieści. Klimat jest mroczny, intencje niejasne, dusze w udręce. Niektórzy amerykańscy recenzenci używają, opisując „Schody", terminu „american gothic". Coś w tym jest, bo rezydencja Petersonów to taki nawiedzony zamek, tyle że znajdziemy w nim nie widma byłych lokatorów, lecz echa dawnych kłamstw. Szczegółów podawał nie będę, by nie psuć widzom przyjemności oglądania tej produkcji.

PODOBNY, TYLKO LEPSZY

Serial Antonia Camposa to przykład produkcji charakterystycznych dla HBO w ostatnich latach: dramaty psychologiczno-kryminalne rodzinne dla dorosłych, w wyśmienitej obsadzie, często na podstawie popularnych powieści (wspomnijcie wszystkie te „Wielkie kłamstewka", „Od nowa" czy „Ostre przedmioty"). Jest jednak od nich, mam wrażenie, lepszy, bo wykraczając – tak jak i one – poza proste kwestie „Kto zabił", „Czy zabił?" i przyglądając się dysfunkcyjnym relacjom rodzinnym, niesie zarazem intrygujące pytanie o to, jak różne są prawdy rozmaitych bohaterów. A mamy przecież tu także prawdę sądu, prawdę prokuratora, prawdę mediów i… prawdę dokumentu: otóż sprawa Petersonów była, jak wspomniałem, przedmiotem serialu dokumentalnego. Campos wprowadza jego autorów na scenę swojej opowieści (twórców francuskiej serii true crime grają Vincent Vermignon i Juliette Binoche).

Reżyser nakłada w ten sposób na całą historię jeszcze jeden filtr. Przybysze, rejestrując wypowiedzi bohaterów, sami zastanawiają się nad tym, co tak naprawdę usłyszeli, komu można wierzyć, kto budzi wątpliwości. Prowadzą też własne dziennikarskie dochodzenie – które zresztą było istotną częścią dochodzenia do prawdy. O ile do niej doszliśmy, bo nie bez powodu mottem, które widzimy na początku pierwszego odcinka, są słowa z Ewangelii św. Jana, w których Piłat zastanawia się nad tym, cóż to właściwie jest prawda.

KOLEJNE WERSJE PRAWDY

Pod koniec powieści Michaela Petersona „Czas wojny" amerykański generał próbuje przekonać ambasadora w Wietnamie, że przebieg niedawnych wydarzeń (chodzi o ofensywę Tet) i ich prawdziwe znaczenie różnią się zdecydowanie od informacji i interpretacji trafiających do Waszyngtonu. Generała martwi nie tylko to, że kolejne decyzje mogą być podejmowane na podstawie fałszywych przesłanek, lecz także to, że „to, co zrobią z tego środki masowego przekazu, zostanie uznane za werdykt historii". Kto opowiada, ten ma władzę nad prawdą, w „Schodach" bardzo uważnie trzeba śledzić kolejne wersje prawdy.

Nie było w HBO (obecnie już HBO Max) równie dobrego serialu od czasów „Mare z Easttown". Robota aktorska jest w „Schodach" wyśmienita, narracja wciągająca, ręka reżysera pewna. Nad wszystkim góruje zaś Colin Firth, tworzący kreację wybitną. Aby było przekonujące, prawdziwe zmyślenie potrzebuje prawdziwych talentów. Tak jest tym razem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

★★★★★☆

ANTONIO CAMPOS
„SCHODY"
(„THE STAIRCASE")
USA 2022

wyst. Colin Firth, Toni Collette, Michael Stuhlbarg, dystr. HBO Max

eprasa.pl d61c8fc80f

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

CANAL+ ONLINE

Zwyczajni Niemcy

Jednym z najbardziej przerażających momentów książki „Naziści. Ostrzeżenie historii" (i powstałego wraz z nią serialu dokumentalnego) była chwila, kiedy historyk Laurence Rees rozmawia z pewną miłą starszą panią. Pani Kraus (naonczas 76-letnia) zostaje skonfrontowana z donosem, który złożyła w 1940 r. na sąsiadkę, pannę Totzke, która ma żydowski wygląd, zawsze wolała Francję oraz Żydów i nie odpowiada na nazistowskie pozdrowienie. Totzke została aresztowana. Zginęła w Ravensbrück. Pani Kraus wyparła się wizyt na gestapo i oświadczyła, patrząc na dokument: „Adres jest prawdziwy. Mój podpis jest prawdziwy. Ale nie wiem, skąd się to wzięło".

Reżyser Luke Holland (którego dziadkowie zginęli w obozie koncentracyjnym) poświęcił 12 lat na rozmowy z ostatnim żyjącym jeszcze pokoleniem „zwykłych Niemców", często długo pracując nad przełamaniem niechęci do kamery. Owocem tej pracy (i kilkuset wywiadów) jest film dokumentalny „Świadkowie zbrodni", pokazany w Canal+ 9 maja i dostępny już w serwisie on-line. Światową premierę miał w 2020 r. na festiwalu filmowym w Wenecji. Rozmówcy Hollanda często nie czują wstydu, który kazał pani Kraus kłamać. Oto jeden z mieszkańców wioski nieopodal Bergen-Belsen pokazuje rodzinne gospodarstwo, w którym ukryli się uciekinierzy z obozu. Co się z nimi stało? „Odkryliśmy ich i oddaliśmy w ręce władz" – mówi tonem, jakby to była oczywista oczywistość.

Weterani Wehrmachtu, byli strażnicy obozów koncentracyjnych, ale przede wszystkim zwyczajni Niemcy – panie domu, gosposie, farmerzy. Prawdziwi twórcy Holokaustu. Sympatyczni siwi staruszkowie i staruszki, ponoć rozliczeni z przeszłością Niemiec, opowiadający o przeszłości w mieszczańskich wnętrzach współczesnych mieszkań. Film Hollanda zostaje w pamięci na długo. Zalecam uzupełnienie seansu: nakładem Instytutu Pileckiego ukazała się właśnie książka Samuela Salzborna „Zbiorowa niewinność. Wypieranie Szoah z niemieckiej pamięci". Niezwykle trzeźwiąca to lektura na temat zachodzących w Niemczech procesów. Bohaterowie filmu Hollanda już nie żyją (reżyser także – zmarł w 2022 r.), teraz nikt nie będzie im więcej stawiał trudnych pytań. A obsadzający się dziś w roli pierwszych moralistów kontynentu Niemcy przechodzą przyspieszony kurs uniewinniania i wymazywania pamięci. ©℗

★★★★★☆

REŻ. LUKE HOLLAND „ŚWIADKOWIE ZBRODNI" („FINAL ACCOUNT") USA/WIELKA BRYTANIA 2020

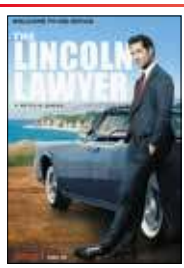

NOWE SERIALE: „PRAWNIK Z LINCOLNA"

Prawnik Mickey Haller to przyrodni brat detektywa Boscha, znanego bohatera powieści kryminalnych Michaela Connelly'ego. Po raz pierwszy pojawił się w książce „Prawnik z lincolna" (samochód jest jego mobilnym biurem). W kinowym filmie z 2011 r. grał go Matthew McConaughey, teraz dostajemy wersję serialową, w roli głównej zaś pojawia się meksykański aktor Manuel Garcia-Rulfo. Nie jest to remake, lecz ekranizacja drugiej powieści o Hallerze, wydanej w Polsce jako „Ołowiany wyrok". Ciąg dalszy zapewne nastąpi, bo na sfilmowanie czekają kolejne cztery części cyklu. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***sezon 1 „Prawnik z lincolna" („The Lincoln Lawyer"), USA 2022***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *sezon 2* ***„Teheran"****, USA 2022* — tv

• *sezon 2* ***„The Wilds"****, USA 2022* — prime video

• *reż. Ryūsuke Hamaguchi* ***„Asako. Dzień i noc"****, Japonia 2018* — NH

eprasa.pl d61c8fc80f

Trudno być trzeźwą

HBOmax

Ijon Tichy, podróżując w Kosmosie, doznał rozmnożenia jaźni. Cassandra Bowden nie wpadła w wir grawitacyjny, lecz problemy ma podobne. W chwilach kryzysu musi znosić kąśliwe komentarze swych poprzednich lub potencjalnych wcieleń. A przecież po traumatycznych przejściach z pierwszego sezonu „Stewardesy" postanowiła się zmienić. Zamieniła Nowy Jork na Los Angeles, wytrwała rok w trzeźwości, ma stałego partnera i dodatkową pracę – dla CIA. W Berlinie jest świadkiem morderstwa, w Rejkiawiku wpada na trop ukrywającej się agentki i notorycznie łamie zasady tajnych służb, wywołując zrozumiałą konsternację centrali. Cassie to egoistyczna nastolatka uwięziona w ciele dorosłej kobiety. Mniemam, że konkurs na najbardziej irytującego bohatera serialu wygrałaby w cuglach. Pozostałe postacie też nie grzeszą nadmiarem zdrowego rozsądku i opanowania. Kaley Cuoco błyszczała już w „Teorii wielkiego podrywu", tu jednak udało jej się wznieść na wyższy aktorski poziom. „Stewardesa" z pozoru jest brawurową komedią obśmiewającą schematy kina szpiegowskiego. Sęk w tym, że alkoholizm wcale nie jest zabawny. Scenarzyści prowadzą widzów wąską ścieżką nad przepaścią, a jeśli nie postawią fałszywego kroku, to trzeci sezon stanie się nieuniknioną koniecznością. Czwartą gwiazdkę przyznaję za ścieżkę dźwiękową. ©℗

★★★★☆☆
„STEWARDESA", SEZON 2 („THE FLIGHT ATTENDANT")
USA 2022
wyst. Kaley Cuoco, Zosia Mamet, Griffin Matthews

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

BÓL ZĘBÓW

Komedia, przypomniana w miniprzeglądzie dokonań autora zdjęć Andrzeja J. Jaroszewicza, jest dzieckiem epoki schyłku PRL. Zrodziła się w umyśle Bolesława Michałka. Król krytyki, zniesmaczony twórczą impotencją filmowców, popełnił fabułę o wypalonym scenarzyście, którego wyobraźnię zachwaszczają cytaty z cudzych dokonań. Peszek wykorzystał okazję do zademonstrowania aktorskiej wszechstronności, w epizodach błyszczą Pawlik, Niemczyk i Himilsbach lecz film, wykpiwający grzechy rodzimej kinematografii, sam bezwstydnie je powielił. Duch czasów wyraził się tu mieszanką frustracji i cwaniactwa, epatowaniem golizną i nieuleczalnymi kompleksami („Oni na Zachodzie robią to znacznie lepiej"). Zmęczeni bohaterowie liczą na dobrą zmianę. Bo jak tu żyć, gdy dentysta wystawia rachunek opiewający na 400 tys. zł?

★★☆☆☆☆
REŻ. ROBERT GLIŃSKI
„ŁABĘDZI ŚPIEW"
POLSKA 1988
wyst. Jan Peszek, Grażyna Barszczewska, Jolanta Piętek-Górecka

POKONAĆ STRACH

KINO

Doktor Strange ma złamane serce, w dodatku nękają go koszmary, które okazują się rzeczywistością – w świecie równoległym do naszego. Bezlitośni scenarzyści każą mu stawić czoła Szkarłatnej Wiedźmie, a – jak wiadomo – łatwiej okiełznać apokaliptyczną bestię niż rozgoryczoną kobietę. Strange, nie tracąc flegmy, manier dżentelmena tudzież zgryźliwego poczucia humoru („znowu trafisz na T-shirty"), próbuje tej sztuki dokonać. Filmowcy zadbali, by parytet rasowo-płciowy odpowiadał współczesnym wymogom. Najwyższy Czarodziej jest Azjatą, nastoletnią podopieczną doktora wychowały dwie matki. Sceny z piekła rodem pojawiają się późno, gdy zaczynamy już podejrzewać, że Raimi jest weteranem horroru, lecz w innym uniwersum. Mnie jednak bardziej urzekła sekwencja pojedynku na nuty, który disnejowski superbohater musi stoczyć sam ze sobą. ©℗

★★★☆☆☆
REŻ. SAMI RAIMI
„DOKTOR STRANGE W MULTIWERSUM OBŁĘDU"
USA 2022
wyst. Benedict Cumberbatch, Elizabeth Olsen, Benedict Wong

recenzuje Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „GRA SZYFRÓW"

IPN szuka nowoczesnych form dotarcia do młodych odbiorców. Po komiksach przyszedł czas na grę komputerową – krótką, darmową przygodówkę pozwalającą się wcielić w autentyczne postaci stawiające czoła bolszewikom w wojnie 1920 r. Jak wyszło? Nierówno. Pierwsze wrażenia naprawdę pozytywne – ładna graficznie, klimatyczna. Ale im dalej w las, tym gorzej – do bólu liniowa, nie do końca logiczna, z przeciwnikami bez jakiejkolwiek sztucznej inteligencji poruszającymi się zawsze wskazanym przez programistów szlakiem i reagującymi jednakowo. Pod tym względem to produkt sprzed 20 lat. Do młodego, wymagającego pokolenia graczy w ten sposób nie uda się trafić. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★☆☆☆

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *point and click, FPP*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Chronospace, IPN*

eprasa.pl d61c8fc80f

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Ruski mental

Ta książka prof. Andrzeja Nowaka powinna się znaleźć w każdym polskim domu i być przeczytana przez każdego Polaka, a szczególnie tego, kto żywi jeszcze jakiekolwiek złudzenia, pozwalające traktować Rosję i Rosjan jak każdy inny kraj i naród. Agresywność, brutalność, zdziczenie hord Putina, którym przeciwstawiają się dziś Ukraińcy, nie narodziły się ani dziś, ani wczoraj. Autor „Polski i Rosji", odsłaniając źródła rosyjskiej mentalności, sięga aż do czasów powstania państwa polskiego i Rusi Kijowskiej. I stopniowo, krok po kroku, pokazuje, jak rodził się wielkorosyjski imperializm, którego integralną częścią była zawsze podszyta strachem nienawiść do świata zachodniego. A dla Rosjan Zachodem byliśmy my.

Eurazjanizm, za sprawą Lwa Gumilowa, syna Anny Achmatowej zresztą, przeorał rosyjskie umysły, pozwalając uwierzyć Rosjanom, że to oni właśnie bronią dziś wolności. Tak jak przed laty zwierzchność mongolska, trwająca dwa i pół stulecia (!), rzekomo ocaliła „Ruś przed idącą nieuchronnie od Zachodu dominacją".

W istocie Rosjanie okazali się nadzwyczaj pojętnymi uczniami Czyngis-chana i jego następców. Między XV a XVII w. tempo ekspansji państwa moskiewskiego przekraczało rocznie 60–70 tys. km kw. „Mniej więcej tak, jakby co rok, przez trzysta lat z rzędu, Moskwa połykała Holandię i Belgię razem wzięte. To już nie mogła być „tylko" Moskwa. To już była carska »Rossija«…".

„Rossiji" tej Rzeczpospolita stawała kością w gardle. „Jeśli chce się zrozumieć istotną część współczesnej historii Polski, aż po dzień dzisiejszy – powiada Andrzej Nowak – to wiek XVIII dostarcza wyjątkowo pouczającej lekcji. Rzeczpospolita istniała jako osobne państwo, wciąż wielkie obszarem, ze swoim królem, instytucjami, wojskiem – ale nie była już suwerenna. To głos Rosji stał się w sprawach Rzeczypospolitej rozstrzygający. A wszystko to Piotr osiągnął nie jako wróg Polski, broń Boże! Uzyskał ten śmiertelny chwyt nad Polską jako jej sojusznik albo lepiej powiedzieć: jako tzw. sojusznik".

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

Autor, kolejny raz, udowadnia, że historia pod dobrym piórem może być, i jest, fascynująca. I że choć traktuje o przeszłości, często odległej, to nie traci swojej aktualności. Bo wciąż wraca. Cóż z tego, że w innej formie? Dlatego też Andrzej Nowak odwołuje się nie tylko do sławnego obrazu Matejki przedstawiającego Stańczyka zafrasowanego po stracie Smoleńska, lecz także do Jacka Kaczmarskiego snującego w swojej pieśni o Stańczyku własną, współczesną, opowieść – o Polsce i Rosji. I nieprzypadkowo przypomina wyniki zorganizowanego 13 lat temu plebiscytu na Imia Rassiji. Pięćdziesiąt milionów obywateli Rosji uznało za postać najlepiej symbolizującego ich ojczyznę Aleksandra Newskiego, wzorcowego – czytamy – „kolaboranta ruskiego z panami ze Złotej Ordy, a zarazem uświęconego pogromcy najeźdźców z zachodu", tytułowego bohatera ulubionego filmu Stalina, który to, nawiasem mówiąc, w tym samym plebiscycie zdobył wysokie, „medalowe", trzecie miejsce. Rozdzielił ich jedynie Piotr Stołypin, „imperialny premier, pogromca rewolucji 1905–1907 roku i Polaków". Gdyby kogoś dziwił brak w tym towarzystwie Lenina, od razu uspokajam: zajął niezłą szóstą lokatę.

Historia Rosji jest wstrętna jak jej współczesność: „Apologeci Józefa Stalina i Władimira Putina powtarzają to do dziś: przemoc i mordowanie są potrzebne, jeżeli jest to cena, jaką musimy zapłacić za wielkość naszego państwa, za jego zwycięstwa na arenie zewnętrznej, za strach, jaki rzucamy na swoich sąsiadów, nawet jeśli pociąga to za sobą straty milionów własnych obywateli".

„Wolność i despotyzm nie są rozdzielone geograficznie. Są impulsami wpisanymi w ludzką naturę – już na wstępie swojej książki stwierdza Andrzej Nowak. – Historia tworzy jednak przez wieki i przedstawia w retrospekcji kształt uwarunkowań, które wolność pozwalają rozwinąć albo stłumić; umacniają despotyczne techniki albo je podważają. To jest właśnie jedna z możliwych historii stosunków polsko-rosyjskich".

Dziś widzimy jak na dłoni, że jest to jedyna historia, jaką możemy przyjąć. Wyciągając z niej wszystkie wnioski, z ostatecznymi włącznie. ©℗

★★★★★★
ANDRZEJ NOWAK „POLSKA I ROSJA. SĄSIEDZTWO WOLNOŚCI I DESPOTYZMU X–XXI W."
BIAŁY KRUK, KRAKÓW 2022

eprasa.pl d61c8fc80f

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Kulawy los

Często mniej znaczy więcej, znaczy – lepiej. „Nemezis", jedna z mniej znanych u nas powieści Philipa Rotha, należy do jego najlepszych. Właśnie ukazuje się nowe wydanie. Z jednej strony dwa lata czy rok za późno, bo byłaby jednym z bestsellerów pandemii (zaraz wyjaśnię dlaczego), z drugiej może to dobrze, bo redukowanie jej znaczeń do opowieści czasu zarazy jest mocno krzywdzące.

Niemniej, poza wszystkim, jest to powieść czasu zarazy, tak jak była nią np. mikropowieść Katherine Anne Porter „Biały koń, biały jeździec", której akcja rozgrywa się podczas epidemii hiszpanki w 1918 r. (nawiasem mówiąc, wybitna rzecz, aż dziw, że nikt jej nie wznowił). U Rotha cofamy się do roku 1944 – w Newark wybucha epidemia polio. Choroba budziła uzasadnioną grozę, nie dalej jak w roku 1916 zabiła w północno-wschodnich stanach USA 6 tys. osób, a okaleczyła dużo więcej. W „Nemezis" początkowo wypadki rozwijają się jak w apokaliptycznym thrillerze, najpierw uspokajające komunikaty, potem gwałtowny wzrost liczby chorych, wreszcie chaotyczne próby poprawy sytuacji (m.in. wybijanie bezdomnych zwierząt).

Bucky Cantor, główny bohater (i narrator) powieści, to postać bardzo charakterystyczna dla prozy Rotha: młody, pełen nadziei, sumienny, a jednocześnie rozdzierany wątpliwościami na różne sposoby. Gdy śmierć zabiera jego kolejnych podopiecznych (jest nauczycielem i opiekunem boiska), zaczyna zmagać się z kryzysem wiary: Dlaczego Bóg na to pozwala? Jednocześnie dręczy go poczucie winy: chłop na schwał jak on powinien być w okopach i walczyć z Niemcami albo Japończykami; niestety poważna wada wzroku uczyniła to niemożliwym.

Nadchodzi godzina próby: narzeczona Cantora błaga go, by porzucił swych podopiecznych i dołączył do niej (też jest nauczycielką) na letnim obozie z dala od epidemii. Tyleśmy warci, ile nas poddawano próbom. Ale na ile nasze wybory determinują nasz los? Na ile jesteśmy zabawkami w rękach opatrzności? Jak mogą się państwo domyślić, tytuł powieści nie wziął się znikąd, Roth nie robi w happy endach. Jego bohater kładzie zaś na swoich barkach kolejne ciężary. Jak samego siebie widzi Bucky? „Cokolwiek by zrobił, nie sprosta to nigdy jego ideałowi samego siebie", a to oznacza, że jest „z góry potępiony". Sami jesteśmy swoimi największymi krzywdzicielami, nie trzeba do tego epidemii. ©℗

★★★★★☆
PHILIP ROTH „NEMEZIS" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Najgłośniejsza i najważniejsza powieść Kafki w przekładzie Jakuba Ekiera, który także opatrzył książkę posłowiem. Dodatkowo szkic prof. Łukasza Musiała (autora książki „Kafka. W poszukiwaniu utraconej rzeczywistości").

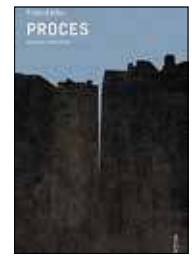

FRANZ KAFKA „PROCES" OFFICYNA

Reportaże o oszpecaniu Szwecji. Lektura ponura i pouczająca: kiedyś w imię modernizacji, dziś walki o ocalenie klimatu wyburza się to, co stare, piękne (i kochane), stawiając w te miejsca betonowe klocki oraz wiatrowe turbiny.

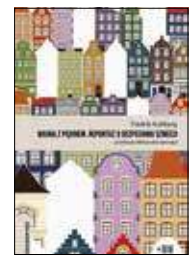

FREDRIK KULLBERG „WOJNA Z PIĘKNEM" DOWODY NA ISTNIENIE

Do serii „Fundacja" oraz „Roboty" wydawanych w twardej oprawie i jednolitej szacie graficznej trafia brakujące ogniwo: pierwszy tom trylogii galaktycznej. Fantastyka plus kryminał i krytyka tyranów tłumiących postęp nauki.

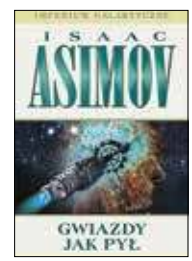

ISAAC ASIMOV „GWIAZDY JAK PYŁ" REBIS

Nowa powieść o inspektorze Rebusie (nowa u nas, w Anglii ukazała się w 2016 r.). Nierozwiązana sprawa z 1978 r. nie daje spokoju bohaterowi (podobnie jak kłopoty ze zdrowiem), a gangsterzy Edynburga biorą się za łby. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

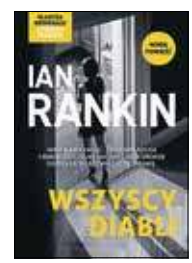

IAN RANKIN „WSZYSCY DIABLI" ALBATROS

KOMIKS TYGODNIA: „CUSZIMA"

Historia fatalnej wyprawy rosyjskiej floty bałtyckiej zmuszonej przez cara, by opłynąć pół świata, a potem ulec zniszczeniu z rąk Japończyków. Nowy tom komiksowej serii „Wielkie bitwy morskie" wiernie opisuje wypadki z 1905 r. prowadzące do klęski, która była początkiem końca carskiego imperium. Sama bitwa pod Cuszimą zajmuje ledwie dwie strony, ważniejsze są kontekst historyczny i kilkumiesięczna droga ku katastrofie. Plus dodatek historyczny Jeana-Yves'a Delitte'a, scenarzysty albumu, a zarazem członka belgijskiej Akademii Sztuk i Nauk Morskich. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

JEAN-YVES DELITTE, GIUSEPPE BAIGUERA „CUSZIMA" SCREAM COMICS 2022

eprasa.pl d61c8fc80f

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Podróż polskiego jeźdźca

Jeden ze swoich najbardziej rozpoznawalnych obrazów i jeden z dwóch znanych konnych portretów namalował Rembrandt ok. 1655 r. Nie mamy pewności, kogo holenderski mistrz uwiecznił na płótnie „Jeździec polski" zwanym też „Lisowczykiem". Czy rzeczywiście jest to jeden z lisowczyków, wiadomo z całą pewnością, oraz to, kiedy obraz znalazł się w kolekcji Stanisława Augusta. Monarsze zaoferował go w 1791 r. Michał Kazimierz Ogiński, wielki hetman litewski, w zamian za drzewka pomarańczowe z królewskich ogrodów.

Stanisław August, wielki miłośnik Rembrandta (król był wtedy w posiadaniu 11 obrazów uchodzących za dzieła Holendra, ale oryginałami były najwyżej trzy z nich), nie odmówił. „Jeździec polski" zawisł w przedpokoju na piętrze pałacu Na Wyspie w Łazienkach Królewskich. Po śmierci Stanisława Augusta płótno trafiało z rąk do rąk, obecnie jest częścią kolekcji znajdującej się na co dzień w rezydencji przy Fifth Avenue na Manhattanie, a jej remont stworzył szansę na tymczasowy powrót „Lisowczyka" do Łazienek. ©℗

GDZIE? ***Warszawa, Łazienki Królewskie, pałac Na Wyspie***
KIEDY? ***do 7 sierpnia***

FOT. THE FRICK COLLECTION

FOT. MIĘDZYNARODOWE CENTRUM KULTURY

EKSPERYMENT HITLERA

Po tym, jak Kraków został uznany przez Adolfa Hitlera za „prastare miasto niemieckie" i ustanowiony stolicą Generalnego Gubernatorstwa, stał się miejscem eksperymentu związanego z przebudową i symbolicznym zagarnięciem przestrzeni. Wystawa „Niechciana stołeczność. Architektura i urbanistyka Krakowa w czasie okupacji niemieckiej 1939–1945" prezentuje plany m.in. najważniejszych projektów architektonicznych i ich realizacji, zmieniających przedwojenne polskie miasto we wzorowe Stadt Krakau. ©℗

GDZIE? ***Kraków, Międzynarodowe Centrum Kultury***
KIEDY? ***do 5 czerwca***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Matura z irlandzkości

Nazwa zespołu nawiązuje do postaci Johnny'ego Fontane'a, chrześniaka filmowego „Ojca chrzestnego". Skrót D.C. to Dublin City. Nazwa albumu pochodzi od staroirlandzkiego wyrażenia „potępiony jeleń", które wokalista Grian Chatten utożsamia z wyobrażeniem irlandzkości za granicą. Singlowy „Jackie Down the Line" tak jak cały album nawiązuje do alt-rockowych brzmień lat 90. Ten chwytliwy, mroczny, pełen zwrotów akcji numer opisujący toksyczną miłość został z miejsca uznany za klasyk.

Na „Skinty Fia" zespół poszukuje łączników między swoją irlandzką tożsamością a statusem gwiazdy na brytyjskiej scenie muzycznej. To związek pełen sprzecznych emocji. Otwierającą płytę piosenkę „In ár gCroíthe go deo" zainspirowała historia pochówku Margaret Keane. Kościół anglikański uznał, że wyrycie na jej nagrobku napisu („Na zawsze w naszych sercach") w języku irlandzkim jest oświadczeniem politycznym. Zimna, trująca, a czasem krucha miłość jest drugim głównym wątkiem albumu. W utworze „I Love You" oba tematy w porywający sposób łączą się w jedno. Chatten wyznaje miłość ojczyźnie, a jednocześnie chce być przez nią rozumiany.

Niezależnie od poruszających tematów „Skinty Fia" jest świetnie nagranym, emocjonalnym albumem. To taka lśniąca pocztówka muzyczna wysłana z antycznej krainy, w której rock miał znaczenie. ©℗

★★★★★☆
FONTAINES D.C.
„SKINTY FIA"
PARTISAN

★★★★★☆
RITA PAX
„PIĘKNO. TRIBUTE TO BREAKOUT"
POLYDOR

Paulina Przybysz z grupą Rita Pax składają hołd Breakoutom. Nieoczywisty wybór piosenek oraz wręcz odkrywcze wersje „Piękna" czy „Kiedy byłem małym chłopcem" budzą szacunek. Gościnnie śpiewają Igor Nikiforow, Łukasz Lach i Wojciech Waglewski.

★★★★☆☆
RAMMSTEIN
„ZEIT"
UNIVERSAL

Klasyczny Rammstein w krainie teutońskiej parodii. Marszowo, hymnowo, prowokacyjnie. Są kazirodztwo i przemoc domowa. Teledyski robią swoje, ale bez wizualnej oprawy album jest monotonny. Ponoć to pożegnalny album, o czym ma świadczyć końcowa „Adieu". ©℗

eprasa.pl d61c8fc80f

Krzysztof Masłoń

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Owcza skóra wilka

Wojna wzniecona na Ukrainie przez Putina nie tylko obróciła w pył i proch legendę o niezwyciężonej Armii Czerwonej, lecz także zaowocowała m.in. niekonsekwentnym wprawdzie, niemniej dotkliwym ostracyzmem wobec córek i synów tego miłującego pokój narodu, coraz częściej wypraszanych nie tylko z europejskich salonów, lecz także z przedpokojów.

I tak wyrzucona z Europy przez UEFA piłka rosyjska szuka dla siebie miejsca w Ameryce Południowej. Futboliści byłego Kraju Rad chcą zawalczyć w Copa America. Zdawałoby się, że geograficznie bliżej im do Azji (o sferze mentalnej nie wspominając), ale widać, że wolą grać z Brazylią niż z Mongolią. Nie wiadomo tylko, co na to Brazylijczycy; ich obawy mogą mieć uzasadnienie, w końcu Salwador też kiedyś kopał piłeczkę z Hondurasem, a skończyło się wojną między tymi państwami. Nawiasem mówiąc, Dynamo Kijów trzynastokrotnie zdobyło tytuł piłkarskiego mistrza ZSRS, a dziewięć razy wygrało rozgrywki o Puchar Związku Sowieckiego.

Od 1994 r. Izrael jest członkiem UEFA, a kluby z Tel Awiwu i Hajfy grają w europejskich pucharach, w Eurowizji za to śpiewają Australijczycy (w tym roku Sheldon Riley znany wcześniej jako Hernandez). W tej sytuacji łatwo możemy sobie wyobrazić, że piłkarze rosyjscy będą mieć oddzielne międzynarodowe rozgrywki. Na przykład razem z Watykanem. W końcu od czego papież ma swoją gwardię? Szwajcarzy w piłce (s)kopanej radzą sobie całkiem dobrze, w przeciwieństwie do reprezentantów byłego Kraju Rad, którym od czasów Lwa Jaszyna jakoś w futbolu nie idzie. Nie to, co w kręceniu piruetów na lodzie, bo na szklanej tafli uchodzą za niedościgłych mistrzów. A już jak się nakoksują, to po prostu słów brakuje. Same joby cisną się na usta.

Restrykcje wobec zawodników z okolic Moskwy, Petersburga czy Nowosybirska są jednak, powiedziałbym, wybiórcze. W tenisowych rozgrywkach pokazywanych na okrągło a to przez Canal Plus, a to przez Polsat Sport od Ruskich aż się roi. Może i nie wygrywają, swój udział w turniejach kończąc na ogół najpóźniej w ćwierćfinałach, ale o tym, że wielu rosyjskich specjalistów od forhendów i backhandów wybrało inne obywatelstwo i startuje w innych barwach ze szczególnym uwzględnieniem Kazachstanu, nie wspomnę. Głowa boli od tego przybytku. Jak dotąd jedynie organizatorom najsławniejszego w historii białego sportu, rozgrywanego od 1877 (!) r. turnieju w londyńskim Wimbledonie, nie zabrakło odwagi, by nie tylko Rosjanom, lecz także Białorusinom powiedzieć: „Wara!". I nie dopuścić do gry na angielskiej trawie Azarenek, Sabalenek, Rublowów i Miedwiediewów.

Oczywiście odprawiane są na tę okoliczność gorzkie żale, mające dowieść, że rosyjscy sportowcy nie powinni odpowiadać za agresywną politykę swojego przywódcy. Ejże… Z piłkarską reprezentacją III Rzeszy poza satelicką wobec państwa Hitlera Rumunią nie bardzo kto chciał grać. Pewnie, że sport znajdował się wtedy w zupełnie innej fazie rozwoju, ale jakoś nie przeszkodziło to – ze względu na toczoną wojnę – odwołać planowanej na 1940 r. olimpiady (w 1944 r. sytuacja się powtórzyła).

A co w telewizji poza tenisem? Jedynym filmem rosyjskim, który w ostatnich tygodniach wypatrzyłem w programach prezentujących się w naszym kraju, była pokazana przez Puls 2 animacja sprzed sześciu lat „Wilk w owczej skórze". Nawiasem mówiąc, marna, pomimo tego jednak doczekała się kontynuacji dostępnej na Netflixie. No i wystarczy. Swoją drogą rosyjski wilk wegetarianin, niemający wobec nikogo złych zamiarów, jako żywo przypomina Władimira Władimirowicza Putina. Jest niemal tak samo wiarygodny. Jeśli zaś chodzi o urodę, to mamy do czynienia z repliką pamiętnego Zgredka z „Harry'ego Pottera i Komnaty Tajemnic".

Skoro mowa o filmie – najważniejszej ze sztuk, jak orzekł Lenin – to swego czasu zwrócono uwagę na podobieństwo do Putina jednego ze statystów występujących w filmie Antoniego Krauzego nakręconego według książki Wiktora Suworowa – „Akwarium". I to w najbardziej makabrycznej scenie, w której oficer sowieckiego GRU szpiegujący na rzecz Ameryki zostaje spalony żywcem w piecu hutniczym. Suworow opowiedział tu historię Olega Pieńkowskiego, skazanego za szpiegostwo na karę śmierci w 1963 r. Kiedy indziej popularny autor stwierdził jednak, że płk. Pieńkowskiego „normalnie" rozstrzelano. Według innej jeszcze wersji został zesłany do obozu pod specjalnym nadzorem, gdzie popełnił samobójstwo. Tak czy inaczej bardzo dobry film Krauzego warto przypomnieć, opowiada bowiem o szkoleniu kadr wywiadowczych w ZSRS, o odbywającym się tam praniu mózgów i formowaniu osobników takich jak Putin. Skąd się wziął ktoś taki jak on? Z „Akwarium" właśnie. ©℗

eprasa.pl d61c8fc80f

Po pierwsze, Węgry!

Olivier Bault

Dlaczego Węgrzy inaczej niż Polacy podchodzą do pomocy Ukraińcom?

Tłumacząc powody, dla których jego kraj nie może zgodzić się na embargo na rosyjską ropę, węgierski minister spraw zagranicznych Péter Szijjártó wyjaśnił: „Nie jest to kwestia braku woli politycznej, nie jest to kwestia intencji, nie jest to kwestia czasu trwania, ale chodzi po prostu o fizyczne, geograficzne i infrastrukturalne realia". I dodał: „Obecnie fizycznie niemożliwe jest prowadzenie gospodarki węgierskiej bez ropy naftowej z Rosji".

Wtórował mu premier Viktor Orbán, gdy w piątek 6 maja w czasie swojej cotygodniowej rozmowy w węgierskim radiu stwierdził, że propozycje Komisji Europejskiej dotyczące nałożenia embarga na rosyjską ropę brzmią jak zapowiedź zrzucenia bomby atomowej na węgierską gospodarkę.

Podobnie jak Węgry krytycznie na temat pomysłu embarga wypowiedziały się także Czechy i Słowacja, choć trudno te dwa kraje podejrzewać o sympatię dla Rosjan, skoro jako pierwsze przekazały Ukraińcom ciężkie uzbrojenie. Po prostu chodzi o to, że właśnie te trzy kraje są mocno uzależnione od dopływającej do nich rurociągiem rosyjskiej ropy. Nazajutrz po wypowiedzi węgierskiego premiera Bułgaria także zagroziła wetem przeciw szóstemu pakietowi sankcji unijnych, jeśli nie uzyska dwuletniego odstępstwa od zakazu importu rosyjskiej ropy.

WSZYSTKIE RAFINERIE W ROSYJSKIM MODELU

Udział Rosji w węgierskim imporcie ropy to ok. 60–65 proc. Na dodatek – jak ostrzegał Zsolt Hernádi, prezes MOL, w wywiadzie opublikowanym 30 marca – wszystkie rafinerie tego koncernu naftowo-gazowego na Węgrzech, na Słowacji i w Chorwacji zostały zbudowane według projektu rosyjskiego z lat 60. i są

eprasa.pl d61c8fc80f

FOT. BERNADETT SZABÓ/REUTERS/FORUM

przystosowane do przerabiania właśnie rosyjskiego surowca. Z powodów technicznych rafinerie te nie mogą przyjmować więcej niż 35 proc. ropy innej niż rosyjska ropa Urals.

W przypadku gazu udział Rosji w węgierskim imporcie wynosi 80 proc., a udział rosyjskiego gazu w całym miksie energetycznym Węgier to prawie jedna trzecia – o wiele więcej niż w Polsce, gdzie większa część produkcji prądu opiera się na węglu i gdzie import z Rosji odpowiadał za niewiele ponad jedną piątą całego miksu energetycznego przed inwazją na Ukrainę.

Stąd też decyzja Węgier, aby zaakceptować żądania Putina i płacić Gazpromowi za gaz w rublach (podczas gdy takie kraje jak Polska i Bułgaria tego odmówiły i zostały w końcu odcięte od rosyjskiego gazu).

Niemające dostępu do morza Węgry mają też bardziej ograniczone niż Polska możliwości szybkiego zastąpienia rosyjskich węglowodorów importem z innych części świata, choć istnieje połączenie ropociągowe umożliwiające transport ropy z wybrzeży Chorwacji.

Nawet elektrownia jądrowa w Paksie na Węgrzech jest uzależniona od rosyjskiej technologii i rosyjskiego paliwa. Ponadto od początków rządów Fideszu tania energia dla gospodarstw domowych jest ważnym elementem programu wspierania rodzin. Nawet gdyby można było szybko zrezygnować z importu z Rosji, to – jak zaznaczył Viktor Orbán w rozmowie w Kossúth Radio 6 maja – akceptacja szóstego pakietu sankcji UE oznaczałaby koniec ulg od faktur energetycznych opłacanych przez węgierskich odbiorców prywatnych. W tej chwili rachunki te są najniższe w całej Unii Europejskiej i mniej więcej o jedną trzecią niższe niż w Polsce. Dotyczy to zarówno rachunków za prąd, jak i za gaz, którym ogrzewa się 60 proc. gospodarstw domowych na Węgrzech.

W ubiegłym roku uruchomiono gazociąg transportujący rosyjski gaz z Turcji przez Bułgarię i Serbię, a więc omijający Ukrainę, i podpisano 15-letni kontrakt na dostawy gazu z Gazpromem. 27 września obecny na podpisaniu kontraktu z Gazpromem minister Szijjártó podkreślił, że nie jest to kwestia wyborów politycznych, tylko potrzeby zapewnienia bezpieczeństwa energetycznego Węgier i braku alternatywnych rozwiązań. Z jednej strony osłabiło to bezpieczeństwo Ukrainy, która przestała być krajem tranzytowym dla dostaw rosyjskiego gazu na Bałkany, na Węgry i do Austrii, ale z drugiej strony warto przypomnieć, że Węgry są dziś drugim po Słowacji największym dostawcą gazu na Ukrainę.

WŁASNY INTERES

Węgierski rząd nie ukrywa, że kieruje się przede wszystkim zasadą przedkładania interesów Węgier i Węgrów ponad inne względy. Przeciwstawiając się zakazowi importu ropy z Rosji, zasłania się także tym, że zaakceptował wszystkie inne sankcje, choć miał wątpliwości, czy nie zaszkodzą Węgrom bardziej niż samej Rosji. Mimo względnie taniej energii roczna inflacja na Węgrzech wynosiła już 8,6 proc. w marcu, kiedy wskaźnik cen producentów (PPI) wzrósł o 4,5 proc. w ciągu jednego tylko miesiąca. Embargo na rosyjską ropę, nawet jeśli nie będzie działało jak bomba atomowa zrzucona na węgierską gospodarkę, jak ostrzega Orbán, może rozkręcić spiralę inflacji, a ta coraz bardziej wymyka się spod kontroli w całej Europie pomimo spowalniającej gospodarki.

Same dyskusje na temat europejskiego embarga na rosyjską ropę spowodowały w pierwszym tygodniu maja dodatkowe wzrosty cen ropy, a na razie Rosja jest wielkim beneficjentem tego, co się dzieje na rynku węglowodorów. Przez pierwsze dwa miesiące wojny z Ukrainą, pomimo spadku eksportu (o 30 proc. w kwietniu w przypadku ropy, w porównaniu z poziomem sprzed inwazji na Ukrainę), Rosja prawie podwoiła przychody ze sprzedaży gazu, ropy i węgla. Norweska firma konsultingowa Rystad Energy szacuje, że w tym roku, przy znacznie mniejszym eksporcie, Rosja uzyska ponad 180 mld dol. wpływów z podatku energetycznego, co oznacza wzrost o 45 proc. rok do roku dzięki 40-procentowemu wzrostowi cen ropy. Węgierskie racje nie są więc pozbawione sensu, zwłaszcza że najbardziej cierpią na wzroście cen energii i powiązanym z nim wzroście cen produktów spożywczych kraje najbiedniejsze, głównie kraje Afryki.

W liście do przewodniczącej Komisji Europejskiej Orbán zwrócił uwagę na to, że rezygnacja z rosyjskiej ropy wymaga znacznych nakładów inwestycyjnych, „podczas gdy odpowiednie fundusze z UE są dla nas dostępne tylko na papierze". Z punktu widzenia Węgrów jest to właśnie kolejny problem: w imieniu wspólnej europejskiej solidarności z Ukrainą domagamy się zgody na poniesienie ogromnych kosztów, a jednocześnie, podobnie jak w przypadku Polski, Komisja Europejska wciąż wstrzymuje fundusze „odbudowy" NextGenerationEU. Oficjalnie z powodu niedostatecznej walki z korupcją na Węgrzech, a nieoficjalnie – ze względów ideologicznych, z powodu ustawy o ochronie dzieci przyjętej w ubiegłym roku, która zakazuje indoktrynacji nieletnich w duchu ideologii LGBT. Jakby tego było mało, działając pod presją Parlamentu Europejskiego, Komisja uruchomiła pod koniec kwietnia nowy mechanizm

eprasa.pl d61c8fc80f

„praworządności" celem wstrzymania wypłaty dla Węgier z unijnego budżetu. 5 kwietnia pani von der Leyen ogłosiła przed Parlamentem Europejskim, że taki krok jest przygotowywany. Było to więc dokładnie dwa dni po czwartym z rzędu zwycięstwie Fideszu w wyborach parlamentarnych.

Warto przypomnieć, że jedną z przyczyn sromotnej klęski wspólnych list opozycji w tychże wyborach było odmienne podejście do sprawy wojny na Ukrainie: gdy opozycja żądała większego zaangażowania Węgier w sankcje i zgody na dostarczanie broni, Viktor Orbán na czele koalicji Fideszu z chrześcijańsko-demokratyczną partią KDNP przedstawiał się jako gwarant pokoju i wstrzymywania się od działań mogących wciągnąć Węgry w cudzą wojnę. Wynik 53 proc. oddanych głosów na rzecz kandydatów koalicji Fidesz-KDNP 3 kwietnia daje węgierskiemu rządowi niezaprzeczalną legitymację demokratyczną, aby kontynuować politykę potępiania działań Rosji na Ukrainie bez jednoczesnego angażowania się po stronie ukraińskiej, jak to robią USA, Wielka Brytania czy Polska, gdzie społeczeństwo nie miało okazji wypowiedzenia się przy urnach na ten temat.

HISTORIA Z BRONIĄ

Odmowę dostawy broni z terytorium Węgier władze tego kraju uzasadniają po pierwsze argumentacją historyczną: Węgry już dały się wciągnąć wbrew swojej woli w dwie wojny światowe wywołane przez wielkie mocarstwa i zapłaciły za to bardzo wysoką cenę, dlatego nie zamierzają dać się wciągnąć w trzecią. Znów mamy tu do czynienia z zasadą przedkładania interesów narodu węgierskiego nad interesami cudzymi, co można odczytać jako egoizm lub rozsądek, ale co wynika po części z odmiennego doświadczenia historycznego Węgier.

Bardzo żywa jest w tym kraju trauma będąca następstwem traktatu w Trianon z 1920 r., na mocy którego Węgry utraciły swoje historyczne ziemie, a jedna trzecia etnicznych Węgrów znalazła się nagle w pozycji mniejszości narodowych w sąsiednich krajach. Jedna z tych mniejszości to mniejszość węgierska w ukraińskim obwodzie zakarpackim. Według ukraińskiego spisu ludności z 2001 r. liczyła ona 156 tys. mieszkańców. Część z nich uciekła na Węgry po wybuchu wojny z Rosją 24 lutego. Z liczby 570 tys. uchodźców z Ukrainy, którzy przekroczyli węgierskie punkty graniczne między ostatnim tygodniem lutego a pierwszym tygodniem maja, ok. 20 tys. osób uzyskało statut uchodźcy i w większości są to właśnie ukraińscy Węgrzy. Szacuje się, że ogromna większość pozostałych uciekinierów z Ukrainy wyjechała dalej na Zachód lub udała się do takich krajów jak Polska czy Czechy. Część członków zakarpackiej mniejszości węgierskiej, którzy znaleźli schronienie na Węgrzech, to młodzi mężczyźni uciekający przed poborem. Nie chcieli narażać swojego życia dla obrony kraju, z którym się nie identyfikują i który na dodatek po 2014 r. odebrał im wiele praw, zwłaszcza na mocy ukraińskich ustaw językowych.

Sam w czasie pobytu na Węgrzech na początku kwietnia spotkałem lidera pewnej organizacji węgierskiej na Ukrainie (pragnie zachować anonimowość z obawy przed konsekwencjami dla siebie i dla rodziny pozostałej w kraju). Opowiadał o swojej ucieczce na Węgry po wizytach smutnych panów z SBU, którzy grozili mu, że nie tylko on, lecz także jego starsi rodzice wylądują w więzieniu, jeśli nie stawi się do wojska. W jego oczach działania ukraińskiego SBU niczym nie różnią się od działań dawnego KGB za czasów ZSRS, kiedy to mniejszość węgierska cieszyła się większymi prawami niż obecnie.

W rozmowach z Węgrami z Ukrainy i z samych Węgier często pojawia się wątek gnębienia – w ich oczach – węgierskiej mniejszości przez kolejne rządy powstałe po Euromajdanie, nie mówiąc już o pozaprawnych działaniach ukraińskich grup nacjonalistycznych lub, co również się zdarzało, rosyjskich prowokatorów. Przegłosowana przez ukraiński parlament i podpisana przez prezydenta Poroszenkę w 2017 r. ustawa oświatowa spowodowała, że język ukraiński stał się jedynym językiem wykładowym w szkołach, a możliwość prowadzenia szkół dla mniejszości narodowych została zniesiona. Ustawa ta była głównym powodem, dla którego od 2018 r. Węgry konsekwentnie blokowały spotkania na poziomie ministerialnym między NATO a Ukrainą.

Węgrzy zatem z jednej strony uzasadniają brak zgody na dostarczanie broni z terytorium Węgier obawą przed nalotami rosyjskimi w regionie zamieszkałym przez mniejszość węgierską, a z drugiej strony, choć zapewniają, że nie życzą źle Ukraińcom broniącym się przed Rosjanami i gotowi są ich wspierać wszelką pomocą humanitarną (co rzeczywiście robią), nie poczuwają się do moralnego obowiązku narażania się dla obrony Ukrainy. Tym bardziej że dość rozpowszechniony jest na Węgrzech pogląd, że ograniczając prawa mniejszości po 2014 r., Ukraińcy sami zagrali przeciw sobie na rzecz Rosji, zrażając do swojego państwa nie tylko mniejszość węgierską na zachodzie, lecz także ludność rosyjskojęzyczną na wschodzie. Węgierski minister spraw zagranicznych po spotkaniu z partnerami z NATO pod koniec marca oznajmił, że wojna rosyjsko-ukraińska „nie jest naszą wojną, dlatego nie chcemy w niej uczestniczyć i nie weźmiemy w niej udziału". W tym samym mniej więcej momencie polski wicepremier Jarosław Kaczyński, odpowiadając w wywiadzie na pytanie, czy „to także nasza wojna", stwierdził: „Tak, jest to typowa wojna zastępcza; w gruncie rzeczy to jest wojna wypowiedziana Zachodowi" i dlatego „stawką tej wojny jest także Polska".

Krytyka z Polski jest słyszalna na Węgrzech, i to bardziej niż w Polsce krytyka z Węgier mówiąca o mało roztropnym działaniu rządu Mateusza Morawieckiego, cechującym się nadmiernym zaufaniem do Stanów Zjednoczonych. W rozmowach z dziennikarzami z Polski, których byłem świadkiem na początku kwietnia na Węgrzech, temat ten pojawiał się często na ich ustach. Dominuje jednak przeświadczenie, że wielowiekowe braterstwo obu narodów ma bardzo mocne korzenie, a skoro przetrwało drugą wojnę światową, kiedy oba narody znalazły się po przeciwnej stronie konfliktu, to przetrwa także obecne duże różnice zdań na temat właściwego postępowania wobec rosyjskiej inwazji na Ukrainie.

Po wizycie polskiego ministra spraw zagranicznych Zbigniewa Raua w Czechach 5 maja i jego wspólnej konferencji prasowej z czeskim ministrem Janem Lipavským węgierskie media skupiły swoją uwagę na jednej wypowiedzi Polaka, która przeszła bez echa w Polsce, a mianowicie, że V4 jest „dziełem czterech sąsiadujących krajów" i jako takie istnieje od ponad 30 lat, „z lepszymi i trudniejszymi momentami w swojej historii". „Nigdy nie twierdziliśmy, że mamy takie samo stanowisko w każdej sprawie" – cytują polskiego ministra media węgierskie – i „będziemy współpracować w tych kwestiach, w których możliwe jest osiągnięcie konsensusu, co jest dobrą tradycją w V4".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d61c8fc80f

Już za tydzień

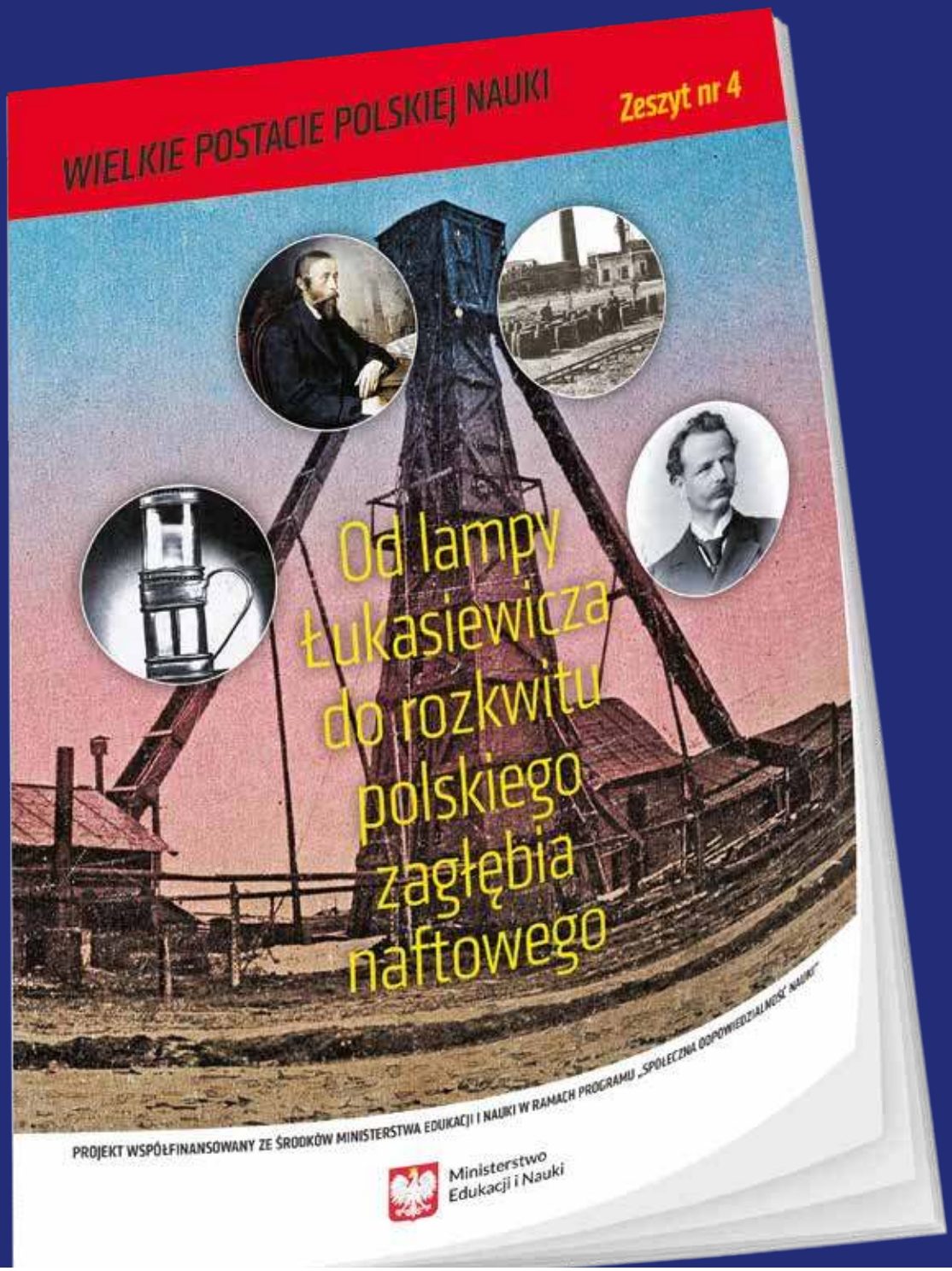

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI"

Ministerstwo Edukacji i Nauki

eprasa.pl d61c8fc80f

Rezygnacja ze zbawienia

FOT. FRANCO ORIGLIA/GETTY IMAGES

Paweł Chmielewski

Na skutek działań papieża katolicyzm jawi się jako coraz bardziej nakierowany na budowę przyszłości tego świata opartej na dobrobycie i powszechnej szczęśliwości. Jednego brakuje za to coraz bardziej: wyraźnej perspektywy zbawienia

Wśród osób, które wywarły największy wpływ na pontyfikat Franciszka, znajduje się zmarły w 2012 r. arcybiskup Mediolanu, kard. Carlo Maria Martini. Rozmawiając w 2009 r. z austriackim jezuitą Georgiem Sporschillem, Włoch przedstawił radykalnie zeświecczoną wizję posłannictwa Jezusa Chrystusa. Czerpiąc ze studni teologii wyzwolenia, Martini mówił: „[Jezus] był niezwykle głęboko oddany sprawiedliwości i chciał zmienić świat. [...] Sprawiedliwość oznacza bycie aktywnym i przejście do działania na rzecz wspólnotowego życia, w którym wszyscy ludzie żyją w pokoju. Sprawiedliwość musi pilnować, czy prawo, tak jak jest formułowane, pozwala wszystkim ludziom mieć dobre życie. Jezus oddał swoje życie za sprawiedliwość. […] Jezus obudził najgłębszą siłę biednych i uczynił z tego kwestię polityczną. Polityczna strategia Jezusa zaczyna się wtedy, kiedy dostrzega potrzeby ludzi. […] Życie Jezusa ma swój punkt szczytowy na krzyżu. Za swoje aktywne zaangażowanie zapłacił życiem".

ISTNIENIE BOGA BEZ ZNACZENIA?

Trudno jest chrześcijaninowi czytać te słowa bez zgorszenia: śmierć Chrystusa zostaje tu całkowicie pozbawiona odkupieńczego wymiaru. Jezus nie jest już Zbawicielem, ale bojownikiem o społeczną sprawiedliwość. Wydaje się, że sekularystyczny program Martiniego stał się w ostatnich latach quasi-oficjalnym programem w Watykanie. Zwracał na to uwagę w 2020 r. włoski ateistyczny filozof, Salvatore Natoli. Pisząc o papieskiej encyklice „Fratelli tutti", poświęconej idei powszechnego braterstwa, stwierdzał: „Dzisiaj nikt już nie zastanawia się nad problemem istnienia Boga, nawet chrześcijanie. Chrześcijaństwo można w coraz większym stopniu scharakteryzować przez wymiar »caritas«, a coraz mniej przez transcendencję. […] Nie zaprzecza się transcendencji, ale w coraz większej mierze się ją ignoruje. Nie ma potrzeby wyraźnego zaprzeczania, jeżeli kwestia staje się nieistotna. […] Czy ten kierunek – pytam chrześcijan – jest odwracalny czy nieodwracalny? Co, jeżeli Franciszek – odważę się na takie przypuszczenie – jest ostatnim papieżem rzymskiej tradycji katolickiej, a obecnie rodzi się nowe chrześcijaństwo? Chrześcijaństwo, które ma w swoim centrum sprawiedliwość i miłosierdzie, a w coraz mniejszym stopniu zmartwychwstanie ciał".

MODLITWA DO MATKI BOŻEJ

W piątek 25 marca, tak jak miliony katolików na całym świecie, śledziłem z uwagą akt poświęcenia ludzkości, Rosji i Ukrainy Niepokalanemu Sercu Matki Bożej. Fran-

eprasa.pl d61c8fc80f

ciszek w kluczowym miejscu tekstu tego aktu przedstawił kilka próśb skierowanych do Maryi. Błagał o to, „byśmy nie zostali rozbitkami w czasie wojennej burzy", prosił o „inspirowanie planów i dróg pojednania", „zaprowadzenie w świecie Bożej zgody", „usunięcie pragnienia zemsty i nauczenie przebaczenia", „zachowanie świata od zagrożenia nuklearnego", „rozbudzenie w nas pragnienia modlitwy i miłości", „wskazanie narodom drogi braterstwa" oraz o „wyjednanie światu pokoju". Piękne, ale znowu: czegoś tu brakuje.

W dwóch modlitwach maryjnych, które najbliższe są sercu polskiego katolika – „Zdrowaś Maryjo" i „Pod Twoją obronę" – finalne prośby dotyczą rzeczywistości ostatecznej: „Módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej", „swojemu Synowi nas oddawaj". W akcie poświęcenia ludzkości, Rosji i Ukrainy tej rzeczywistości nie dotyczyła ani jedna prośba do Maryi; więcej – w całym tekście nie padło w ogóle choćby jedno słowo wskazujące jednoznacznie na to, że przeznaczeni jesteśmy do wieczności. Modlitwa, miłość, pokój, braterstwo: to wszystko ukazane zostało tak, jakby ograniczało się do tego świata. Z czystym sumieniem akt mógłby odmówić współczesny „katolicki saduceusz", który odrzuca życie po śmierci.

BUDOWANIE POWSZECHNEGO BRATERSTWA I DOBROBYTU

Podobnie doczesna perspektywa przyświeca encyklice wspomnianej przez włoskiego filozofa, „Fratelli tutti". Na końcu dokumentu papież zamieścił dwie modlitwy do Boga Ojca. Poprosił w nich Stwórcę o: braterstwo, marzenia o spotkaniu, dialogu, sprawiedliwości i pokoju; budowę zdrowego społeczeństwa i godnego świata „bez głodu, ubóstwa, przemocy, wojen"; chciał otwarcia serc ludzkich „na wszystkie ludy i narody ziemi", aby „zacieśnić więzy jedności, wspólnych projektów, wspólnych nadziei". Także te modlitwy są wołaniem człowieka, którego ostateczny horyzont wyznacza śmierć; tu nie ma miejsca na wieczność.

Czy to przypadek? A może – program? Sięgam po najnowszą konstytucję apostolską Franciszka, która reformuje Kurię Rzymską – „Praedicate evangelium". Jej tytuł brzmi tak pięknie: „Głoście Ewangelię", w domyśle, przypuszczam przed lekturą, ewangelię życia wiecznego, dobrą nowinę o Królestwie Boga. Nie, jednak nie: we wprowadzeniu Franciszek wyjaśnia czytelnikowi, że wzywając Kościół do głoszenia Ewangelii, Pan Jezus chciał, abyśmy „troszczyli się o najsłabszych, chorych i najbardziej cierpiących braci i siostry". Oto dobra nowina, którą z tak wielkim natężeniem głosi współczesny Kościół.

Ewangelia według św. Mateusza mówi nam, że gdy Jezus począł nauczać, wzywał: „Nawracajcie się, albowiem bliskie jest królestwo niebieskie" (Mt 4, 17). Ten sam ewangelista poucza, że Pan obchodząc całą Galileę i nauczając w jej synagogach, „głosił Ewangelię o królestwie" (Mt 4, 23). W Kazaniu na Górze – pisze Mateusz – Pan mówił: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie" (Mt 5, 3). Królestwo Boga, życie wieczne: oto ewangelia, którą głosił Jezus Chrystus. Zupełnie różna od dobrej nowiny braterstwa i doczesnego dobrobytu, nowiny walki z ubóstwem, ewangelii o śmierci krzyżowej za polityczne zaangażowanie.

CHLEB ŻYCIA DOCZESNEGO

W „Krótkiej opowieści o Antychryście" Włodzimierz Sołowjow przedstawia Złego jako wielkiego dobroczyńcę ludzkości, który każdemu da to, czego mu potrzeba, który przynosi ziemi pokój i sąd miłosierdzia. Czy członkowie dzisiejszego Kościoła katolickiego nie zachowują się nader często tak, jakby zamiast Ewangelii Chrystusa głosili przesłanie takiego Antychrysta?

W dyskusjach o przyszłości Kościoła, które prowadzone są przy okazji wielkiego synodu o synodalności, rozmawia się niemal wyłącznie o strukturach, systemie władzy, towarzyszeniu i uatrakcyjnianiu Kościoła w oczach współczesnych społeczeństw. Odrzuciliśmy już nawet katolickie rozumienie Komunii Świętej: nie klękamy przed Najświętszym Sakramentem, bierzemy chleb życia wiecznego do ręki, tak jakby stał się czczym symbolem wzajemnej ludzkiej sympatii; udzielamy Ciała Boga wszystkim – cudzołożnikom, protestantom, popularyzatorom aborcji, a wszystko to, aby dobrze się poczuć. Dobrobyt zamiast zbawienia – oto Kościół przyszłości.

ATEISTYCZNE CHRZEŚCIJAŃSTWO

Kardynał Walter Brandmüller, krytykując niemiecką Drogę Synodalną, ostrzegł, że buduje ona chrześcijaństwo ateistyczne – chrześcijaństwo pozbawione Boga (pisałem o tym szerzej w jednym z poprzednich numerów „Do Rzeczy"). W pewnym sensie kardynał nie docenił zakresu choroby: chrześcijaństwo bez Boga jest normą także poza Niemcami. „Chrześcijanie w świecie mieszkają, a jednak nie są ze świata", mówi List do Diogneta, krótka i piękna apologia z II w. po Chrystusie. Praktyka życia katolickiego, a od kilku lat w coraz większej mierze również polityka Stolicy Apostolskiej, jest rażącym zaprzeczeniem tej prawdy: wszystkie wysiłki skupiają się właśnie na umacnianiu naszego bycia w tym świecie. Kościół angażuje się w dzieła ekologizmu (encyklika „Laudato si"), w przebudowę globalnego systemu ekonomicznego (inicjatywa „Economy of Francesco"), w ogólnoświatowe zarządzanie kryzysem sanitarnym (konferencja z CEO Pfizera i Anthonym Faucim w Watykanie w maju 2021 r.), w budowanie wolnej od Chrystusa wspólnoty ze światem islamu (liczne deklaracje, spotkania, projekty). Jak poucza nas katolicko-islamska (sic!) deklaracja z Abu Zabi, Bóg, owszem, istnieje, ale stworzył człowieka nie po to, by dać mu życie wieczne w Chrystusie, lecz po to, by ludzie „żyli razem jako bracia i siostry" i budowali wspólną kulturę dialogu i braterstwa.

POWRÓT DO WIECZNOŚCI

Może to tylko wyraz mojego przesądnego, polskiego katolicyzmu, nieoświeconego myślą Hegla, Marksa i Karla Rahnera, ale postawię pytanie o to, gdzie jest chrześcijaństwo, w którym na pierwszym miejscu znajdzie się – jak w Ewangelii – eschatologia?

Nieszczególnie interesuje mnie Kościół jako agenda socjalno-polityczna; są w świece lepsze i skuteczniejsze od niego. O kryzysie katolicyzmu po drugiej wojnie światowej napisano już wiele, tłumacząc, że upadek jest wynikiem skandali seksualnych albo wpływu rewolucji seksualnej na obyczajowość społeczną. Być może; sądzę jednak, że problem leży głębiej. Modernistyczny katolicyzm, który dokonał całkowitej separacji od życia wiecznego, nie jest po prostu nikomu do niczego potrzebny. W gruncie rzeczy to, co na Zachodzie „upada", to nawet nie Kościół: to tylko fałszywa fasada, ateistyczne chrześcijaństwo. To, które zachowało oczy wpatrzone w Królestwo Boże – wierzę, ma się dobrze. Stało się tylko rzadziej niż kiedyś spotykane. Mam nadzieję, że przynajmniej w Polsce będziemy na powrót stawiać na Ewangelię Chrystusa, a nie na dobrą nowinę dobrobytu i powszechnego braterstwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl

eprasa.pl d61c8fc80f

Rafał Łatka

Konfrontacja I sekretarza partii komunistycznej i prymasa Polski zadecydowała o losach Polski

Gomułka kontra kard. Wyszyński

Losy kard. Stefana Wyszyńskiego i Władysława Gomułki połączył rok 1956. Na skutek odwilży październikowej ten pierwszy powrócił z internowania, a ten drugi objął władzę w PRL. Co paradoksalne, żeby uwiarygodnić reżim komunistyczny w nowym wydaniu, świeżo powołany I sekretarz KC PZPR musiał zdecydować się na uwolnienie prymasa. Metropolita gnieźnieński i warszawski delegatom przysłanym do Komańczy przez Gomułkę postawił warunki, które muszą być spełnione, by powrócił do sprawowania swoich funkcji kościelnych. Zostały one wykonane, a szczególne znaczenie miała zmiana dekretu o obsadzie stanowisk kościelnych, która znacząco osłabiła wpływ komunistów na decyzje personalne w Kościele.

Prymas w kolejnych miesiącach poparł zmiany wprowadzane przez I sekretarza KC PZPR, uważając, że poszerzają one zakres społecznej wolności, a potencjalną alternatywą jest siłowa interwencja Związku Sowieckiego (analogiczna do tej w Budapeszcie). Najdalej idącym symbolem tej decyzji było wezwanie przez episkopat i osobiście przez kard. Wyszyńskiego do głosowania w „wyborach" do Sejmu z 1957 r. Nie oznacza to, że prymas wierzył w trwałość tendencji „odwilżowych" i w to, że natura systemu komunistycznego w Polsce się zmieni. Wyraźnie podkreślił w czasie posiedzenia Konferencji Plenarnej Episkopatu z 11 kwietnia 1957 r.: „Sytuacja zewnątrz Kościoła się odmieniła, ale zasadniczo sytuacja się nie zmieniła; istnieje praca rozkładowa – godzi ona w dogmaty Kościoła i w moralność katolicką; […] jest depresja moralna, polityczna i ekonomiczna".

PIERWSZE SPOTKANIE

Do pierwszego spotkania „na szczycie" prymasa z Gomułką doszło 1 maja 1957 r. Odbyło się ono na życzenie I sekretarza KC PZPR. Rozmowa poprzedzała pierwszy po sześciu latach przerwy wyjazd kard. Wyszyńskiego do Rzymu. Władze PRL przywiązywały do niej dużą wagę, a obok Gomułki wziął w niej udział premier Józef Cyrankiewicz. Spotkanie odbyło się w Urzędzie Rady Ministrów i trwało ok. 3,5 godziny. Rozmówcy przedstawili swoje punkty widzenia na temat rozwoju sytuacji społeczno-politycznej.

Gomułka zdecydował się przyznać, że „w czasach minionych represyjna

eprasa.pl d61c8fc80f

Kardynał Stefan Wyszyński w parafii św. Wawrzyńca w Warszawie, lata 1957–1958
FOT. NAC

polityka państwowa stosowana wobec wierzących odpychała miliony ludzi od budowania socjalizmu. Partia nie może nigdy zamykać oczu na fakt, że w Polsce żyją miliony obywateli wyznania rzymskokatolickiego". W dalszej części wypowiedzi podkreślał konieczność współpracy Kościoła i państwa oraz wskazywał, że biskupi powinni zaakceptować realia ustroju socjalistycznego, warunkowanego m.in. sojuszem ze Związkiem Sowieckim. Wysunął również pomysł zawarcia konkordatu, ale – jak się wydaje – nie była to rzeczywista propozycja, a raczej propagandowa sztuczka (na którą prymas nie dał się nabrać).

Kardynał Wyszyński w odpowiedzi podkreślił jasno, że Kościół potrafi odczytywać realia polskiej racji stanu oraz głosi miłość do ojczyzny, wspólnoty rodzinnej, tradycji, jej kultury i języka. Podkreślił także, że „Kościół nie wymaga dla siebie i dla wierzących specjalnych przywilejów, oczekuję jedynie sprawiedliwości i równości dla każdego obywatela zgodnie z zasadami konstytucji". Prymas przedstawił także postulaty Kościoła, ale nie znalazły one zrozumienia u Gomułki i Cyrankiewicza. Obydwie strony miały rozbieżne cele podczas rozmowy. Dygnitarze partyjni chcieli politycznej neutralizacji Kościoła oraz akceptacji realiów ustrojowych PRL. Kardynał Wyszyński oczekiwał akceptacji ze strony władz dla swobodnego realizowania misji Kościoła. Mimo że tak naprawdę obie strony nie otrzymały tego, co chciały, spotkanie zakończyło się w dobrej atmosferze. Wynikało to z jednej strony z przekonania władz, że na otwarty konflikt jest jeszcze za wcześnie, a z drugiej z przekonania prymasa, iż trzeba realizować misję duszpasterską, a nie angażować się w konfrontację polityczną.

Kardynał Wyszyński nie miał jednakże żadnych złudzeń co do intencji władz. W czasie kolejnych miesięcy bacznie obserwował wszelkie zmiany w polityce komunistów wobec Kościoła. 16 września 1957 r., w czasie obrad Komisji Głównej Episkopatu, podkreślał, że władze będą szukać nowych metod walki z religią – szczególnie przez rozbijanie Kościoła od wewnątrz, konfrontacji na poziomie parafii oraz dążenia do podniesienia poziomu kadr antykościelnych – m.in. przez wzrost poziomu ateistycznego nauczania.

ZWIASTUN ZAOSTRZENIA

Kolejne „spotkanie na szczycie" odbyło się 9 stycznia 1958 r. Ze wszystkich tego typu rozmów miało najbardziej dramatyczny charakter i trwało rekordowe 11,5 godziny. Ponownie obok prymasa i Gomułki uczestniczył w nim Cyrankiewicz. Było ono istotne, gdyż jasno pokazywało, że dojdzie do zaostrzenia polityki władz wobec Kościoła. Kardynał Wyszyński skomentował je w następujący sposób: „Z Ks. Goździewiczem stanąłem przed gmachem Rady Ministrów. Wyjdę stąd jutro, o godz. 3.45. Konferencja trwała blisko jedenaście godzin, bez przerwy. Była tak ożywiona, pełna emocji, protestów, sprostowań, wykładów, że nie zauważyłem nawet, że upłynęło niemal pół doby. Podziwiałem wytrwałość p. Gomułki, który tylko raz pociągnął ze szklanki łyk herbaty. Cyrankiewicz wypił swoją herbatę i zjadł ciastko. Ja wypiłem pół szklanki herbaty. Byłem w dobrej formie i w pełni trzeźwości umysłu. Mnie pomagała »Virgo Potens«, której obrazek Jasnogórski wziąłem ze sobą. A kto im pomagał? Czy księża nasi umieliby być tak wytrwali? Gomułka na pewno jest apostołem swej idei. Jest jednakże człowiekiem zaciętym, wrogiem religii zdecydowanym, chociaż liczy się ze znaczeniem wpływu Kościoła w Polsce. Szczególnie w zacięty sposób wypowiadał się przeciwko Krzyżom w szkole. Uczyniłem wielki ustęp, dotyczący zmiany sytuacji Kościoła po październiku ub.r. – na gorsze. Po tym zacząłem referować sprawy według 12 punktów programu ułożonego. Trwało to 2 i pół godziny. Moi rozmówcy milczeli. Po długiej dyskusji i deklaracjach wstępnych Gomułka odpowiedział na każdy punkt, czytając jeden po drugim. Często formułował zarzut: Ks. Prymas jest źle poinformowany. Albo: to są twierdzenia gołosłowne. Odpowiadałem: materiał dowodowy jest w Sekretariacie Episkopatu i Urzędzie do spraw Wyznań /jeśli go zechcą pokazać/. Tutaj nie ma potrzeby twierdzeń popierać faktami. Tylko rejestruję tematy zjawisk, wrogich Kościołowi. Zasadniczy temat to organizowanie ateizmu w Polsce z pomocą aparatu państwowego".

W odpowiedzi, jak zapisał prymas: „Gomułka wystąpił przeciwko Millenium i przeciwko organizowanej przez Kościół pracy dobroczynnej. Stoczyliśmy bój o wolność od cła dla przesyłek i darów amerykańskich".

Według relacji Jerzego Zawieyskiego (lidera środowiska tzw. katolików postępowych), któremu prymas przekazał, jak wyglądało spotkanie, rozmowa obfitowała również w wiele momentów o wysokim napięciu: „W toku rozmowy Gomułka unosił się i swoim zwyczajem krzyczał, na co zareagował ks. Prymas, prosząc go o zniżenie tonu. Tak samo przywołał ks. Prymas do porządku Cyrankiewicza, który wysuwał zarzuty pod adresem Prymasa i Kościoła". Oskarżenia I sekretarza KC PZPR podnoszone pod adresem programu „Wielkiej Nowenny" przygotowanego przez kard. Wyszyńskiego oznaczały, że komuniści nie pozwolą na swobodną realizację misji Kościoła. Znalazło to swój wyraz w zwalczaniu obecności religii katolickiej w przestrzeni publicznej. Gomułkę szczególnie denerwował wpływ duchowieństwa na młodzież i obecność krzyża

eprasa.pl d61c8fc80f

w placówkach szkolnych. Z tego też względu wkrótce władze PRL rozpoczęły akcję usuwania religii i „emblematów kościelnych ze szkół".

ORGANIZOWANIE ATEIZMU

Efekty rozmowy jednoznacznie negatywnie oceniono w czasie obrad Komisji Głównej Episkopatu ze stycznia 1958 r.: „X. Prymas przedstawił wszystkie postulaty i bolączki Kościoła; niestety nie znalazł zrozumienia, nawet dyskusja była trudna, bowiem partnerzy starali się wszystkiemu zaprzeczyć, albo przynajmniej zagadnienia zbagatelizować". Dygnitarze partyjni w przekonaniu prymasa nie tylko sabotowali wysiłki Kościoła, lecz także wdrażali nowy antykościelny program działania. Jak zanotował w swoim dzienniku kard. Wyszyński, wyciągając wnioski ze wspomnianego spotkania: „Zasadniczy temat to organizowanie ateizmu w Polsce z pomocą aparatu państwowego". Druga strona również oceniała krytycznie przebieg spotkania. Gomułka w czasie rozmowy z Zawieyskim z sierpnia 1958 r. wskazał, że zamiarem prymasa jest rozpętanie wojny religijnej. Było to oskarżenie dość kuriozalne wobec najazdu Milicji Obywatelskiej i prokuratury na Instytut Prymasowski na Jasnej Górze, które odbyło się niecały miesiąc wcześniej.

Kardynał Wyszyński pod koniec lipca 1958 r. zastanawiał się, gdzie pojawił się pomysł napadu na Jasną Górę. W jego przekonaniu inspiracja nadeszła z Moskwy. Co ciekawe, prymas miał pewne złudzenia, że bez tego typu wskazań polscy komuniści zachowywaliby się bardziej wstrzemięźliwie wobec Kościoła. Przy okazji wpisu z jego dziennika z końca lipca 1958 r. pojawiły się również ciekawe uwagi na temat cech charakteru Gomułki: „Polscy komuniści nie są wolni od swych antyreligijnych porywów, ale – zdaje się – że łatwiej byśmy się z nimi porozumieli, gdyby nie naciski z zewnątrz. Pan Gomułka denerwuje się i złości jak żak, który wpada w zły humor, gdy mu postawią zły stopień. Przez swoje nerwy traci wiele i w swoim otoczeniu, i w społeczeństwie. Narzekania na naciski od zewnątrz mogą być przesadne. Dla dania satysfakcji obcym trzeba było narobić wielkiego hałasu, aby dać świadectwo posłuszeństwa natchnieniom".

Władysław Gomułka i Józef Cyrankiewicz (po prawej), 1957 r.
FOT. NAC

Ataki komunistów były zrozumiałe, gdyż w ich przekonaniu prymasowski program był zagrożeniem dla wizji Polski socjalistycznej Gomułki. Celem „Wielkiej Nowenny" było bowiem nie tylko przygotowanie do uroczystości millennijnych, lecz także przeciwstawienie się ateizacji społeczeństwa i wzmocnienie katolickiej tożsamości narodowej. Prymas mówił o tym zdecydowanie w słowach skierowanych do wiernych archidiecezji poznańskiej w marcu 1958 r. Wizja ta stała w całkowitej sprzeczności z planami I sekretarza KC PZPR, a przez dygnitarzy partyjnych była traktowana jako walka z władzami państwowymi. Jak podkreślał Gomułka w 1959 r. w rozmowie z Jerzym Zawieyskim: „Kościół prowadzi z nami wojnę, ale tej wojny nie wygra. To my ją wygramy, a was zmiecie historia. Wyszyński ciągle czegoś żąda, czegoś się dopomina. On chce mieć rząd dusz. Rząd dusz w tym kraju ma socjalizm. Socjalizm sięga po dusze. Kościół nie ma do tego prawa! Wy mówicie, że idzie Wam o Polskę. A tu idzie o socjalizm, bo nie ma Polski bez socjalizmu. Kto wyraźnie nie opowie się po stronie socjalizmu – ten wrogiem jest ustroju".

W atmosferze daleko idącego wzajemnego napięcia 11 stycznia 1960 r. odbyło się trzecie ze „spotkań na szczycie", tym razem już bez udziału Cyrankiewicza.

Prymas wskazał w czasie rozmowy z Gomułką, że to właśnie władze PRL odpowiedzialne są za pogorszenie relacji państwo – Kościół. Podkreślił także, że biskupi są nieustannie zaskakiwani kolejnymi zarządzeniami o antykościelnym charakterze, wśród nich wymienił zarządzenie dotyczące nadzoru nad seminariami, które uważał nie tylko za nielegalne, lecz także niewykonalne. Nie znalazł jednakże zrozumienia u swojego partyjnego rozmówcy, który nie tylko nie miał zamiaru wycofywać się z antykościelnych zarządzeń, lecz także żądał poparcia duchowieństwa dla modelu ustrojowego PRL. Podkreślił jasno, że „w sytuacji wewnętrznej, w jakiej żyjemy, Ksiądz prymas mówi o tym, że Kościół nie przeszkadza. Idzie o to, by pomagał". Jednoznaczanie odrzucił także wszelkie postulaty kard. Wyszyńskiego, w tym zwiększenia liczby katolickich tytułów prasowych.

Rozmówcy znaleźli jednak pewną przestrzeń dla wspólnego zrozumienia – dla obu stron konfliktu problem stanowiła działalność bp. Czesława Kaczmarka. Ordynariusz kielecki był oceniany przez komunistów jako najbardziej wrogi ze wszystkich biskupów, a przez kard. Wyszyńskiego jako zbyt radykalny i prowokujący nieustająco konflikty z władzami (co w jego przekonaniu szkodziło misji Kościoła, podobnie jak nagonka propagandowa władz na tego hierarchę). Prymas i Gomułka zgodzili się, że nalepszym rozwiązaniem byłoby wysłanie bp. Kaczmarka do Rzymu (nie doszło do niego ostatecznie na skutek decyzji Stolicy Apostolskiej).

Według relacji Zawieyskiego prymas miał być zadowolony z rozmowy i podkreślać, że jej najważniejszym elementem była „zmiana atmosfery". Nie wydaje się, by lider środowiska Znaku miał rację co do oceny dokonanej przez kard. Wyszyńskiego, gdyż hierarcha szybko dostrzegł hipokryzję ze strony Gomułki. Już 1 lutego zauważył bowiem, że władze PRL rozpętały nową nagonkę na bp. Kaczmarka, a 25 marca wysłał ostry list do I sekretarza KC PZPR w sprawie prób rozciągania nadzoru nad seminariami i nauczeniem religii w szkołach.

4 kwietnia prymas ironicznie skomentował na kartach swojego dziennika ingerencje cenzury w treść czytanek majowych: „Cenzura wykreśliła wszystko, co dotyczy »Narodu«, życia narodowego,

eprasa.pl d61c8fc80f

społecznego, znaczenia publicznego Kościoła. Nie wolno Kościołowi przemawiać do Narodu. To zostaje dla p. Gomułki".

POWAŻNE NAPIĘCIA

Stan szczególnego napięcia relacje państwo – Kościół osiągnęły w latach 1963–1966. Władze PRL bezwzględnie realizowały politykę administracyjnych represji oraz prób ingerencji w życie wewnętrzne Kościoła. Było to też widoczne podczas ostatniego spotkania prymasa z Gomułką, które odbyło się 26 kwietnia 1963 r. Kardynał Wyszyński podniósł w jej czasie wiele kwestii związanych z antykościelną agendą władz, poczynając od wskazania na nielegalność wielu działań Urzędu ds. Wyznań, przez limitowanie obecności publicznej Kościoła, na działaniach wymierzonych w duchowieństwo (na czele z poborem alumnów do wojska) kończąc. Prymas nie tylko nie znalazł zrozumienia u swojego adwersarza, lecz także został obwiniony o zaostrzenie relacji Kościoła i państwa: „Pozycja hierarchii jest jednoznaczna. Orientuję się w tym na podstawie publicznych wypowiedzi. Nie ma kazania księdza Kardynała, którego bym nie czytał, bo ks. Kardynał jest kierownikiem. Nawołują one do nieprzestrzegania przepisów prawa. To samo można powiedzieć i o innych biskupach. Ich stosunek do ustroju jest wrogi". Takie nastawienie Gomułki zupełnie pomijające racje dyskutanta w czasie spotkania sprowokowało kard. Wyszyńskiego do najdalej idącej krytyki pod adresem przedstawiciela władz Polski „ludowej". Dzień później, 27 kwietnia, prymas zapisał w swoim dzienniku: „[...] Dziękuję Matce Bożej Dobrej Rady za obecność i za modlitwy moich dzieci na Jasnej Górze i w domu. Przepraszam za wszystko, co we mnie było z oporu. Być świadkiem sloganowego kłamstwa, ciasnoty i tupetu półinteligenckiego – nie jest łatwo".

Ta ostatnia rozmowa jasno pokazała, że jakikolwiek bezpośredni dialog tych dwóch rozmówców jest niemożliwy, ich cele są biegunowo rozbieżne. Obydwie strony były również przekonane, że ewentualne kolejne spotkania nie przyniosą żadnego efektu. Komuniści nie tylko nie zrezygnowali z antykościelnej agendy, lecz także jeszcze ją zaostrzyli. Szczególny wymiar nabrało to w latach 1965–1966 stanowiących szczyt napięcia w stosunkach państwo – Kościół w okresie rządów Gomułki. Prymas był atakowany propagandowo w bezwzględny sposób w prasie i przemówieniach czołowych dygnitarzy partyjnych. Najostrzejszy atak na kard. Wyszyńskiego przeprowadził 17 kwietnia 1966 r. w Poznaniu sam Gomułka, oskarżając prymasa o wyzbycie się poczucia państwowości oraz nieodpowiedzialność: „Ten wojujący z naszym państwem ludowym pasterz pasterzy, który głosi, że nie będzie się korzył przed polską racją stanu, stawia swoje urojone pretensje do duchowego zwierzchnictwa nad narodem polskim wyżej niż niepodległość Polski. Jakież to musi być zaślepienie, które każe mu zapomnieć o naukach historii, zapomnieć o tym, kto Polskę zgubił, a kto ją wyzwolił!". Prymas zapisał 4 kwietnia 1966 r., że w czasie obrad najwyższych władz partyjnych zdecydowano się wypowiedzieć „świętą wojnę Kościołowi", i ustosunkowywał się do tego faktu: „Choćby wypowiedziano »wojnę«, nie będę uważał się za stronę wojującą, bo ja wojny nie prowadzę". © ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, doktorem habilitowanym, pracownikiem naukowym BBH IPN.

REKLAMA

odbierz dodatkowy rabat* na hasło: DO RZECZY -5%

*promocja ważna do 17 czerwca 2022 roku

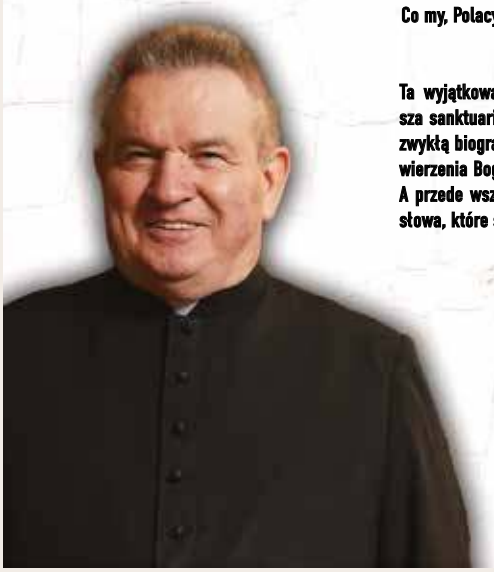

ŚWIADEK OBJAWIEŃ ŚW. ANDRZEJA BOBOLI!

Czego dokładnie oczekuje od nas św. Andrzej Bobola? Jakie słowa przekazał, objawiając się ks. Niżnikowi? Co my, Polacy, możemy zrobić, żeby spełnić prośby kierowane do nas przez Świętego?

Ta wyjątkowa książka, napisana przez proboszcza i kustosza sanktuarium św. Andrzeja Boboli w Strachocinie, nie jest zwykłą biografią Świętego – jest wezwaniem do totalnego zawierzenia Bogu i oddania się w opiekę św. Andrzejowi Boboli. A przede wszystkim – odkrywa przed nami niezwykle ważne słowa, które święty Patron Polski kieruje do Polaków w czasie kryzysu w kraju i wojny tuż za naszą granicą.

Zapisz się do Katalogu Dobrych Książek i otrzymuj specjalne gratisy! Zamów książkę na **esprit.com.pl** lub pod numerem telefonu **12 267 05 69**.

Darmowa dostawa od 99 zł

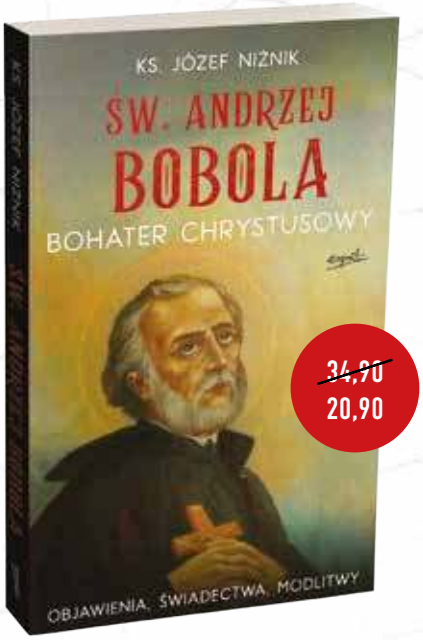

~~34,90~~ 20,90

eprasa.pl d61c8fc80f

Hercegowina Flor,

czyli czerwony dymek z papierosa

Piotr Semka

Którzy z sowieckich dyktatorów byli zamiłowanymi palaczami? W jaki sposób poszczególne marki papierosów stanowiły wyznacznik społecznej pozycji w „przodującym ustroju"? I dlaczego wilk ścigający przemiłego zajączka w popularnej sowieckiej bajce dla dzieci miał zawsze kiepa w kącie paszczy? Kwestia papierosowo-tytoniowa to dobry klucz do analizy komunistycznego eksperymentu

W przedrewolucyjnej Rosji tytoń bardzo długo palono niemal wyłącznie w fajkach. Od połowy XIX w. na zasadzie nowinki w dużych miastach zaczęły pojawiać się papierosy. Początkowo ich odbiorcami byli tylko ludzie wykształceni, którzy bywali w świecie, którzy zauważyli, że moda na wąskie rurki wypełnione tytoniem pojawiła się wcześniej we Francji, w Stanach Zjednoczonych czy w Niemczech.

Jednymi z pionierów masowej produkcji papierosów byli dwaj biznesmeni karaimscy w Moskwie – Samuił Sadukowycz Gabaj i Abraham Dawidowicz Kapun. Zaczynali od skromnej fabryczki w alei Sałtykowskiej z załogą liczącą 21 osób i czterema krajalnicami do tytoniu oraz czterema stołami do zwijania cygaretek i papierosów. Fabryka Gabaja cieszyła się specyficzną sławą, gdyż jej właściciel przyciągał do pracy prawie wyłącznie Karaimów krymskich, którzy powoli stworzyli w Moskwie całkiem sporą kolonię. W 1988 r. fabryka produkowała już 101 ton tytoniu rocznie. A nowa właścicielka fabryki, żona Gabaja Anna Jufudowna ściągnęła do swojego zakładu mechaniczne kruszarki do tytoniu, nowoczesne maszyny do nadziewania tytoniem długich rękawów z bibułki, które następnie były cięte na krótsze papierosy. Maszyny do papierosów zaprojektowane przez rosyjskiego konstruktora Siemenowa były tak rewolucyjne, że otrzymały Grand Prix na światowej wystawie w Paryżu w 1889 r.

KARAIMSKI RARYTAS

W 1911 r. fabryka produkowała aż 30 rodzajów papierosów, w czasie pierwszej wojny światowej jeszcze się rozrosła, gdyż została uznana za przedsiębiorstwo na rzecz obronności. Papierosy w armii rosyjskiej palili jednak głównie oficerowie. Szeregowcy trzymali się starej rosyjskiej maniery używania bloków sprasowanej

eprasa.pl d61c8fc80f

machorki, którą zawijano w skrawek papieru lub gazety. Rewolucja październikowa znacjonalizowała dużą część najbardziej znaczących producentów rosyjskich papierosów. Sam wódz rewolucji Włodzimierz Iljicz Lenin miał już wtedy za sobą okres bycia palaczem. W czasach, gdy zaczął działać w ruchu rewolucyjnym, sporo palił, ale potem z powodów zdrowotnych zarzucił nałóg tytoniowy, co więcej, jego współpracownicy z irytacją znosili jego kaznodziejskie tyrady przypominające o negatywnym wpływie tytoniu na zdrowie.

Badacz rosyjskiej historii nikotynowej, Aleksiej Bogołomow, dotarł do wspomnień Fiodora Sołodowa, jednego z twórców kremlowskich oddziałów straży rewolucyjnej. Jak wspomina Sołodow, 1 maja 1920 r. święto ludzi pracy uczczono specjalnym czynem partyjnym, czyli tzw. subotnikiem, w którym wziął udział sam Włodzimierz Iljicz. Sołodow wspomina: „Jakoś podczas odpoczynku wszyscy zasiedliśmy na kłodzie drewna. Usiadł z nami także Lenin. Paliliśmy. Iljicz spojrzał na nas i powiedział: „Cóż jest dobrego w tym dymie? W końcu tytoń to trucizna. Niszczy nasze zdrowie". My z kolei zapytaliśmy go: „Czy kiedykolwiek paliłeś, Włodzimierzu Iljiczu?". Odpowiedział: „Tak, w młodości jakoś zapaliłem papierosa, ale rzuciłem i już do tego nigdy nie wróciłem".

Lata 20. to tzw. okres NEP, kiedy na krótki, jak się potem okazało, czas przywrócono część mechanizmów rynkowych. Na nowo pojawiło się mnóstwo marek papierosów wytwarzanych przez rozmaite spółki i spółdzielnie. Rosjanie wspominający tamte czasy wskazują, że im bardziej właściciele drżeli o los swoich prywatnych firm, tym bardziej starali się, aby pudełka papierosowe zawierały „słuszną linię ideologiczną". Przykładem takiej radosnej twórczości były papierosy „Wozdusznyj flot" (flota powietrzna). Na ilustracji ozdabiającej pudełko radziecki samolot z dumną nazwą „Proletariat na skrzydłach" bombarduje książkami z nauką marksistowską ogromny statek o nazwie „Burżuazja". Wraży okręt tonie niczym słynny „Titanic".

Do klasyki rosyjskiego modernizmu przeszły takie reklamówki jak np. papierosy Oktiabrskoje. Do wymyślania reklam papierosów Hercegowina Flor dał się namówić nawet czołowy bard rewolucyjny Włodzimierz Majakowski, który sam palił tę markę.

Włodzimierz Majakowski przyczynił się do rozreklamowania marki Hercegowina Flor FOT. DOMENA PUBLICZNA

IOSIF WISSARIONOWICZ CHOWA PETY

Ale osobowością, która wywierała od końca lat 20. największy wpływ na rzeczywistość ZSRS, był oczywiście Józef Stalin. I nieprzypadkowo jego ulubionym gatunkiem była marka Hercegowina Flor, którą produkowała znana nam już była fabryka Gabaja i Kapuna. Znacjonalizowany zakład otrzymał w 1920 r. nową nazwę Jawa. Ponieważ fabryka pracowała na zapasach tytoniu z wyspy Jawa należącej wówczas do Indii holenderskich, to załoga zaprosiła do siebie delegację indonezyjskich marksistów, która przyjechała wówczas na wielki zjazd rewolucyjny narodów Azji i Środkowego Wschodu. Aby upamiętnić wizytę indonezyjskich gości, zakłady otrzymały nazwę Jawa, którą utrzymały jeszcze przez długie dekady istnienia ZSRS. I to właśnie te zakłady produkowały papierosy Hercegowina Flor, które z kolei były ukłonem dla bałkańskiej krainy, w której hodowano niezwykle aromatyczny tytoń. Stalin palił Hercegowina Flor w fajce albo w postaci papierosa.

Dyktator nie gardził także cygarami hawajskimi, a nawet tytoniem amerykańskim. W 1936 r. jeden z przywódców Kominternu Georgi Dymitrow przywiózł z Ameryki paczkę tytoniu Edgewood. Iosif Wissarionowicz był zachwycony prezentem, ale ubolewał, że nie wie, jak długo lekarze jeszcze pozwolą mu palić fajkę. Nie znamy stanowiska lekarzy, ale wiadomo, że Stalin palił papierosy i fajkę prawie do końca życia. Co więcej, zdjęcie, na którym z lubością podpala fajkę, tyran z Kremla wybrał do grupy zdjęć, które kolportowano w milionach egzemplarzy na potrzeby ludności mającej rozczulać się nad ludzkim obliczem okrutnego górala.

Tłumacz Stalina, opisując konferencję aliantów w Teheranie w 1943 r., pisał po latach: „Stalin wystąpił w mundurze marszałkowskim, ale jak mu się to często zdarzało, był niechlujny. Miał pogniecione spodnie i kaukaskie miękkie buty z cholewami. Palił papierosy Hercegowina Flor". Stalin był na bakier z porządkiem także i później. W rodzinnym archiwum A.N. Szefowa, autora książki „Stalina życie na daczy", znajduje się wspomnienie komendanta ochrony I.M. Orłowa. Ochroniarz Stalina skarżył się, że przez okno jadalni wychodzące na południową werandę daczy sowiecki dyktator wyrzucał kiepy: „W ostatnich latach życia Stalin nabrał przyzwyczajenia, aby otwierać okno, brać papierosy ze stołu, palić, a popiół wyrzucać przez okno, a nie do popielniczki. Nie chciał starć z lekarzami, którzy zakazywali mu palenia. Funkcjonariusze dyżurni stale znajdowali pod oknem popiół tytoniowy. Bardzo delikatnie zgłosili swoje ustalenie Stalinowi, wskazując mu, że popiół pozostaje na parapecie. Przepraszam – odpowiadał Stalin. – Następnym razem będę ostrożniejszy".

Papierosy Hercegowina Flor. Miłośnikiem tej marki był m.in. Józef Stalin FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl d61c8fc80f

Rozmowa człowieka, który wysyłał na Syberię miliony ludzi, z jego ochroniarzami na temat ukrywania się z paleniem w obawie przed lekarzami brzmi jak surrealizm. Ale badacze wielkich dyktatorów łatwo znajdą podobne przykłady dziwacznej nieśmiałości u innych przywódców.

Papierosy stale musiały być pod ręką. Szefow tak opisywał stolik Stalina w małej jadalni: „Znajdował się zawsze w lewym rogu stołu najbliżej drzwi wejściowych. Przed fotelem, na którym siedział Stalin, leżały ostro zaostrzone kolorowe ołówki (zwykle 14 sztuk) i zeszyty. Były też pudełka sowieckich papierosów Hercegowina Flor, bułgarskich luxów, cygar hawajskich i wreszcie pokaźny zapas pudełek zapałek. Hawajskie cygara Stalin kruszył palcami i tytoń z nich wpychał do swojej fajki. Przez większość swoich rządów, kiedy jeszcze nie prześladowali go lekarze, popielniczki, fajki, papierosy, cygara i paczki tytoniu znajdowały się we wszystkich pokojach. Nawet w sali bilardowej i saunie".

Ostatecznie Stalin rzucił palenie trzy i pół miesiąca przed śmiercią, co jednak nie miało już żadnego znaczenia dla długości jego życia. Zmarł w wieku 75 lat. Jego biografowie wskazują, że gdyby nie niezdrowy nałóg mógłby, jak wielu Gruzinów, dożyć wieku 95 lat. I podzielić losy Fidela Castro, który trząsł Kubą aż do swojej śmierci w wieku 90 lat. Wizja okrutnego Gruzina trzymającego Związek Sowiecki w żelaznym uścisku do 1968 lub nawet 1973 r. musi budzić przerażenie.

DESTALINIZACJA I DENIKOTYNIZACJA

Nikita Siergiejewicz Chruszczow, który z czasem zastąpił Stalina jako lider komunistycznej partii Związku Radzieckiego, nie gustował w nikotynie. Jak wskazuje Aleksiej Bogomołow, Chruszczow sam nie palił, ale patrzył przez palce na to, co robią inni liderzy. Jak wspominał szef ochrony Chruszczowa Aleksiej Aleksjejewicz Salnikow, przeganiał palaczy, ale bez fanatyzmu. O wiele bardziej fanatycznym wrogiem papierosów był I marszałek ZSRS Kliment Jefriemowicz Woroszyłow. W kręgach sowieckiej elity władzy opowiadano, że jako wyrostek uczestniczył kiedyś w niemądrym zakładzie, kto wypali więcej papierosów, i zatruł się tak mocno, że aż stracił przytomność.

Ochroniarz Woroszyłowa Wiktor Kuzowlew wspominał: „Pamiętam, jak kiedyś podczas wyjazdu na narty spotkaliśmy faceta z papierosem w ustach,

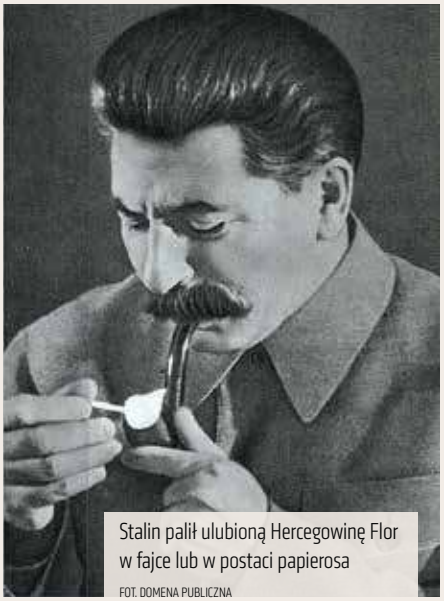

Stalin palił ulubioną Hercegowinę Flor w fajce lub w postaci papierosa

FOT. DOMENA PUBLICZNA

mieszkańca pobliskiej wsi. Woroszyłow zatrzymał go, wyrwał mu papierosa z ust i rzucił go w śnieg. Huknął na młodzika, krzycząc: »Jak można jeździć na nartach i jednocześnie palić«". Furię marszałka może zrozumieć każdy, kto pamięta ulice sowieckie z lat istnienia państwa robotników i chłopów. Przybyszy z zagranicy zawsze raziła wulgarna maniera trzymania przez rozmaitych młodzików tlącego się papierosa w kąciku ust. Ten zwyczaj stał się na tyle wyrazistym symbolem chuligaństwa, że autorzy popularnej kreskówki „Wilk i Zając" sportretowali wrednego wilka ścigającego wiecznie biednego zajączka z ohydnym kiepem w kąciku wilczej mordy. Papierosy wróciły triumfalnie wraz z objęciem władzy przez Leonida Breżniewa.

We wspomnieniach zięcia Breżniewa, Jurija Michajłowicza Czorbanowa, wydanych w końcu lat 90. czytamy: „Leonid Iljicz uwielbiał palić, prawdopodobnie od czasów wojny. Jego dwa ulubione gatunki to były Wiesti i Krasnopriesnienskie. Kiedy lekarze zabronili mu palić, sępił papierosy od ochroniarzy, współpracowników i krewnych. Kiedyś byłem z nim na Łużnikach na meczu hokejowym i podczas przerwy zapytał mnie: »Jura, masz papierosy?« Mówię: »Tak, Leonidzie Iljiczu«. Wyjąłem paczkę Kentów, wziął papierosa, a ja mu podpaliłem. Pierwszy sekretarz zaciągnął się i powiedział z wyrzutem: »Jura, nie pal tych papierosów«. Może nie lubił smaku, a może były dla niego za lekkie. Od tego czasu nosiłem paczkę swoich papierosów w jednej kieszeni, a paczkę gatunku, które lubił Breżniew, w drugiej. Wyciągał ode mnie papierosy z wielką przyjemnością".

Wiktor Suchodriew, przez wiele lat osobisty tłumacz Breżniewa, ujawnił po latach, że Breżniew poszedł w końcu z lekarzami na kompromis. Zdecydował się ograniczyć dzienną dawkę papierosów. W jednym z działów technicznych KGB skonstruowano specjalnie dla niego piękny ciemnozielony pojemnik na papierosy z zamkiem uruchamianym zegarowo. Po tym, jak wziął papierosa, pojemnik wydawał mu kolejnego dopiero po 45 minutach. Jak wspomina tłumacz, kiedy Breżniew został zmuszony do całkowitego rzucenia palenia, prosił ochroniarzy, którzy stale mu towarzyszyli, aby kurzyli u jego boku.

Władimir Miediew, zastępca szefa osobistej ochrony genseka wspominał: „Breżniew przewodzi posiedzeniu politbiura. Na sali spora grupa najwyższych przywódców partii wpatrzonych w swojego szefa. A Breżniew do mnie mówi: »Siadaj koło mnie i zapal«. Nie wszystkim członkom politbiura, zwłaszcza tym starszym, to się podobało. W końcu byli wśród nich niepalący, ale nikt nie odważył się sprzeciwić".

Według byłego ochroniarza Breżniewowi wyjątkowo na nerwy działał Andriej Gromyko, szef sowieckiej dyplomacji: „W obecności Gromyki szef znów rozkazał mi zapalić papierosa. Oczywiście zapaliłem, ale starałem się dmuchać tak, aby dym nie sunął wprost na I sekretarza. Wtedy Breżniew się zdenerwował: »Co ty robisz? To nie jest to samo. Dmuchaj prosto na mnie«. Zagraniczni goście patrzyli na to ze zdziwieniem. Oto w czasie negocjacji tłumacz siedzący u szczytu stołu ni z tego, ni z owego bezczelnie zapala papierosa, a nawet dmucha dymem w twarz przywódcy swojego kraju".

Po Breżniewie nastąpiły znowu antynikotynowe czasy. Jurij Andropow nie palił, a jego następca Czernienko, gdy doszedł w końcu do kierowania partią, był już na tyle poważnie chory, że nie mógł sięgać po tytoń.

Gorbaczow nie był palaczem, podobnie jak pierwszy prezydent Rosji Borys Jelcyn. Władimir Putin lubi pozować na wzorowego sportowca. Zdobył się nawet na specjalny test medyczny, który wykazał, że nie pali papierosów.

A papierosy Hercegowina Flor są nadal produkowane. Nic dziwnego, w końcu cichy kult Stalina ma się w Rosji całkiem nieźle.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

W przygotowaniu tekstu wykorzystano książki Wiktora Suchodriewa „Od Chruszczowa do Gorbaczowa", opowieść Fiodora Sołodowa „U subotnika", wspomnienia Swietłany Alliłujewej „Dwadzieścia listów do przyjaciela", książkę Aleksandra Szefowa „Blisko Stalina" i materiały pisma „Antyki" (nr 1–2/2003).

eprasa.pl d61c8fc80f

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Rozmowa z więźniem sowieckiego łagru!

Piotr Zychowicz – **Rzeczpospolita Trojga Narodów**
Tomasz Stańczyk – **Kozacy u boku Polaków**
Maciej Rosalak – **Tajemnica hetmana Chmielnickiego**
Grzegorz Motyka – **Ukraina między Polską a Rosją**
Mikołaj Iwanow – **Hiszpański komunista na Łubiance**
Arkadiusz Karbowiak – **Terror IRA**
Piotr Włoczyk – **DNA mamutów z Syberii**
Jakub Ostromęcki – **PRL atakuje Czechosłowację**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl d61c8fc80f

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

O wojnie (na Ukrainie)

Często czytelnicy pytają mnie, od jakich autorów książek zacząć zgłębianie zasad Realpolitik. Bobrzyński? Bocheński? Studnicki? Jasne, oczywiście, również. Na początek warto jednak sięgnąć po klasykę klasyki. A konkretnie „świętą trójcę": „Księcia" Machiavellego, „Sztukę wojny" Sun Tzu i „O wojnie" Carla von Clausewitza.

Tę ostatnią książkę wznowiło właśnie wydawnictwo Bellona. To XIX-wieczny pruski generał był autorem słynnego powiedzenia, że „wojna jest kontynuacją polityki prowadzoną innymi środkami". W swym słynnym traktacie Clausewitz porównał wojnę do zmagań dwóch zapaśników.

„Każdy z nich – pisał – stara się przeciwnika zmusić przemocą fizyczną do spełnienia swej woli, a najbliższym jego celem jest powalić przeciwnika i uczynić go przez to niezdolnym do stawiania dalszego oporu. Aby cel ten osiągnąć, musimy wroga rozbroić – i to stanowi bezpośredni cel czynności wojennych".

Od napisania „O wojnie" minęło 200 lat, a prawa Clausewitza są nadal aktualne. Rosja zaatakowała Ukrainę po tym, gdy wyczerpała drogę dyplomatyczną. Czyli po tym, gdy przedstawione przez nią w Genewie żądania zostały odrzucone. Celem Rosji jest „neutralizacja" Ukrainy. Czyli rozbrojenie jej i narzucenie jej swojej woli. Dokładnie jak to opisał Clausewitz.

Problem w tym, że Rosja zignorowała kluczową radę Clausewitza i wszystkich innych mądrych strategów. Nie wolno podejmować działań przy użyciu niewystarczających środków. To się bowiem musi skończyć fiaskiem. I rzeczywiście „operacja specjalna", która – w zamyśle Putina – miała potrwać kilka dni, zamieniła się w długotrwałą wojnę na wyczerpanie. Wyczerpanie przede wszystkim Rosji.

Ukraiński zapaśnik okazał się znacznie silniejszy, niż spodziewała się Moskwa. „Wojna nie jest działaniem żywej siły na martwą masę – pisał Clausewitz – gdyż taka bezwzględna uległość nie byłaby prowadzeniem wojny. Przeciwnie, jest ona zawsze zderzeniem się dwóch sił żywych. Dopóki nie pokonałem przeciwnika, dopóty muszę obawiać się, że on mnie pokona".

Rosjanie takiej ewentualności nie brali pod uwagę. Spodziewali się, że w 2022 r. powtórzy się sytuacja z roku 2014. I tak jak wówczas na Krymie, teraz również natrafią na „martwą masę". Natrafili tymczasem na siłę żywą, uzbrojoną w javeliny, NLAW-y i pioruny. Efekt – masy rozbitych, płonących czołgów na ukraińskich stepach. ©℗

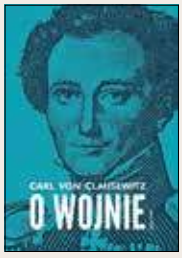

★★★★★★
CARL VON CLAUSEWITZ „O WOJNIE" BELLONA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Początki „Przeglądu Sportowego"

Poeta Kazimierz Wierzyński był zagorzałym wielbicielem sportu, a jego fascynacja sięgała czasów szkolnych w Galicji. W wieku 15 lat rozpoczął treningi w Pogoni Stryj, gdzie uprawiał lekkoatletykę i piłkę nożną. Wielkich sukcesów nie osiągnął, kwalifikował się bowiem tylko do trzeciego składu, ale miał też swój wielki dzień:

„Szczytem mojej kariery piłkarskiej – wspominał – był występ w pierwszej drużynie, w której zabrakło – nie pamiętam z jakiego powodu – bramkarza na mecz z »Lechią« we Lwowie. Z wielką tremą stanąłem na boisku »Sokoła Lwowskiego«, robiłem, co mogłem, ale okazało się, że to nie dosyć, aby mecz wygrać. Zeszliśmy z pola pokonani 1-0".

Kibicem był jednak przez całe życie i gdy dowiedział się, że wychodzącemu dotychczas w Krakowie „Przeglądowi Sportowemu" (pierwszy numer ukazał się 21 maja 1921 r.) grozi upadek, namówił właścicieli „Kuriera Czerwonego" do zakupu tego tytułu. Sam oczywiście został redaktorem naczelnym pisma.

„Nadałem mu format gazety – relacjonował – powiększyłem objętość i przekonałem wydawców, aby zaryzykować nakład 5 tys. egzemplarzy. Chwyciło z miejsca. […] Dalsze dzieje pisma przeszły wszelkie oczekiwania. Wychodziło kilka razy na tydzień, nakład osiągnęło przeszło 20 tys. egzemplarzy".

Wierzyński okazał się właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Miał doskonałe wyczucie stylu, wiedział, że informacja musi być odpowiednio podana i napisana dobrym językiem. I tego właśnie uczył młodych dziennikarzy.

Inna sprawa, że czasami sam redaktor naczelny nie mógł służyć za wzór profesjonalizmu. Gdy wybrał się jako reporter na mistrzostwa świata w hokeju na lodzie, zapomniał o roli sprawozdawcy. Zrozpaczeni podwładni przygotowywali relacje na podstawie informacji radiowych i depesz agencyjnych, informując oczywiście, że artykuły pochodzą od „własnego korespondenta". A gdy Wierzyńskiemu udało się wreszcie oderwać od suto zakrapianych przyjęć, impreza dobiegła już końca, ale wysłał depeszę do reakcji.

„Treść była krótka – opisywał Wojciech Trojanowski. – »Pierwsza – Kanada, druga – Ameryka, trzecia – Czechosłowacja«. Nas oczywiście ogarnęła szewska pasja i wysłaliśmy do niego ironiczną depeszę z zapytaniem: »Dlaczego Czechosłowacja trzecia?«.

W dzień potem Wierzyński odpowiedział telegramem o długości półtora metra. Wszystko wyjaśnił, ale to wszystko było już nieważne, więc depeszę oprawiliśmy w ramki, wieszając ją na ścianie". ©℗

eprasa.pl d61c8fc80f

Zmieniamy życie pacjentów dzięki nauce™

W czasie zagrożenia zdrowia, kiedy mamy wyzwania na skalę światową, dzięki współpracy z wieloma partnerami:

opracowujemy nowe leki
udoskonalamy sposób ich dystrybucji
nieprzerwanie dostarczamy leki pacjentom na całym świecie

Bristol Myers Squibb™

Dowiedz się więcej na **bms.com**

ONCPL2011661-01,12.2020

eprasa.pl d61c8fc80f

Maciej Pieczyński

Nie ma co liczyć na to, że Ukraińcy pod wpływem agresji rosyjskiej i polskiej pomocy wyrzucą UPA na śmietnik historii. Jednak wojna rodzi nowych bohaterów, którzy w narodowym panteonie mogą przyćmić swoim blaskiem gwiazdy Bandery i Szuchewycza

Sława bohaterom?

Walcząca z rosyjską agresją Ukraina ma wciąż przede wszystkim twarze Wołodymyra Zełenskiego oraz – każdego z osobna – niezłomnych obrońców Mariupola. Tych ostatnich coraz rzadziej kojarzy się z kontrowersjami wokół skrajnie nacjonalistycznego ruchu, z którego zrodził się pułk „Azow". Teraz w zasadzie mówi się przede wszystkim o ich niezwykłym bohaterstwie.

Gwiazda Zełenskiego, jako nieoczekiwanie odważnego, charyzmatycznego, autentycznego, a także po ludzku otwartego i, gdy trzeba, zabawnego (doświadczenie komika robi swoje), nie gaśnie. Podobnie jak nie gaśnie opór obrońców zakładów Azowstal. W Internecie furorę robią zestawienia zdjęć, pokazujące, jak bardzo konkretnych bohaterów pod względem fizycznym zmieniła wojna. Ogolony, ubrany w garnitur, zawsze uśmiechnięty komik po 24 lutego stał się nieogolonym, ubranym w mundur przywódcą z miną zmęczonego, ale zdeterminowanego, poważnego człowieka. Podobnie coraz częściej wymieniani z imienia i nazwiska azowcy, na których twarzach wyraźnie dziś malują się trudy wielotygodniowego oblężenia. Warte więcej niż tysiąc słów są popularne w Internecie zdjęcia rannych żołnierzy – brudnych, zakrwawionych, bez rąk, bez nóg, ale z oddającymi wysokie morale uśmiechami na okopconych twarzach.

Te obrazki wpływają na odbiór niezłomnych obrońców Ukrainy. Bardziej jednak krzepią serca konkretne historie konkretnych bohaterów. Niemal codziennie obrońcy kombinatu Azowstal publikują w Internecie nagrania wideo, w których opisują trudną sytuację, jednocześnie zapewniając, że będą walczyć do końca. Ten koniec może nadejść w każdej chwili – w momencie, gdy piszę te słowa, jeszcze nie nadszedł. – Poddanie się jest niedopuszczalne. Nie możemy dać wrogowi tak dużego prezentu. Być schwytanym oznacza dla mnie być martwym – mówił w jednym z nagrań por. Ilja Samojlenko. Jego sylwetkę w mediach społecznościowych przedstawiła Gwardia Narodowa Ukrainy, w której skład wchodzi pułk „Azow". W wojnie z Rosją stracił lewą rękę. Teraz ma tytanową protezę mechaniczną. Stracił też prawe oko, teraz ma sztuczne. Marzy o ukończeniu studiów historycznych, które przed wojną zaczął na uniwersytecie w Kijowie.

DUCH KIJOWA

Jednym z najsłynniejszych bohaterskich mitów walczącej Ukrainy jest opowieść o „Duchu Kijowa". Pilot miga-29 miał w ciągu pierwszych 30 godzin wojny zestrzelić sześć rosyjskich myśliwców, w tym dwa Su-35, dwa Wu-25, jeden Su-27 oraz jednego miga-29. Po dwóch dniach walk miał na koncie już 10 zniszczonych samolotów wojskowych najeźdźcy. Legendarny pilot walczył na kluczowym odcinku frontu, broniąc nieoczekiwanie zaatakowanej stolicy przed nalotami rosyjskiego lotnictwa.

Tę historię za pośrednictwem mediów społecznościowych opowiedziały światu ukraińskie władze. Na rządowym koncie na Twitterze można było przeczytać: „Ludzie nazywają go Duchem Kijowa. I słusznie. Ten as Ukraińskich Sił Powietrznych panuje na niebie nad naszą stolicą i krajem i już stał się koszmarem atakujących samolotów rosyjskich". Drugiego dnia wojny, informując na Facebooku o tym, że w szeregi lotnic-

eprasa.pl d61c8fc80f

Prezydent Wołodymyr Zełenski odznacza bohaterskich żołnierzy
FOT. UKRAINE PRESIDENCY/ZUMA PRESS/FORUM

twa wojskowego powracają dziesiątki doświadczonych rezerwistów, ministerstwo obrony tajemniczo zasugerowało: „Kto wie, być może jeden z nich jest tym powietrznym mścicielem, latającym migiem-29, którego tak często widzą kijowianie". W Internecie pojawiło się mnóstwo zdjęć i nagrań, na którym rzekomo widać „Ducha Kijowa". Jedno z nich okazało się sceną z gry komputerowej. Petro Poroszenko opublikował zdjęcie pilota, zapewniając, że to jest właśnie „Duch Kijowa". Okazało się jednak, że były prezydent wykorzystał wykonaną trzy lata wcześniej fotografię z zasobów ministerstwa obrony. Widać na niej pilota, który testuje nowy rodzaj hełmu. Na kilku zdjęciach, rzekomo przedstawiających bohatera, był on podpisany nazwiskiem Wołodymyr Abdonow. W rzeczywistości był to fotomontaż – przeróbka zdjęcia kanadyjskiego pilota albo poległego ukraińskiego sapera Witalija Skakuna.

„Duch Kijowa" jest przykładem tworzenia na wojnie mitów opartych na realnych wydarzeniach i realnym bohaterstwie

Bodaj najpoważniejszym kandydatem na „Ducha Kijowa" wydawał się mjr Stepan Tarabałka. Urodzony w obwodzie iwanofrankowskim na zachodzie kraju. Mieszkał niedaleko bazy wojskowej, więc często widywał przelatujące w okolicy samoloty wojskowe. Od dziecka marzył, by zostać pilotem. Udało się. Jako 13-latek poszedł do szkoły wojskowej. W 2014 r., niedługo po wybuchu wojny w Donbasie, ukończył Uniwersytet Sił Powietrznych w Charkowie. W chwili rosyjskiej agresji, już jako 29-letni pilot myśliwca MiG-29, Tarabałka służył w 40. brygadzie lotnictwa taktycznego. 13 marca zginął w starciu z przeważającymi siłami wroga, broniąc budynków mieszkalnych przed nalotem rosyjskim. Jego mig został zestrzelony nad Żytomierzem. Pośmiertnie został odznaczony tytułem Bohatera Ukrainy, a także orderem Złota Gwiazda (Zołota Zirka).

W Internecie zaczęto wówczas spekulować, że oto właśnie zginął „Duch Kijowa". Tej wersji władze ukraińskie zaprzeczyły. Media dalej jednak łączyły legendę z bohaterem poległym nad Żytomierzem. 29 kwietnia brytyjski „The Times", powołując się na swoje ukraińskie źródła, ogłosił, że od początku inwazji „Duch Kijowa" zestrzelił aż 40 rosyjskich samolotów i że był nim właśnie nieżyjący już Tarabałka. Po raz kolejny władze Ukrainy tę informację zdementowały. Tym razem jednak ostatecznie przyznając: „Duch Kijowa to superbohater legenda, którego postać stworzyli sami Ukraińcy! To raczej zbiorowy obraz pilotów 40. brygady lotnictwa taktycznego sił powietrznych, którzy chronią niebo stolicy".

„Duch Kijowa" jest więc typowym przykładem tworzenia na wojnie mitów, które oparte są na realnych wydarzeniach i realnym bohaterstwie, tyle że na potrzeby krzepiącej serca propagandy odpowiednio wyolbrzymione i przejaskrawione.

„IDŹ W CH..."

Podobnie było w przypadku bohaterów Wyspy Węży. Jak wiadomo, została ona zdobyta już pierwszego dnia wojny. W odpowiedzi na żądanie kapitulacji ze strony rosyjskiej marynarki wojennej padły słynne dziś na cały świat słowa: „Rosyjski okręcie wojenny, idź w ch...".

Początkowo podano informację, że wszyscy obrońcy zginęli. Później okazało się, że jednak trafili do niewoli. Miesiąc później wrócili na Ukrainę w ramach wymiany jeńców. Autor słynnej frazy – Roman Hrybow – został przez władze swojego rodzinnego regionu odznaczony medalem „Za Zasługi dla Obwodu Czerkaskiego".

Odpowiedź pograniczników z Wyspy Węży stała się wręcz mottem obrońców Ukrainy i na trwałe zapisała się

eprasa.pl d61c8fc80f

w popkulturze. Swoją sławą z pewnością przebiła bardzo podobną w wymowie, również legendarną, również ostrą, wulgarną i zabawną odpowiedź Kozaków zaporoskich na list sułtana tureckiego, wzywającego ich do poddania się jego władzy.

13 kwietnia oficjalnie do sprzedaży wszedł wyemitowany przez ukraińską pocztę znaczek, nawiązujący do frazy obrońcy Wyspy Węży. Widać na nim stojącego nad brzegiem morza ukraińskiego żołnierza, który pokazuje środkowy palec w stronę rosyjskiego okrętu wojennego. Pod obrazkiem widnieje słynny cytat Hrybowa. – Pamiętajcie, że rosyjski okręt może iść tylko w jedną stronę – powiedział Zełenski, prezentując znaczek. Kilka godzin później świat obiegła wiadomość o uszkodzeniu okrętu wojennego „Moskwa", który brał udział w ataku na Wyspę Węży. „Moskwę" zatopili oczywiście Ukraińcy.

POŚWIĘCENIE SKAKUNA

Historia obrońców wyspy jest tyleż heroiczna, co heroikomiczna. Ukraińcy potrafią zabijać Rosjan nie tylko pociskami, lecz także śmiechem, specyficznym czarnym humorem, który z pewnością pomaga im utrzymać bojowego ducha i optymizm. Natomiast już nic ani zabawnego, ani legendarnego nie ma w historii Witalija Skakuna. W tym wypadku ukraińska propaganda nie musiała bohaterstwa wyolbrzymiać czy upiększać. Był pierwszy dzień wojny. Jedno z uderzeń na Ukrainę Rosjanie wyprowadzili z Krymu. Żeby z okupowanego półwyspu przedostać się na teren obwodu chersońskiego, kolumna pancerna musiała przejechać przez most nad Cieśniną Heniczeską. Na tym terenie stacjonowała 35. brygada piechoty morskiej. Żeby zatrzymać Rosjan, trzeba było most wysadzić. Na ochotnika do wykonania zadania zgłosił się saper Witalij Skakun. Przed wybuchem nie zdążył uciec. Wysadził się razem z mostem. Przed śmiercią zdążył skontaktować się z oddziałem, zameldować wykonanie zadania i się pożegnać. Niespełna 26-letni żołnierz przed wojną mieszkał i pracował w Polsce na budowie. Pośmiertnie otrzymał tytuł Bohatera Ukrainy oraz Honorowego Obywatela Leszna.

8 maja Wołodymyr Zełenski w obecności Justina Trudeau wręczał odznaczenia zasłużonym saperom, którzy opanowali nowoczesne kanadyjskie techniki rozminowywania. Jak żartowali dziennikarze, jeden z nagrodzonych zachował się nieodpowiednio podczas tej podniosłej uroczystości. A konkretnie – naszczekał na premiera Kanady. Tym saperem był Patron (po ukraińsku i po rosyjsku – nabój) – urodzony w 2019 r. pies rasy Jack Russell terrier. Wraz z opiekunem uczestniczył w rozminowywaniu w obwodzie czernihowskim. Obaj zostali odznaczeni. Patron jest prawdziwym specem od poszukiwania min. – Gdy znajdzie, zaczyna kopać. Potem dostaje smakołyk i do pracy wkracza saper – mówił opiekun Patrona w rozmowie z mediami.

Większość współczesnych obrońców Ukrainy nie będzie wywoływać takich kontrowersji jak liderzy OUN i UPA

Czworonożny bohater zdobył międzynarodową sławę w mediach, w tym społecznościowych. Ma swój profil na Instagramie. Został uwieczniony na muralu w Równem. Występuje w filmikach edukacyjnych pokazujących, jakich zasad bezpieczeństwa należy przestrzegać na terenach zaminowanych. Historia psa Patrona dobitnie świadczy o PR-owskim geniuszu ukraińskiej propagandy w dążeniu do ocieplania wizerunku obrońców kraju oraz w walce o sympatię świata Zachodu, który przecież takie opowieści uwielbia.

PAMIĘTAJĄC O UPA

Jak widać, panteon nowych bohaterów Ukrainy jest barwną, różnorodną, nowoczesną galerią osobliwości. Od asów lotnictwa do czworonożnych saperów. Jednak nowi bohaterowie nie wyparli starych. Pamięć o tych ostatnich również bywa w oczach Ukraińców aktem heroizmu. Wzięty do niewoli były mer Chersonia Wołodymyr Mykołajenko przed kamerą, w rozmowie z rosyjskim dziennikarzem, odważnie nazwał bohaterem Romana Szuchewycza. – On nie walczył po stronie nazistowskich Niemiec. On walczył za Ukrainę – powiedział Mykołajenko. Ukraińskie media doceniły tę postawę.

Ukraiński nacjonalizm spod znaku Bandery i Szuchewycza nie został wyrzucony na śmietnik historii. Rok 2022 Rokiem UPA ogłosiły lwowska oraz wołyńska rada obwodowa. Warto przy tym pamiętać, że kult UPA ma ostrze antysowieckie i antyrosyjskie, nie zaś antypolskie. Ukraińcy czczą banderowców za powojenną walkę partyzancką z NKWD, nie za ludobójstwo wołyńskie (którego zresztą za ludobójstwo nie uznają).

Warto też wspomnieć, że UPA jako organizacja wojskowa cieszyła się większą sympatią niż organizacja polityczna, jaką była OUN – dla Ukraińców bowiem ważniejsza była walka z okupacją sowiecką niż konkretne, stojące za nią idee. Mit banderyzmu wykorzystywany był w dużej mierze powierzchownie i instrumentalnie – również na przekór Moskwie, która Banderą „straszyła dzieci". Z kolei już wyrosły na wschodzie kraju ruch azowski, nie odcinając się od UPA, w większym stopniu opiera się na tradycji Rusi Kijowskiej i proponuje sojusz z Polską.

Po wybuchu wojny z Rosją w 2014 r. kult UPA stał się poręcznym narzędziem w walce z wrogiem. Jednak szemrany, hybrydowy konflikt nie zrodził tylu jednoznacznych bohaterów co pełnowymiarowa inwazja regularnej armii, do której doszło 24 lutego. Nie ma co się łudzić, że Ukraina pod wpływem rosyjskiej agresji i polskiej pomocy całkowicie odetnie się od spuścizny UPA. Można jednak liczyć na to, że nowi bohaterowie – namacalni, aktualni, konkretni, często znani osobiście – po prostu okażą się dla Ukraińców bardziej atrakcyjni niż znani jedynie z książek, filmów historycznych i pomników Bandera i Szuchewycz. Ponadto większość współczesnych obrońców Ukrainy nie będzie wywoływać takich kontrowersji jak liderzy OUN i UPA. Pochodzący z zachodu kraju wspomniany już pilot mjr Tarabałka swoją przyszłą żonę poznał w Charkowie. Ponoć bała się jechać w jego rodzinne strony, bo myślała, że tam mieszkają „sami banderowcy". Na wschodzie kraju niechęć do UPA, podsycana przez sowiecką i rosyjską propagandę, nie wygasła nawet u ukraińskich patriotów. Za to już sam Tarabałka, podobnie jak Hrybow, Skakun czy nawet azowiec Samojlenko („Azow" broniąc Mariupola, z pewnością zyskał wiele również w oczach swoich krytyków), budzić może tylko podziw i szacunek rodaków, których wolności bronią. Tu i teraz, na ich oczach, a nie na kartach podręczników.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d61c8fc80f

SANKCJE W PRAKTYCE

Córka rosyjskiego biznesmena i parlamentarzysty Irka Bogusławskiego, który został objęty zachodnimi sankcjami, właśnie kupiła sobie we Włoszech luksusowy hotel. Według „Corriere della Serra" znajdujący się w Toskanii hotel „La Pace" został sprzedany za 30 mln euro spółce mającej siedzibę w Imoli. Firma, na czele której stoi Karina Bogusławska, została założona 24 lutego – w dniu rozpoczęcia rosyjskiego ataku na Ukrainę.

FOT. BALENCIAGA

AKTYWIŚCI KONTRA OPONY

Klimatyczni aktywiści postanowili w Wielkiej Brytanii zwalczać jazdę samochodami. Ogłosili, że chcą „zasiać strach" wśród właścicieli „paliwożernych samochodów". Do tej pory mieli już uszkodzić opony w 3 tys. SUV-ów, m.in. w Londynie, Manchesterze, Edynburgu i Cambridge. Zapowiedzieli, że ich celem jest przebicie opon w 10 tys. samochodów do końca tego roku.

KUP PAN STARE TRAMPKI

Firma odzieżowa Balenciaga – uznawana za prestiżową – postanowiła po raz kolejny przetestować granice tego, co można jeszcze ludziom sprzedać, lub według niektórych po prostu granice ludzkiej głupoty. Zaoferowała w sprzedaży zupełnie zniszczone chińskie trampki, których cenę ustaliła na ok. 7 tys. zł. Nową „markę" nazwała: Full Destroyed. Można zakładać, niestety, że jednak ktoś to kupi.

NIEMCY ZAKAZALI UKRAIŃSKICH FLAG

Ponieważ Niemcy – jak twierdzą – chcieli w spokoju upamiętnić rocznicę zakończenia drugiej wojny światowej, w Berlinie zakazali umieszczania flag lub symboli narodowych w miejscach pamięci. Oczywiście to tylko przypadek, że tego dnia Rosjanie świętowali też swój Dzień Zwycięstwa. Niemieccy policjanci zabrali tego dnia demonstrantom dużą ukraińską flagę z napisem „To My", bo przecież porządek być musi.

ROSJANIE SAMI SIĘ OSTRZELALI

Jak doniosły na Telegramie władze ukraińskiego obwodu zaporoskiego, w Połohach doszło do nietypowej sytuacji. Rosjanie ostrzelali swoje własne pojazdy. Zniszczyli ok. 20 z nich. W ten sposób chcieli uniknąć wyjazdu na front, bo nie bardzo palili się do walki zaplanowanej przez Władimira Putina. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Bitcoinów gorzki smak

Masowa spekulacja cebulkami kwiatów w XVII w. z niejednego uczyniła bogacza (w szczytowym momencie za jedną cebulkę rzadkiej odmiany tulipanów można było w Holandii kupić kamienicę lub dom z ogrodem). Oczywiście nawet w tych nieracjonalnych wzrostach było wiele racjonalnych przesłanek: najdroższe były najrzadsze odmiany, a obrót cebulkami był stosunkowo ograniczony. Żądni łatwych i pewnych zysków kupowali nawet przyszłe plony, pewni, że na tym stracić się nie da. Nie odstraszała ich nawet nazwa tych lekkomyślnych inwestycji, które już wtedy nazywano „handlem wiatrem". Spektakularne wzrosty wartości cebulek skończyły się w 1637 r. i doprowadziły wielu do bankructwa (a niekiedy i samobójstwa).

Historię tej bańki spekulacyjnej zna każdy, nawet najbardziej początkujący inwestor. Znają ją także pisarze, malarze czy poeci (na czele ze Zbigniewem Herbertem). Podobnie jak historie innych baniek związanych z produktami czy akcjami, które po latach niewiarygodnych wzrostów nagle traciły na wartości. A mimo to kolejne odmiany „cebulek tulipanów" rozpalały wyobraźnię złaknionych zysków inwestorów w XXI w.: po bitcoinie narodziły się Ethernet, Cardano, Terra (LUNA) czy dogecoin – kryptowaluta stworzona jako żart, która zamieniła się w pożądany środek płatniczy.

Już kilka lat temu wielu analityków przestrzegało, że chciwość, naiwność i głupotę spekulantów kupujących na szczycie cebulki tulipanów przebiją dopiero bitcoin i dziesiątki innych kryptowalut. Ostatnie dni przynoszą wiele argumentów wspierających tę tezę. Kryptowaluty mocno nurkują i w prawdziwie ryzykownych czasach chyba mało kto wierzy jeszcze, iż zastąpią kiedyś złoto, dolara czy jena. ©℗

eprasa.pl d61c8fc80f

FOT. ADOBE STOCK

Zimne wojny gazowe

Małgorzata Wołczyk

Madryt, mając nadzieję na „zakręcenie kurka z imigrantami" przez Maroko, popadł jednocześnie w konflikt z Algierią, która szantażuje teraz Hiszpanię „kurkiem gazowym"

Wbrew temu, co przywykliśmy sądzić, teatr zimnowojenny wcale nie rozgrywa się tylko w naszym regionie, ale ma swoje odsłony nawet na piaskach Sahary. Rosja od dawna jest zainteresowana swoją mocarstwową pozycją w Afryce i dlatego w jej strefie wpływów pozostaje niemal cały Sahel, czyli obszar wzdłuż południowych obrzeży Sahary, rozciągający się od Senegalu do Sudanu. Co ciekawe, miejscem ścierania się wpływów USA i Rosji w Afryce pozostaje Maghreb, w tym przede wszystkim dawny kolonialny skrawek Hiszpanii: Sahara Zachodnia, co powoduje narastający niepokój w Madrycie. W dodatku poszukiwanie alternatywnych źródeł dostaw gazu spowodowało nieoczekiwany łańcuch zdarzeń w rejonie, z którego wciąż płynie nieprzerwany strumień nielegalnych imigrantów do europejskich miast.

Niedawna wizyta sekretarza stanu Antony'ego Blinkena w Maroku i Algierii była próbą przeciągnięcia obu arabskich krajów Maghrebu do poparcia krucjaty przeciwko Rosji. Tyle że podział stref wpływu obowiązuje od czasu zimnej wojny: Algieria jest sojusznikiem Moskwy, Maroko zaś „od zawsze" trwa przy USA. Pikanterii dodaje to, że dla obu tych krajów ani zimna wojna, ani odwieczny konflikt, który toczą o przywództwo w regionie, nie tylko się nie skończyły, lecz także wciąż narastają.

SAHARA, USA I ROSJA

Ale od początku: sojusz USA z Marokiem, a właściwie z dynastią Alawitów, z której wywodzi się obecny król Muhammad VI, trwa od 1943 r., czyli od konferencji w Casablance. Nienaruszone, przyjazne relacje przetrwały do dziś, pomimo burzliwych momentów w najnowszej historii Maroka. Warto pamiętać, że baza marynarki wojennej USA i NATO znajduje się w hiszpańskiej prowincji Kadyksu, „rzut beretem" marynarskim od Maroka. Trwały sojusz między tymi państwami leży więc nawet w naszym interesie, choć Hiszpanom staje on kością w gardle i jest powodem, dla którego połowa narodu pragnęłaby jak najszybciej opuścić pakt atlantycki i uwolnić się od „imperializmu jankeskiego". Gdy w 1975 r. gen. Franco dogorywał w agonii, znany z przebiegłości król Maroka Hassan II podjął udaną operację hybrydową znaną w historii jako Zielony Marsz. W kierunku hiszpańskiej Sahary ruszyło ok. 300 tys. nieuzbrojonych cywilów, do których wojska hiszpańskie nie ośmieliły się strzelać, tym bardziej że Marokańczycy sprytnie paradowali również pod flagą USA, aby zyskać przychylność protektora i rozpocząć okupację dawnej hiszpańskiej kolonii zamieszkanej przez koczownicze plemię Sahrawi. Mimo nakazu ONZ, aby dekolonizacja odbyła się na zasadzie referendum niepodległościowego pod auspicjami Hiszpanii, nigdy nie doszło do plebiscytu, a faktyczna okupacja Sahary przez Maroko przyniosła krwawy konflikt z sąsiednią Algierią, do której uciekali znękani prześladowaniami Sahrawi.

Krwawe konflikty na tle niewyjaśnionego statusu dawnej kolonii hiszpańskiej trwają aż do dziś, ale katalizatorem zdarzeń okazał się również tweet prezyden-

eprasa.pl d61c8fc80f

ta Trumpa, który na odchodnym z Białego Domu „podarował" Saharę Zachodnią Królestwu Maroka w zamian za nawiązanie przez Rabat dyplomatycznych relacji z Izraelem. Tak więc w grudniu 2020 r. USA uznały suwerenność Maroka nad Saharą Zachodnią, wbrew decyzji ONZ o konieczności przeprowadzenia referendum wśród plemienia Sahrawi. Ta decyzja wzburzyła nie tylko Hiszpanię, lecz także Algierię, która miała od dawna apetyt na ten kawałek Afryki z dostępem do oceanu. W końcu to na jej terytorium prześladowany przez Marokańczyków lud Sahrawi znajdował schronienie, a jego obrońcą mienił się algierski Front Polisario, czyli militarna, marksistowska organizacja, która proklamowała na terenie konfliktu Saharyjską Arabską Republikę Demokratyczną.

Za plecami Polisario od początku stała też Moskwa, która już wtedy, w latach 70., miała nadzieję, że za pośrednictwem bratniej Algierii uda się jej uzyskać dostęp do Atlantyku i neutralizować wpływy USA. Do dziś Rosja zaciekle broni tam swoich interesów, bo chce mieć geostrategiczny przyczółek w Maghrebie i w basenie Morza Śródziemnego. W zamian za umorzenie gigantycznego zadłużenia odziedziczonego po sowieckiej epoce Algieria przeznacza od lat aż 6 proc. swego PKB na zakup uzbrojenia od Rosji. Najważniejsze stały się jednak umowy w ramach energetyki między rosyjskim Gazpromem a algierskim Sonatrachem. W 2006 r. Komisja Europejska miała „uważnie monitorować" rozwój ścisłej współpracy między nimi pod kątem negatywnych reperkusji na rynkach europejskich. Gazprom i Sonatrach dostarczały ponad jedną trzecią gazu ziemnego zużywanego w Europie. Zaniepokojeni Włosi uzależnieni od obu tych dostawców alarmowali UE o podpisaniu przez Moskwę i Algier umowy o ścisłej współpracy w zakresie poszukiwań geologicznych, rozbudowy sieci transportowych i systemów dystrybucji gazu, ale jak się skończyła troska UE o dywersyfikację dostaw – wszyscy wiemy. Co gorsza, jak właśnie ogłosił Ławrow, oba kraje planują podpisać „nowy dokument strategiczny, który będzie odzwierciedlał nową jakość stosunków", co – jak można zgadywać – uczyni z Algierii państwo satelickie Rosji.

ALGIERSKI SZACH

Algierski Sonatrach trzyma w szachu Hiszpanię, której gospodarka w dużej mierze zależy od jego dostaw gazu. Wziąwszy pod uwagę liczne więzy, które łączą Algierię z Rosją, projekcja ich siły na Śródziemnomorze i skrawek Atlantyku znacząco zmieniłaby układ sił i bezpieczeństwa w regionie.

Gdy jednak miesiąc temu nieoczekiwanie, bo bez uprzedniej debaty w Kongresie, premier Hiszpanii także umocnił zwierzchnictwo Maroka nad Saharą – Hiszpania zatrzęsła się z oburzenia. Premier Sánchez tłumaczył, że decyzja miała na celu „położenie kresu wzajemnej agresji i napięciu z Marokiem", nasilających się zwłaszcza po ataku hybrydowym na Ceutę, gdy 17 maja blisko 10 tys. imigrantów sforsowało granice. Problem polega jednak na tym, że Madryt, mając nadzieję na „zakręcenie kurka z imigrantami" przez Maroko, popadł jednocześnie w konflikt z Algierią, która szantażuje teraz Hiszpanię „kurkiem gazowym".

Oburzeni tą decyzją Hiszpanie uważają, że w ten sposób zdradzili plemię Sahrawi, które od podpisania w 1934 r. traktatu „o przyjaznym podporządkowaniu się" Hiszpanii stało się niejako jej obywatelami (choć drugiej kategorii) i legitymizuje okupanta z Maroko. Przede wszystkim jednak przekazując sporny teren o nierozstrzygniętym statusie w ręce króla Muhammada VI w zamian za jakieś mgławe obietnice zatrzymania fali imigrantów z Afryki, boją się nie tylko szantażu gazowego, lecz także militarnej eskalacji konfliktu w Maghrebie.

Ursula von der Leyen odwiedziła Madryt w marcu, aby ponoć obiecać premierowi Sánchezowi, że Hiszpania ze względu na bliskość geograficzną i pojemność magazynową może stać się pomostem między Algierią a Europą, odgrywając rolę „spiżarni gazowej". Jednak napięcie, które wybuchło po przekazaniu Sahary, zrujnowało tę możliwość, a kluczową rolę pośrednika odgrywają już Włochy. Premier Draghi, szukając uniezależnienia od dostaw z Rosji, podpisał właśnie nowy kontrakt z Algierią, dając jasno do zrozumienia, że zamierza utrzymać równowagę dyplomatyczną między Rabatem a Algierem. W ten sposób kraj północnoafrykański będzie dostarczał rocznie 30 mld m sześc. gazu w porównaniu z poprzednimi 20 mld, w pełni wykorzystując możliwości gazociągu Transmed, który łączy algierskie pola z wybrzeżem Sycylii.

Hiszpanie z trwogą złapali się więc za głowy, bo Algier już zapowiedział rewizję umowy i podwyżkę cen dostaw, nie skrywając zresztą powodów zemsty. To dyplomatyczne trzęsienie ziemi sprawiło, że USA stało się właśnie dla Hiszpanii drugim dostawcą gazu ziemnego, co podsyca narrację o „jankeskim imperializmie". Niektórzy hiszpańscy wielbiciele spiskowych teorii uważają, że USA wywołały wojnę na Ukrainie, aby przejąć gazowy monopol Rosji i rozszerzyć NATO aż do Finlandii. Na domiar nieszczęść Maroko właśnie odkryło czarne złoto na pobliskim obszarze Wysp Kanaryjskich. Chodzi tu o pole naftowe o potencjalnej zdolności wydobywczej odpowiadającej miliardowi baryłek (tak też informowała o tym brytyjska firma Europa Oil & Gas, odpowiedzialna za prowadzenie tam poszukiwań). Ponadto odkrycia dokonano na spornym od dziesięcioleci pograniczu archipelagu Hiszpanii i Maroka, a ogłoszenie poszukiwań nastąpiło zaledwie kilka dni po wizycie Sáncheza w Rabacie, podczas której uznał propozycję autonomii Maroka dla Sahary.

Władze Wysp Kanaryjskich już zagroziły, że nie pozwolą „dotknąć ani jednego milimetra wód kanaryjskich", apelując o przestrzeganie legalności terytorialnej, tym bardziej że Maroko w czasie szczytu pandemii wykorzystało sytuację chaosu w Hiszpanii i jednostronnie zatwierdziło ustawy, które rozszerzyły jego obszar morski aż do terytorium wysp, dodając sobie również obszary bogate w fosforany i tellur niezbędne do budowy paneli słonecznych i samochodów elektrycznych. Widmo odwiertów przeraziło też mieszkańców Wysp Kanaryjskich, którzy boją się zanieczyszczenia swoich wód. To zresztą kolejny policzek dla Hiszpanii ze strony Maroka po tym, jak jeszcze niedawno nękało wyspy inwazją tysięcy imigrantów. Hiszpania nie może jednak zapomnieć, jak dobrego sojusznika król Muhammad VI ma w Waszyngtonie i Londynie. Tymczasem – jak twierdzą różni eksperci – po międzynarodowym uznaniu marokańskiego charakteru Sahary Algieria bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje Rosji i Chin jako sojuszników w kwestii jej bezpieczeństwa narodowego. Pilar Rangel, profesor prawa i stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie w Maladze, ekspert od terroryzmu w państwach arabskich, uważa nawet, że to dopiero początek: „Ostatecznym celem Kremla jest unicestwienie Europy manewrem okrążenia – nie tylko poprzez zaatakowanie wschodniej flanki przez Ukrainę, lecz także z południa, przez kontynent afrykański".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d61c8fc80f

Przełomowy czas dla pro-liferów

Z Carol Tobias, szefową National Right to Life Committee, największej organizacji pro-life w USA
rozmawia Piotr Włoczyk

PIOTR WŁOCZYK: Jest pani gotowa na tę bitwę?

CAROL TOBIAS: Jesteśmy gotowi. Od 50 lat wiedzieliśmy, że jeżeli Sąd Najwyższy cofnie decyzję w sprawie Roe vs. Wade i kwestia legalności aborcji wróci do polityków rządzących poszczególnymi stanami, to druga strona nie przyjmie tego spokojnie. Jesteśmy gotowi bronić praw nienarodzonych.

Czy śledziła pani jesienią 2020 r. informacje płynące z Polski, gdy polski Trybunał Konstytucyjny zabronił tzw. aborcji eugenicznej?

Tak, widziałam, że przeciwnicy tej decyzji zareagowali bardzo gwałtownie.

Nasze kościoły były atakowane, nękano księży i osoby publiczne o konserwatywnych poglądach, skrajna lewica próbowała sparaliżować państwo. Już widać, że w Ameryce będzie co najmniej tak samo gwałtownie.

Zdaję sobie sprawę z tego, że to będzie dla nas bardzo ciężki czas. Nie chcę, by komukolwiek stała się krzywda, ale jeżeli dojdzie do naprawdę drastycznych sytuacji, to myślę, że to wszystko przyniesie dużo szkód ludziom, którzy wspierają tak ostre protesty. Amerykanie w większości chcą debatować w sposób cywilizowany. Jeżeli jednak proaborcyjni aktywiści zaczynają nękać kościoły i wiernych, jeżeli grożą sędziom Sądu Najwyższego i politykom wspierającym ochronę nienarodzonych, to jestem pewna, że większość naszego społeczeństwa będzie się temu sprzeciwiać.

W Polsce protesty poszły dokładnie w tę stronę – przejęła je proaborcyjna ekstrema, której pomysł na protesty raził „zwykłych ludzi". Nawet nasza opozycja zaczęła tonować nastroje, przekonując, że wzywanie do zniesienia wszelkich ograniczeń to bardzo szkodliwy postulat.

W Ameryce z kolei demokraci, idąc ręka w rękę z przemysłem aborcyjnym, ogłosili, że nie może być żadnych przeszkód w dostępie do aborcji. Żadnych ograniczeń! A przecież bardzo niewielu Amerykanów uważa, że aborcja powinna być legalna przez całe dziewięć miesięcy ciąży. Ponieważ demokraci uważają jakiekolwiek limity za uderzenie w prawa kobiet i nie są przez to skłonni poprzeć rozwiązań prawnych, które zakładają pewne ograniczenia w dostępie do aborcji, jestem przekonana, że stracą na tym w oczach Amerykanów.

Biały Dom podkreślił niedawno ustami rzeczniczki Jen Psaki, że Joe Biden również popiera zniesienie wszelkich ograniczeń.

Oczywiście, ponieważ takie stanowisko jest wymagane przez partyjną centralę od każdego demokratycznego kandydata ubiegającego się o urząd. Brak jednoznaczności w tej sprawie oznacza ostracyzm ze strony własnych sojuszników. Niewątpliwie czeka nas wyjątkowo burzliwa kampania wyborcza przed listopadowymi wyborami do Kongresu.

Dlaczego pani zdaniem doszło do przecieku z amerykańskiego Sądu Najwyższego?

Na ten temat są dwie teorie. Albo ktoś sympatyzujący z ruchem pro-choice chciał ostrzec swoją stronę, by zorganizować kampanię nacisków na sędziów i zmotywować do działania demokratów z Kongresu, albo to jakiś pro-lifer z SN stwierdził, że należy poinformować opinię publiczną o przymiarkach do obalenia Roe vs. Wade, by żaden z sędziów nie zmienił zdania. Ale to tylko spekulacje. Nie wiem, czy kiedykolwiek poznamy prawdę na ten temat. Wydaje mi się, że żadna ze stron nie zyskuje na tym przecieku.

Wygląda na to, że w amerykańskim Sądzie Najwyższym znalazła się większość (pięciu z dziewięciu sędziów), by obalić niezwykle kontrowersyjny wyrok z 1973 r., który zalegalizował aborcję na terenie wszystkich 50 stanów. Żaden z sędziów nie zmieni zdania przed ogłoszeniem ostatecznej decyzji w tej sprawie?

Mam nadzieję, że nic się nie zmieni, ale pamiętajmy, że dokument, o którym mówimy, ma już trzy miesiące i coś mogło się niestety przez ten czas zmienić.

Demokraci mają już plan awaryjny – jeżeli wyrok w sprawie Roe vs. Wade zostanie obalony, to zawsze można uchwalić w Kongresie ustawę, która zagwarantuje taki sam poziom dostępności aborcji.

Podczas tej sesji Kongresu, mimo że demokraci mają w nim obecnie większość, nic takiego się nie wydarzy. Tak zwany filibuster stanowi, że aby przegłosować taką ustawę w Senacie, trzeba mieć minimum 60 głosów (na 100). Demokraci nie

eprasa.pl d61c8fc80f

Protest przed siedzibą Sądu Najwyższego w USA, 10 maja
FOT. ANNA MONEYMAKER/GETTY IMAGES

mają szans zgromadzić tylu głosów w tej sesji Kongresu. Dlatego tak ważne będą listopadowe wybory. Musimy teraz zrobić wszystko, by pomóc wybrać jak najwięcej kandydatów, którzy sprzyjają życiu. Jeżeli bowiem demokraci zdobędą dużo nowych miejsce w Kongresie, to pozbędą się „filibustera", przegłosują ekstremalne prawo aborcyjne i jeszcze poszerzą skład Sądu Najwyższego o kilku nowych sędziów, by uzyskać w nim większość. Musimy dołożyć wszelkich starań, by tak się nie stało.

Amerykańskie media liberalno-lewicowe przekonują, że w tym roku temat aborcji będzie fantastycznym paliwem politycznym dla demokratów...

Nie wydaje mi się, żeby tak było. W każdych kolejnych wyborach kwestia aborcji bardziej mobilizuje pro-liferów niż obóz przeciwny. Oczywiście tym razem strona przeciwna ochronie życia będzie lepiej zmotywowana niż w poprzednich wyborach, ale my również będziemy jeszcze bardziej zwarci.

Ponadto ewidentnie widać, że demokraci źle oceniają sondaże. Jeżeli ktoś twierdzi, że aborcja powinna być raczej legalna, to oni od razu uznają, że ten głos przypadnie właśnie im. Jest jednak bardzo duża grupa wyborców, którzy uważają, że o ile w niektórych przypadkach aborcja powinna być legalna, o tyle jednak absolutnie nie może tu być pełnej dowolności, jak życzą tego sobie demokraci.

W najbliższych miesiącach będziemy przeprowadzali ogromną akcję informacyjną. Musimy uświadomić jak największej liczbie Amerykanów, co tak naprawdę oznacza stanowisko demokratów.

Co się stało z demokratami w ostatnich latach? Jeszcze ćwierć wieku temu ówczesny prezydent Bill Clinton powtarzał, że aborcja powinna być „bezpieczna, legalna i rzadka". Dziś to nie do pomyślenia – mówienie o „rzadkiej" aborcji odbierane jest przez lewicę jako zamach na prawa kobiet.

To prawda, obecnie politycy tej partii uważają, że sprzeciw wobec legalizacji aborcji przez cały okres ciąży to jak sprzeciwianie się przeprowadzaniu operacji usunięcia wyrostka robaczkowego. Myślę, że stało się tak przede wszystkim z powodu pieniędzy. Demokraci dostają w każdych kolejnych wyborach coraz więcej pieniędzy od przemysłu aborcyjnego. Obecnie mówimy już najprawdopodobniej o miliardach dolarów, które lobby aborcyjne zainwestowało w Partię Demokratyczną. A kto płaci, ten wymaga...

Jeszcze na przełomie wieku całkiem prężnie działała organizacja pod nazwą Demokraci za Życiem...

Ta organizacja wciąż działa, ale to już szczątkowa grupa, która nie ma kompletnie żadnego przełożenia na politykę własnej partii. Dziś w Izbie Reprezentantów i w Senacie zasiada po jednym pro-liferze z Partii Demokratycznej! W Senacie jest to doskonale znany Joe Manchin z Wirginii Zachodniej, który jest niezwykle popularny w swoim stanie i nie musi w związku z tym obawiać się partyjnej centrali. Z kolei w Izbie Reprezentantów zasiada demokratyczny pro-lifer z Teksasu, ale jego pozycja jest dużo słabsza od Manchina, cały czas znajduje się pod ostrzałem kolegów z partii i jego reelekcja stoi pod wielkim znakiem zapytania.

Demokraci nie są w stanie powiedzieć „nie" lobby aborcyjnemu. Proszę sobie wyobrazić, że w naszym Kongresie czeka właśnie ustawa, która stanowi, że jeżeli dziecko przeżyje późną aborcję, to należy je traktować tak samo jak wcześniaka, który urodził się w normalnych warunkach. Demokraci ani myślą ją poprzeć! Jeżeli dziecko zostało skazane na aborcję, ale jakimś cudem udało mu się przeżyć, to oni i tak nie są w stanie uznać go za człowieka, który ma prawo do życia!

Z kolei w Kalifornii, która stara się o miano aborcyjnego prymusa wśród amerykańskich stanów, głośno było ostatnio o zgłoszonej przez demokratów propozycji ustawy, która zabraniałaby ścigania winnych okołoporodowej śmierci noworodka. Pro-liferzy alarmują, że otwiera to furtkę dla dzieciobójstwa, np. poprzez celowe zaniedbanie, którego efektem jest śmierć dziecka.

Wiem, że to trudne do wyobrażenia, ale ta ustawa najprawdopodobniej zostanie uchwalona, a gubernator Kalifornii ją podpisze. Ten stan jest wyjątkowo nieprzyjazny życiu.

Kobiety często są zmuszane do aborcji albo z powodu liberalnej propagandy nie rozumieją, że w ten sposób ginie mały człowiek – ich dziecko

W Polsce mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że w Ameryce nie brakuje miejsc, gdzie kobieta nawet w dziewiątym miesiącu ciąży, tuż przed porodem, może legalnie dokonać aborcji zdrowego dziecka, które w żaden sposób nie zagraża jej zdrowiu lub życiu. To oczywiście rzadkie przypadki, ale jednak takie niewyobrażalne historie się zdarzają.

Niestety, jesteśmy jednym z siedmiu krajów na świecie, które zezwalają na takie potworności. Mamy w USA ośrodki, które wykonują późne aborcje „na życzenie". Między innymi Connecticut, Vermont oraz Illinois pozwalają na tak późne aborcje „na życzenie".

Na koniec chciałabym jednak podkreślić, że – wbrew temu, co twierdzą nasi przeciwnicy – ruch pro-life w USA nie chce karać więzieniem kobiet, które dokonają aborcji. Patrzymy na nie jak na ofiary. Kobiety często są zmuszane do aborcji przez swoich partnerów lub rodzinę albo z powodu wszechobecnej liberalnej propagandy nie rozumieją, że w ten sposób ginie mały człowiek – ich dziecko.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Carol Tobias jest przewodniczącą National Right to Life Committee (Krajowego Komitetu Prawa do Życia), największej organizacji pro-life w USA, koordynującej działania amerykańskich obrońców życia.

eprasa.pl d61c8fc80f

Przekopana nadzieja

Łukasz Zboralski

Rosjanie od początku podważali inwestycję na Mierzei Wiślanej. Argumenty? Niszczenie przyrody. Wtórowała im polska opozycja. Rząd się nie ugiął. Przekop już jest, a port w Elblągu ma pierwszych zainteresowanych biznesem

CZERWIEC 2008 R. Poseł Jarosław Wałęsa w interpelacji nr 3685 do szefa MSZ: „Budowa przekopu na Mierzei Wiślanej bez porozumienia ze stroną rosyjską narusza nasze wzajemne porozumienia".

KWIECIEŃ 2016 R. Polski Klub Ekologiczny występuje z krytyką pomysłu przekopania Mierzei Wiślanej. Stanowisko to popierają: Stowarzyszenie Ekologiczne EKO-UNIA, Federacja Zielonych GAJA, Fundacja EkoRozwoju, Greenpeace Polska, Instytut na rzecz Ekorozwoju, Klub Gaja, Kuling, Fundacja MARE, Ogólnopolskie Towarzystwo Ochrony Ptaków, Stowarzyszenie Eko-Inicjatywa, Fundacja Strefa Zieleni, Społeczny Instytut Ekologiczny, Towarzystwo na rzecz Ziemi, Ośrodek Działań Ekologicznych „Źródła" i Zielony Instytut Fundacja Zielonej Polityki.

KWIECIEŃ 2016 R. Henryk Ćwikliński, kierownik Katedry Polityki Gospodarczej Uniwersytetu Gdańskiego, w „Newsweeku": „Obawiam się, że miliardy, które rząd chce wpompować w rozwój żeglugi śródlądowej, zwrócą się najwcześniej za kilka dekad. Albo, co bardziej prawdopodobne, nigdy".

KWIECIEŃ 2017 R. Anton Alichanow, pełniący obowiązki gubernator obwodu kaliningradzkiego, w wywiadzie dla rosyjskiej prasy: „Woda w naszej zatoce jest bardziej słodka, to samodzielny system ekologiczny. My poważnie traktujemy rozwój rybołówstwa w strefie przybrzeżnej. Jest to branża dotowana i w ostatnich latach rozwijała się bardzo dobrze. Jeśli zasolenie wody będzie w jakiś sposób się zmieniać, to może stać się to szkodliwym czynnikiem dla rybołówstwa, przynieść straty gospodarcze".

LISTOPAD 2017 R. Generał Mirosław Różański, prezes fundacji Stratpoints, w rozmowie z „Dziennikiem": „Wiecie, gdzie był początek dyskusji na ten temat? W MON. Wiceminister Grabski chciał na mnie wymusić pisemne stanowisko, że się zgadzam na przekopanie tej mierzei. Tłumaczyłem mu, że takich projektów nie da się uzasadnić względami bezpieczeństwa i obrony, bo na Zalew Wiślany nie wpłynie żadna jednostka pływająca Marynarki Wojennej. Średnia głębokość wynosi tam 1,7 m. W porcie w Elblągu żaden okręt wojenny nie wykona nawet manewru. Mój podpis był jednak potrzebny do uzasadnienia tego projektu. Do wzmocnienia tezy o niezbędności tego projektu. Nie wiem, może i gospodarczo to jest uzasadnione, ale nie ma to żadnego związku z bezpieczeństwem".

KWIECIEŃ 2018 R. Marszałek województwa pomorskiego, Mieczysław Struk (PO), podczas sejmiku: „Przekop Mierzei Wiślanej to marnotrawienie publicznych pieniędzy i zagrożenie dla środowiska".

MAJ 2018 R. Magdalena Figura z Greenpeace Polska w OKO.press: „W mojej ocenie ta inwestycja ma głównie uzasadnienie ideologiczne […], próby nadania portowi w Elblągu pozalokalnej rangi nie mają sensu. Fundusze na tę inwestycję można przeznaczyć np. na budowę infrastruktury w tym mieście związanej z jakimiś innymi środkami transportu niż morski".

LUTY 2019 R. Dominik Sipiński w „Polityce": „Największym problemem z proponowanym przekopem mierzei jest jego oddziaływanie środowiskowe. Kanał ma przecinać Park Krajobrazowy Mierzeja Wiślana oraz wpływać na tereny Natura 2000. Opracowanie dotyczące skutków inwestycji już w 2016 r. przygotowało 16 organizacji środowiskowych, w tym Greenpeace – wylicza ono cały szereg negatywnych skutków, od wpływu na jakość wody w Zalewie Wiślanym po zniszczenie wydm, naturalnych siedlisk zwierząt czy przekształcenie linii brzegowej powodującej wtórne szkody".

MARZEC 2019 R. Posłanka PO Małgorzata Kidawa-Błońska w rozmowie z przedstawicielami programu TVP Anity Gargas: „Skoro natura nie zrobiła tego przekopu, to wydaje mi się, że to nie ma sensu. Gdyby natura chciała, żeby był tam przekop, to by był".

LIPIEC 2019 R. Liderka Inicjatywy Polska Barbara Nowacka podczas konferencji Koalicji Obywatelskiej: „Dziś wiemy, że zagrożona jest turystyka, zagrożona jest przyroda, zagrożony jest rozwój ekonomiczny tej części kraju z prawdopodobnie niewielkimi zyskami dla Elbląga".

eprasa.pl d61c8fc80f

Kanał na Mierzei Wiślanej oddany zostanie do użytku 17 września. Cała inwestycja gotowa będzie za rok

FOT. ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

MAJ 2020 R. Szymon Hołownia podczas przemawiania w Krakowie jako kandydat na prezydenta: „Ten rząd myśli kategoriami, jakimi myślały rządy Messnera, jakimi myślało się za głębokiego PRL, za Gierka, a więc stawiamy wielkie, narodowe rzeczy, olbrzymie kombinaty metalurgiczne, majestatyczne przekopy, prostowanie rzek […]. Te pieniądze to zmarnowane pieniądze, to skaleczona polska przyroda, na której też można by było zarabiać pieniądze, żyjąc w tamtym miejscu".

MAJ 2021 R. Stowarzyszenie Ekologiczne EKO-UNIA wraz z Greenpeace Polska złożyło skargę w sprawie przekopu Mierzei Wiślanej do Komisji Europejskiej.

KWIECIEŃ 2022 R. Rosja od trzech miesięcy prowadzi wojnę na Ukrainie. Przekop Mierzei Wiślanej jest na ukończeniu. Port w Elblągu ma oferty pierwszych zainteresowanych kontrahentów.

ROSYJSKA ŁAPA NA CIEŚNINIE

Wydaje się, że dziś postrzeganie przekopu Mierzei Wiślanej bardzo się zmieniło. Choć, prawdę mówiąc, Polacy od dawna mieli tu nastawienie pozytywne. Trzy lata temu w sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej" 44 proc. badanych wyraziło poparcie dla budowy kanału na Mierzei Wiślanej (przeciwników było mniej – 36 proc.).

PiS, który plan tej inwestycji przyjął podczas swoich pierwszych rządów w 2007 r., od początku w tej sprawie mówił nie tylko o sensie ekonomicznym, lecz także o bezpieczeństwie. – Budując ten kanał, załatwiamy także tę sprawę: pokazujemy, że jesteśmy państwem do końca suwerennym" – mówił Jarosław Kaczyński w 2016 r. Zresztą – jak wspominali historycy – pomysły na przekop mierzei pojawiały się w Rzeczypospolitej znacznie wcześniej. Bodaj jako pierwszy planował to król Stefan Batory po buncie Gdańska w XVI w. Potem pojawił się taki pomysł na początku PRL.

Do tej pory do portu w Elblągu mogły wpływać statki o nośności do czterech ton, ale wszystko blokowała niekorzystna umowa z Rosją

Dziś widać jak na dłoni, że Rosjanie z obwódu kaliningradzkiego blokują Polsce dostęp do Bałtyku przez Cieśninę Pilawską. Przed przekopaniem mierzei na Zalew Wiślany do portu w Elblągu mogły wpływać jednostki o nośności do czterech ton, ale zawarta w 2009 r. umowa między Polską a Rosją, dotycząca korzystania z cieśniny, blokuje nam wszystko. Rosjanie ograniczyli nam

REKLAMA

eprasa.pl d61c8fc80f

możliwość wpuszczania statków o zanurzeniu większym niż 1,8 m, a przez cieśninę do Elbląga mogą wpływać tylko jednostki pod polską banderą. Nie mogą tamtędy przejść inne statki, niehandlowe – czyli jednostki wojskowe, policji czy straży granicznej.

Najgorsze jest jednak co innego – że wystarczy kaprys Rosjan, aby ot tak Cieśninę Pilawską zamknąć mimo obowiązującej nas umowy. I od lat 90. zrobili to już trzy razy.

CZY REGION ODŻYJE?

Rosyjska agresja na Ukrainę sama z siebie uzasadniła potrzebę uniezależnienia Zalewu Wiślanego od Cieśniny Pilawskiej. Zatem głosy sprzeciwu w Polsce znacznie ucichły. – To jest przede wszystkim potwierdzenie tych wszystkich elementów, o których mówiliśmy, m.in. bezpieczeństwa państwa, co było deprecjonowane szczególnie w Unii Europejskiej – mówił w kwietniu wiceminister infrastruktury Marek Gróbarczyk, który przyjechał na wizytę studyjną miejsca inwestycji. – Ten element ma dziś podstawowe znaczenie, jeśli chodzi o możliwość płynięcia na Zalew Wiślany.

Możliwości przeładunkowe portu w Elblągu zwiększą się teraz z niecałych 90 tys. ton rocznie do co najmniej 3,5 mln ton rocznie

Coraz trudniej też jednak argumentować, że przekop nie ma sensu ekonomicznego. Zresztą i wcześniej tego rodzaju narracja miała poważne dziury. Z jednej strony czytaliśmy opinie, które dowodziły, iż żadne statki nie zawitają do portu w Elblągu, bo po prostu nie ma do niego czego wozić, i zamierał nie przez brak dostępu do Bałtyku, ale ot tak, po prostu. Z drugiej strony np. Michał Sandecki w „Gazecie Wyborczej" pod koniec ubiegłego roku dowodził już, że Rosjanie zarobią krocie na przekopie. Wskazywał, że zdecydowana większość wymiany handlowej portu w Elblągu to ta z obwodem kaliningradzkim. „[…] nieprawdziwa jest więc teoria, że kanał jest inwestycją kompletnie nieopłacalną i nigdy się nie zwróci. Na budowie kanału zarobią

INFOGRAFIKA: MAŁGORZATA JATOS, MACIEJ ZIELIŃSKI, ADAM ZIEMIENOWICZ/PAP

rosyjscy i polscy biznesmeni, zarobi port w Elblągu, który prawdopodobnie zwiększy wielkość przeładunków i być może nawiąże współpracę z innymi niż rosyjskie portami" – napisał. I martwił się już wyłącznie dobrem przyrody.

Wiadomo na pewno, że możliwości przeładunkowe portu w Elblągu zwiększą się z niecałych 90 tys. ton rocznie aż do co najmniej 3,5 mln ton. Pozostaje pytanie, czy zostaną wykorzystane. Z jednej strony w Elblągu są firmy produkujące towary o olbrzymich gabarytach – silosy, elementy do statków – których transport drogą lądową jest trudny. To m.in. General Electrics, Elstar, Proxmus, Stokota czy FLSmidth MAAG Gear. Ładunki ponadgabarytowe mogłyby płynąć z Elbląga prosto do portów w Rotterdamie czy Hamburgu.

Z drugiej strony wszyscy wskazują na pewne ograniczenia – przez 8 km toru wodnego na mierzei przepływać będą mogły wyłącznie statki o długości do 100 m i zanurzeniu 4,5 m.

Chociaż krytycy inwestycji byli przekonani, że nikt niczego do Elbląga woził nie będzie, to – jak ujawnił w kwietniu „Puls Biznesu" – do portu w Elblągu zgłaszają się już firmy zainteresowane przewozami morskimi z wykorzystaniem kanału. Wśród chętnych na świadczenie usług cargo ma być m.in. polska agencja transportowa Okmarit.

Jeszcze w ubiegłym roku władze elbląskiego portu rozpoczęły rozmowy o współpracy z duńskim portem Vordingborg. To niewielki port, przeładowujący ok. 1 mln ton towarów rocznie. – To port, podobnie jak nasz, multimodalny, nastawiony na różnego rodzaju przeładunki. Głównie liczymy na współpracę w zakresie przeładunku zbóż, pasz, towarów przemysłu drzewnego oraz materiałów budowlanych – wyjaśniał w Radiu Olsztyn Arkadiusz Zgliński, dyrektor portu w Elblągu. List intencyjny między portami ma zostać podpisany w polskiej ambasadzie w Kopenhadze jeszcze w tym miesiącu.

Według analiz Urzędu Morskiego w Gdyni do 2045 r. korzyści z kanału na mierzei sięgnąć mają 3,2 mld zł. Według tych szacunków powstać ma ok. 3,3 tys. nowych miejsc pracy zarówno w sektorze transportowym, jak i turystycznym.

Oczywiście niezbędnych będzie jeszcze kilka inwestycji. Kilka dni temu podpisano umowę na trzeci, ostatni etap na samej mierzei – na budowę nowej drogi wodnej. Kanał żeglugowy oddany zostanie do użytku 17 września. A cała inwestycja ma być gotowa o tej porze za rok. Do tego czasu trzeba będzie pogłębić też tor wodny na zalewie, pogłębić miejsca przy terminalach, a port w Elblągu musi jeszcze zbudować obrotnicę dla statków.

Do transportu morskiego dołożyć mogą się zyski z turystyki. Już dziś kanał na mierzei stał się swego rodzaju atrakcją, przyciągającą w weekendy tłumy rodaków. Prawdziwe szanse ma przed sobą jednak turystyka żeglarska. I samorządy chcą się do tego już przygotować.

Sztutowo właśnie szybko zmienia studium uwarunkowania zagospodarowania przestrzennego gminy, by wprowadzić zapisy, które umożliwią inwestycje rozwijające żeglarstwo. Do 2024 r. gmina chce zbudować osiem nowych pomostów do obsługi żeglarzy i punkty turystyczne, a także promenadę nad morzem z wieżami widokowymi.

Frombork, który chciałby mieć nowoczesną marinę, ale nie ma na to 15 mln zł, planuje oddać działkę prywatnemu biznesowi, który mógłby ją w ten sposób zagospodarować. Zainteresowanie biznesmenów podobno już jest.

Krynica Morska zbuduje nowy hangar, który będzie obsługiwał marinę jachtową i plac do zimowania jachtów.

Oficjalne otwarcie kanału na mierzei zaplanowano na 17 września (data jest oczywiście symboliczna). Cała inwestycja ma być gotowa za rok o tej porze. Przekop mierzei początkowo miał kosztować niecałe 900 mln zł (kto jeszcze pamięta mrzonki, że sfinansowana zostanie z bursztynu, którego złoża miały zostać wydobyte przy przekopie?), ostatecznie pochłonie 2 mld zł.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d61c8fc80f

Bank Pekao współfinansuje budowę w Zwartowie największej farmy fotowoltaicznej w Polsce

Bank Pekao S.A. współfinansuje budowę gigantycznej farmy fotowoltaicznej w Zwartowie na Pomorzu. Jej całkowita docelowa moc wyniesie 285,6 MW, co uczyni ją największą tego typu inwestycją w Polsce, ale i jedną z największych w całej Europie Środkowo-Wschodniej.

MIĘDZYNARODOWE PRZEDSIĘBIORSTWO I POLSKA SPÓŁKA

Budową farmy zajmie się międzynarodowe przedsiębiorstwo Goldbeck Solar z 20-letnim doświadczeniem w tego typu inwestycjach, mające w swoim portfolio podobne, duże realizacje na całym świecie. Działa zarówno jako deweloper, jak i w pełni zintegrowany dostawca, zapewniający swoim klientom pełen pakiet: od inżynierii i zaopatrzenia, poprzez budowę, aż do obsługi i konserwacji utworzonych instalacji.

W celu budowy farmy powołano spółkę celową Stigma sp. z o.o. Partnerem inwestycji jest zaś Respect Energy S.A. – polska niezależna firma, działająca w 22 krajach, a zajmująca się obrotem energią elektryczną. Ale tylko taką, która w pełni pochodzi ze źródeł odnawialnych.

Bank Pekao będzie pełnił w tym przedsięwzięciu rolę agenta kredytu, agenta zabezpieczeń oraz banku rachunków, a także zapewni hedging stopy procentowej. Transakcja będzie sfinansowana w ramach konsorcjum trzech banków, a łączna wysokość finansowania, którego udzielą banki, to ponad 750 mln zł.

BANK PEKAO INWESTUJE W ZIELONĄ ENERGIĘ

– To kolejna w ostatnich tygodniach umowa Banku Pekao na finansowanie dużego projektu w energetyce odnawialnej i zarazem kolejny krok na drodze do wzrostu udziału zielonego finansowania w naszym portfolio kredytowym. Na pewno nie jest to nasze ostatnie słowo w tym obszarze – mówi Jerzy Kwieciński, wiceprezes Banku Pekao, nadzorujący Pion Bankowości Korporacyjnej, Rynków i Bankowości Inwestycyjnej.

Finansowanie największej farmy fotowoltaicznej w Polsce to także element realizacji strategii ESG na lata 2021–2024, którą Bank Pekao ogłosił w czerwcu ubiegłego roku. Zakłada ona, że bank zorganizuje finansowanie dla nowych projektów zrównoważonych, obejmujących projekty zielone i społeczne, w kwocie co najmniej 8 mld zł oraz wsparcie emisji obligacji ESG klientów banku w kwocie co najmniej 22 mld zł. Realizacja tego celu sprawi, że do ponad 4 proc. wzrośnie udział zielonego finansowania banku, obejmującego takie przedsięwzięcia jak m.in. instalacje fotowoltaicznie właśnie, a także farmy wiatrowe oraz niskoemisyjny transport czy budownictwo w duchu eko.

OZE W POLSCE

Zielona transformacja w Polsce trwa, choć jej tempo może zostać nieco spowolnione przez różnego rodzaju zawirowania, związane z kryzysem gospodarczym czy wojną na Ukrainie. To ostatnie tym bardziej jednak unaocznia – nie tylko nam, lecz także, a może przede wszystkim całej Europie – jak ważna jest niezależność energetyczna, a szczególnie uniezależnienie od rosyjskich surowców.

Polskie OZE to obecnie głównie słońce i wiatr. Z przewagą tego pierwszego. Na początku tego roku moc zainstalowana fotowoltaiki wyniosła prawie 8,8 GW, co stanowi niemal połowę (48 proc.) wszystkich mocy odnawialnych źródeł energii. Moc zainstalowana w przypadku instalacji wiatrowych to nieco mniej, bo 7,2 GW, czyli 40 proc. całej mocy OZE. Na dalszych miejscach pozostają woda, biomasa i biogaz.

Łączna moc zainstalowana wszystkich źródeł energii elektrycznej, zarówno konwencjonalnych, jak i OZE, wyniosła w Polsce w styczniu 57,1 GW. Z tego 18,1 GW to moc pochodząca ze źródeł zielonych. A to stanowi niemal 32 proc. w miksie energetycznym. Węgiel to wciąż niemal dwukrotnie wyższy udział, ale istotne jest, że procent OZE rośnie wyraźnie i regularnie od kilku lat.

Najwyraźniejszy postęp notujemy w ostatnich trzech–czterech latach. Szczególnie zauważalny jest gwałtowny rozwój fotowoltaiki. Wystarczy wspomnieć, że jeszcze w 2019 r. było to zaledwie 1,5 GW, wobec wspomnianego obecnego 8,8 GW.

Globalne ocieplenie i zaśmiecanie planety to wyzwania, z którymi świat musi się uporać, jeśli chcemy myśleć o jasnej przyszłości. Wojna na Ukrainie przykryła te problemy, ale przecież planeta nie przestała wystawiać nam rachunku za lata zaniedbań, za śmieci, za CO_2 w atmosferze.

OZE to nie moda i sposób na poprawę wizerunku, tylko realna konieczność. Bank Pekao S.A. doskonale to rozumie, a wyrazem tego jest m.in. finansowanie gigantycznej inwestycji na Pomorzu. O tym, jaka jest skala tego projektu, niech świadczy to, że gdyby farma rozpoczęła pracę dziś, odpowiadałaby za produkcję ok. 3 proc. energii ze słońca, a udział OZE w miksie energetycznym wzrósłby o ok. 0,3 proc.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl d61c8fc80f

Oszczędnemu zawsze wiatr w oczy

Jakub Wozinski

Skupiając się na pomocy kredytobiorcom, rząd zapomina o milionach drobnych ciułaczy, którzy wobec rozpędzającej się inflacji pozostają całkowicie bezbronni

FOT. ADOBE STOCK

Liczba czynnych umów kredytowych sięga obecnie w Polsce 2,7 mln. Nie dziwi więc to, że gdy tylko stopy procentowe wzrosły do najwyższego od 13 lat poziomu, los spłacających pożyczki stał się przedmiotem uwagi rządzących oraz politycznej licytacji ze strony innych partii.

Premier Morawiecki już pod koniec kwietnia ogłosił zamiar udzielenia pomocy polskim rodzinom m.in. poprzez wprowadzenie wakacji kredytowych, dofinansowanie spłaty kredytu czy też zmianę w systemie naliczania rat poprzez odejście od WIBOR. Zaledwie w kilka tygodni od ogłoszenia pomysłu rząd przedstawił konkretny projekt, który ma przynieść błyskawiczną pomoc pokaźnej grupie osób. Znaczną część kosztów udzielenia pomocy mają na siebie wziąć same banki, które w 2021 r. odnotowały rekordowe zyski w wysokości 8,9 mld zł.

JANOSIK Z BŁĘDNĄ PERCEPCJĄ

Obecny rząd przyzwyczaił nas już do tego, że uwielbia występować w roli niwelującego różnice w dochodach Polaków Janosika, dlatego pomoc niesiona spłacającym kredyty wydaje się idealnie dopasowywać do jego dotychczasowej polityki: pokrzywdzeni przez pazerne banki i wywołaną rzekomo przez Władimira Putina wysoką inflację kredytobiorcy otrzymają wsparcie, które sprawi, że spłacanie rat nie stanie się ciężarem nie od udźwignięcia. Dodatkowo rząd przedstawił swój pakiet jako pomoc niesioną 2 mln polskich rodzin, odcinając się tym samym od liberalnej „szkoły Tuska i Balcerowicza". W rzeczywistości specjalna pomoc udzielona zadłużonym przy obecnej stopie inflacji i wysokości stóp procentowych tak naprawdę będzie oznaczała uderzenie we wszystkich tych, którzy umów kredytowych nie zawierali. Ciężar pomocy będą dźwigały realnie nie banki, ale miliony zwykłych Polaków.

Postawiona tu teza może się pozornie wydawać kontrowersyjna, ponieważ w znacznej części polskich gospodarstw ostatnie miesiące stanowią swego rodzaju terapię szokową. Szacuje się, że nawet do 40 proc. osób spłacających kredyty mieszkaniowe musi przy wynoszącej obecnie 12,3-procentowej inflacji przeznaczać na ten cel nawet połowę swojej pensji. Gdyby państwo nie przyszło im z pomocą, mielibyśmy do czynienia z poważnym ograniczeniem popytu konsumpcyjnego, a tym samym z poważnymi problemami w całej gospodarce.

ANONIMOWA KRZYWDA

Sęk w tym, że aby poznać prawdziwy kontekst całej sytuacji, trzeba sięgnąć do wydarzeń, które nie tylko się działy w ostatnich tygodniach czy miesiącach, lecz także miały miejsce znacznie wcześniej.

Nasze czasy pod wieloma względami stanowią niestety jedną wielką finansową aberrację, o czym świadczy to, że już od wielu lat mamy w Polsce i na świecie do czynienia z realnie ujemnymi stopami procentowymi (czyli stopami oprocentowania pomniejszonymi o inflację). Jeszcze chyba nigdy w historii ludzkości nie funkcjonował system finansowy, który

eprasa.pl d61c8fc80f

tak skutecznie i konsekwentnie zniechęcałby do klasycznego oszczędzania. Wiedzą o tym potężne finansowe instytucje, które szczególnie po ostatnim kryzysie finansowym z lat 2008–2009, pragnąc „pobić inflację", rzuciły się ze zdwojoną siłą na rynek akcji, gdyż na ogół tylko tam mogły uzyskać stopę zwrotu wyższą niż realna inflacja.

Zwykli polscy zjadacze chleba, którzy nie inwestują na giełdzie ani nie mają wystarczających środków na to, aby ulokować oszczędności np. w nieruchomościach, pozostają niestety od lat bezradni. Ich krzywda nie materializuje się nigdy w postaci rosnących skokowo rat kredytów i jest zdecydowanie bardziej anonimowa. Krzywdy tej nie da się łatwo policzyć, bo nie przyjmuje kształtu wielomiliardowych aktywów sektora bankowego, a mimo to jest ona jak najbardziej realna.

W obecnym reżimie finansowym, którego wszelkie patologie jeszcze bardziej uwyraźnia środowisko realnych ujemnych stóp procentowych, na zaciąganiu każdego kredytu korzystają nie tylko bank, lecz także kredytobiorca. Stratę ponoszą zaś de facto wszyscy pozostali użytkownicy pieniądza, gdyż kreowane w ten sposób nowe środki zwiększają pulę pieniądza znajdującego się w obiegu.

Obecny system najbardziej premiuje udzielanie i konsumowanie kredytów, uderzając jednocześnie w oszczędzanie. Praktyczny wniosek z tego płynący jest taki, że z czysto finansowego punktu widzenia, o ile nie jesteśmy właścicielami banku lub funduszu inwestycyjnego, o tyle najbardziej opłacalne jest dla nas, niestety, zaciąganie kolejnych kredytów. O ile oczywiście w oczach banków osiągamy wystarczająco wysokie dochody.

Zrozumienia tego podstawowego faktu, że kredytobiorcy są w rzeczywistości grupą uprzywilejowaną w społeczeństwie, brakuje niestety rządowi w obecnej sytuacji. Nawet uwzględniając to, że zasady udzielania kredytów przez polskie banki pozostawiają wiele do życzenia, a wysokość rat pochłania nad Wisłą proporcjonalnie większą część zarobków niż w krajach zachodnich, osób spłacających kredyt w obecnym systemie finansowym nie sposób określić mianem grupy zmagającej się ze szczególnymi trudnościami na tle całego społeczeństwa. Rzecz jasna, nadchodzące czasy będą oznaczały dla ogromnej części kredytobiorców znaczne wyzwanie, lecz równie wielkie, jeśli nie większe wyzwania stoją obecnie przed wszystkimi, którzy zdolności kredytowej nie mieli lub którzy zwyczajnie stronią od zaciągania tego rodzaju zobowiązań.

INFLACJA SZYBSZA NIŻ PŁACE

Przy stale rozpędzającej się inflacji najbardziej poszkodowane będą miliony tych Polaków, którzy unikali nadmiernego ryzyka lub nie mieli wystarczająco wysokich dochodów, aby ubiegać się o kredyt. Strategia obecnego rządu zakładała tradycyjnie, że rosnące dynamicznie wynagrodzenia pozwolą zniwelować negatywne skutki postępującego drenażu portfeli. Powtarzana od wielu miesięcy mantra o płacach rosnących szybciej niż inflacja jest niestety na naszych oczach brutalnie weryfikowana przez szokujący dla wszystkich wzrost cen.

Zgodnie z rządowym projektem pomocy dla kredytobiorców znaczną część ciężaru jej niesienia ma wziąć na siebie sektor bankowy (nawet ok. 6 mld zł). Aby sobie to zrekompensować, banki podniosą zapewne ceny usług, co odbije się na portfelach wszystkich Polaków. Rządowa pomoc wiąże się także z kosztami ponoszonymi przez podatników (nawet kilka miliardów złotych), dlatego w efekcie ciężar niesienia pomocy przerzucony zostanie w znacznym zakresie na osoby, które stroniły od zaciągania finansowych zobowiązań na dużą skalę. Nie dość więc, że starający się oszczędzać w tradycyjny sposób stracą potężnie na rozpędzającej się inflacji, to na dodatek przyjdzie im jeszcze składać się na niesienie pomocy tym, którzy wybrali bardziej ryzykowne rozwiązania.

Jeśli rządowi Zjednoczonej Prawicy rzeczywiście zależy na losie zwykłych ludzi, to powinien przemyśleć swoją rozdawniczą politykę, gdyż jej praktykowanie obraca się głównie przeciwko nim

Bez cienia wątpliwości znaczna część osób decydujących się na kredyt hipoteczny nie czyni tego z wielkim entuzjazmem, lecz traktuje jako jedyny możliwy sposób na zapewnienie swojej rodzinie odpowiedniego lokum. Zdecydowanie rzadziej wspomina się natomiast o tym, że bardzo wiele osób skorzystało z opcji kredytu głównie dlatego, że panująca przez ostatnie lata hossa na rynku zachęcała do nadmiernie optymistycznej oceny własnych możliwości finansowych. Tworząc rozwiązania prawne, nie sposób jednak uwzględnić, jaki dokładnie był kontekst zaciągania kredytu, i właśnie dlatego z rządową pomocą dla kredytobiorców wiąże się tak wiele kontrowersji.

CZAS NA PRZEMYŚLENIA

Obecna sytuacja powinna przede wszystkim skłonić rządzących do tego, aby zamiast wykonywać gesty zjednujące im wybraną grupę beneficjentów, podjęli wreszcie systematyczną refleksję nad tym, jak realnie ocalić oszczędności szerokiego grona Polaków. Sam premier Morawiecki przyznał wszak, że idzie „duża gospodarcza zawierucha", która będzie wiązała się głównie z postępującym spadkiem realnej siły nabywczej pieniądza. Oszczędność nie jest żadnym przeżytkiem, lecz podstawowym sposobem myślenia o przyszłości, choć w obecnej sytuacji Polacy mają niestety realnie niewielkie możliwości, aby ją praktykować. Rząd zapowiedział wprawdzie, że podejmie wkrótce działania na rzecz zmuszenia banków, aby podniosły wreszcie oprocentowanie lokat, ale nie podał jeszcze żadnych szczegółów. Gdyby jednak nawet lokaty znów stały się atrakcyjne dla zwykłych ciułaczy, nie wolno zapominać, że od niemal 20 lat i tak obowiązuje wciąż „podatek Belki".

Jeżeli rządowi Zjednoczonej Prawicy rzeczywiście zależy na losie zwykłych ludzi, to powinien nade wszystko gruntownie przemyśleć swoją rozdawniczą politykę, gdyż jej wieloletnie praktykowanie właśnie obraca się głównie przeciwko nim. Choć prawdą jest, że znaczna część galopującej coraz szybciej inflacji jest „importowana" z zagranicy, to w dużej mierze wynika ona jednak z beztroskiego wydatkowania pieniędzy. Jeśli nawet część osób zdołała odłożyć nieco pieniędzy, którymi obsypał je w ostatnich latach rząd, to i tak w znacznym stopniu pochłonie je inflacja. Żyjący w III RP mieli do tej pory rzadką w najnowszych dziejach naszego kraju okazję do tego, aby wreszcie systematycznie gromadzić realne oszczędności – niestety, ostatnie miesiące pokazują, że ich wieloletni wysiłek może znowu pójść na marne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d61c8fc80f

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polska pędzi na ścianę

Jak się wydaje, liderzy Platformy właśnie doszli do wniosku, że nigdy nie wygrają z PiS, którego liderzy głoszą, iż „wystarczy nie kraść, a pieniądze na wszystko się znajdą" – jeśli nie zerwą z dotyczącym finansów publicznych konsensusem pierwszego ćwierćwiecza III RP. Konsensusem malowniczo spuentowanym ongiś przez ministra finansów Jacka Rostowskiego tymi oto słowy: „Pieniędzy nie ma i nie będzie", który sprowadzał się do tego, by nie wydawać dużo więcej, niż się ma, czyli jeśli się zadłużać, to niewiele.

Albowiem obywatele – jak widać po wynikach kolejnych aktów wyborczych i sondaży – tego właśnie chcą: żeby pieniądze zawsze i na wszystko „się znajdowały". No i na razie „się znajdują". „Znajdują się pieniądze" na „500+" dla wszystkich dzieci, „znajdują się pieniądze" na 13. i 14. emerytury, „znajdują się pieniądze" na wyprawki szkolne, „znalazły się pieniądze" na największe w relacji do PKB w UE „tarcze antycovidowe", „znajdują się pieniądze" na wielkie „tarcze antyinflacyjne", „znajdują się pieniądze" na niemającą precedensu pomoc dla ukraińskich uchodźców, a teraz „mają się znaleźć pieniądze" także dla obciążonych ponad miarę kredytobiorców.

A że przy okazji ogromnie rośnie zadłużenie polskich finansów publicznych, w dwa lata – z 1 bln zł już prawie do 1,5 bln zł? A że niesłychanie wzrosła inflacja, bo jakżeby mogła nie wzrosnąć, przy takiej ilości pieniędzy rozrzucanych z helikoptera przez rząd? A że z obu powyższych powodów niesłychanie już wzrósł i dalej rośnie koszt obsługi długu, i tylko z tego powodu każdy obywatel Polski – bez względu na wiek – musi płacić prawie o tysiąc złotych rocznie wyższe podatki? Cóż, akurat o tym rzadko głośno ktokolwiek mówi, rzadko ktokolwiek sprawy te – rozrzutności rządu i rosnących długu Polski i inflacji – ze sobą wiąże. Bo i po co, skoro akurat o tym niemal żaden Polak słuchać nie chce?

Tak więc liderzy Platformy najwyraźniej doszli do wniosku, że z PiS nie uda im się wygrać, jeśli nie użyją tej samej broni; że także w ich narracji „piniądze muszą się znaleźć" – zawsze i na wszystko. I dlatego postanowili przyłączyć się do wyścigu w topieniu Polski w oceanie długu; ba, chcą PiS przelicytować, ogłaszając konieczność wprowadzenia sięgających aż 20 proc. podwyżek dla całej polskiej budżetówki – dla urzędników, nauczycieli, pielęgniarek itd., czyli pracowników 70 grup zawodowych, a także zamrożenia rat kredytów hipotecznych na dwa lata i wypuszczenia „obligacji antydrożyźnianych", oprocentowanych na poziomie inflacji.

Jak długo wytrzymają polskie finanse publiczne, czyli jak długo wytrzyma Polska – wzięta w dwa ognie przez dwa kluczowe ugrupowania polityczne – zanim po raz kolejny w swej historii zbankrutuje? Bo że pędzimy na ścianę, nie ulega już wątpliwości. Dziesięć lat? Pięć lat? A może tylko dwa lata? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Miliardy z Berlina i Moskwy

Czy państwo wiedzą, skąd weźmiemy grube miliardy na pokrycie m.in. kosztu pobytu uchodźców z Ukrainy w Polsce? No jak to? Z reparacji, które płacą nam Niemcy! Kilkaset miliardów złotych to nie w kij dmuchał!

A nie, momencik… Niemcy nam nic nie płacą? No ale jak to? Przecież pan poseł Arkadiusz Mularczyk tyle razy mówił, że zapłacą. I pan prezes Kaczyński takoż. Nie chcą zapłacić? Ojej.

Po co mamić ludzi nadziejami na setki miliardów z Berlina albo z Moskwy? Opłaca się grać takimi tematami?

No, skoro Niemcy nie chcą, to może zapłacą Rosjanie. Na razie nie za zniszczenia kraju i ukradzione obiekty (było tego trochę, Rosjanie lubią sobie ukraść – a to pralkę, a to wiertarkę, a kiedyś tory kolejowe czy nawet cały zakład przemysłowy), ale za zbrodnię katyńską. Powiedział to przecież wyraźnie pan prezydent: że polskich oficerów mordowali konkretni ludzie, ale przecież w imieniu rosyjskiego państwa, więc od tego państwa można dochodzić odszkodowań.

Rozważam, co jest bardziej absurdalne: wałkowany przez PiS od lat miraż reparacji od Niemiec czy wprowadzony właśnie na agendę miraż odszkodowań za Katyń. I nie wiem. Jedno i drugie jest tak samo możliwe do uzyskania jak pokłady złota z Plutona (już nieuznawanego niestety za planetę). O tym, dlaczego mówienie, że możemy zdobyć reparacje od Niemiec, jest bajeczką dla naiwnych, pisałem kilka razy w „Do Rzeczy". W największym skrócie: nie ma żadnego międzynarodowego sądu, do którego moglibyśmy się w tej sprawie zwrócić.

To samo dotyczy odszkodowań za Katyń. Tu jednak pojawiają się nowe pytania. Na przykład: Cóż się takiego wydarzyło z prawnego punktu widzenia, że pan prezydent postanowił o sprawie powiedzieć nagle w 2022 r., skoro urząd sprawuje od 2015 r.? Przecież nic. No, może tyle, że w obecnych warunkach politycznych wyegzekwowanie od Rosjan choćby kopiejki jest jeszcze mniej prawdopodobne niż rok temu.

Po co w takim razie mamić ludzi nadziejami na setki miliardów z Berlina albo z Moskwy? Naprawdę opłaca się grać tematami bolesnymi i poważnymi dla chwilowego politycznego podbicia? ©℗

eprasa.pl d61c8fc80f

Poznań

Grupa Inwest®

HORYZONT
NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl

WILDA CORNER

PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl

NOVA ŁACINA
NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl

www.**grupainwest.pl** +48 **882 818 848**

eprasa.pl d61c8fc80f

Wanda, czyli żywioł

Wanda Rutkiewicz, jedna z najwybitniejszych himalaistek świata w obozie podczas kierowanej przez nią polskiej wyprawy na K2 w 1982 r.
FOT. ARCHIWUM JERZEGO KUKUCZKI/PAP

Radosław Wojtas

Kiedy stawiała pierwsze kroki w Tatrach, jej zafascynowana kulturą Wschodu mama przestrzegała, by nigdy nie wchodziła na Kanczendzongę, bo to tron bogów. Wtedy dla Wandy i jej znajomych myśl o wyjeździe w Himalaje była równie abstrakcyjna, co samo takie ostrzeżenie. Już jako uznana himalaistka, pierwsza w historii kobieta na K2, Wanda Rutkiewicz próbowała zdobyć tę górę. I nigdy z niej nie wróciła

Kazali jej siąść na pniu i czekać, a sami poszli się wspinać po drugiej stronie skały. Dwóch studentów i studentka łączności z Wrocławia. Dość doświadczeni już we wspinaczce chłopcy zaprosili 18-latkę na wyprawę w Góry Sokole (pasmo Rudaw Janowickich, kilkanaście kilometrów od Jeleniej Góry) w ramach rewanżu za pożyczenie notatek z matematyki.

Wspinali się w miejscu, gdzie szeroki komin się zwężał, przechodząc w wąską szczelinę. Prowadził Bogdan Janowski. „Nagle usłyszałem sapanie – tak opisuje to wspomnienie Janowskiego Anna Kamińska w książce »Wanda. Opowieść o sile życia i śmierci«. – Mówię do Johna [Wachowicza, drugiego ze studentów – przyp. R.W.]: »Słuchaj, słyszę, że chyba Wanda się wspina«. John: »Czyś ty zgłupiał?! Jest pierwszy raz w skałkach i by się wspinała?«. Skończyliśmy drogę, zaglądamy do komina i widzimy, że Wanda ze śmiercią w oczach kończy wspinanie tym kominem i jest dwadzieścia metrów nad ziemią, bez liny. […] Wanda strasznie wtedy walczyła, rzuciłem jej linę z pętlą, żeby mogła się jej chwycić, ale ona odrzuciła ją z obrzydzeniem i wyszła o własnych siłach".

Dwadzieścia lat później Wanda powie o tym dniu: „Pierwszy dzień w skałkach przyniósł mi doznania, które osłabiły wszystkie dotychczasowe fascynacje". A w podarowanej Bogdanowi Janowskiemu książce swojego autorstwa uznana już wówczas himalaistka wpisze dedykację: „Bogdanie, przez Ciebie to wszystko".

CÓRKA SWOJEGO OJCA

Taka właśnie była Wanda. Szalenie ambitna, nieustępliwa, odważna, twarda, stawiająca sobie najwyższe cele i z uporem, czasem bezwzględnie, dążąca do ich realizacji. Silna, wytrzymała, odporna na ból. „Jestem wychowana na kozim mleku i być może dlatego jestem zdrowsza niż inni ludzie" – kokietowała w jednym z wywiadów. Przy czym to kozie mleko to nie wspomnienie – jak mogłoby się wydawać – sielankowego dzieciństwa pod miastem. Kozę, której mleko pijała Wanda, jej rodzice trzymali w piwnicy wrocławskiej kamienicy, w której sami mieszkali, a mała Wandzia wypasła ją w pobliskim parku. Do Wrocławia, przez Łańcut, rodzina Wandy trafiła po drugiej wojnie światowej z Litwy w ramach przesiedleń. Koza w piwnicy nie była niczym niezwykłym. Nowi mieszkańcy Wrocławia, z których znaczna część pochodziła ze wsi, trzymali w kuchniach, łazienkach czy właśnie piwnicach – króliki, kury, gęsi, a nawet kozy, krowy czy świnie.

Miasto ruin, walących się domów i wybuchających min, nostalgii, zamieszkane przez ludzi marzących o powrocie „do siebie" – np. na Litwę – i z tego powodu niepalących się do odbudowy zamieszkałych kamienic. W takiej atmosferze, spotęgowanej jeszcze przez trudną relację rodzinną, dorasta Wanda, nic więc dziwnego, że wszystko, co najlepsze w jej dzieciństwie, wydarza się poza domem. Na przykład na wycieczkach z ojcem za miasto i w góry. Dla małej Wandy pobliska Ślęża (718 m) jest wtedy jak Himalaje.

Ojciec Wandy, Zbigniew Błaszkiewicz, to człowiek twardo stąpający po ziemi. Poukładany inżynier, pracowity, ambitny i wymagający. Także od siebie. Dbający o swoje pasje. Jeśli charakter ma się po którymś z rodziców, to Wandzie bliżej do ojca niż do oderwanej nieco od przyziemnych spraw matki Marii (Mary), którą bardziej ciągnie do lektur o wierzeniach Dalekiego Wschodu czy znaczeniu egipskich hieroglifów niż do prozy życia.

Wanda od zawsze pragnie imponować ojcu, ale chyba zwłaszcza od Wielkanocy

eprasa.pl d61c8fc80f

1948 r. Ciepły lany poniedziałek pięcioletnia Wanda spędza w towarzystwie swojego siedmioletniego braciszka i jego dwóch kolegów. Kiedy w pobliżu starorzecza Odry dzieci odkrywają znalezisko, które zdaniem chłopców nie jest odpowiednie dla dziewczynek, odsyłają Wandzię do domu. Ta ze łzami w oczach wraca, a chłopcy na swoim znalezisku – pocisku artyleryjskim z czasów drugiej wojny – postanawiają rozpalić ognisko. Wybuch rozrywa malców na strzępy, szczątki ciał przyjdzie rodzicom zbierać z pobliskich drzew.

Anna Kamińska w biografii Wandy Rutkowskiej stawia tezę, że Wandzie przez całe życie doskwierał syndrom „córki ojca", kobiety, która za wszelką cenę stara się dorównać męskim wzorcom. Sama Wanda przyznawała, że ojciec był motorem napędowym wielu jej działań. W młodości sprawdza się na wszystkich polach – dobrze się uczy, jest świetna w sporcie. Działa w harcerstwie. Jest ciągle w ruchu. Jeden z jej szkolnych kolegów charakteryzuje ją prosto: „Wanda to był żywioł".

Żywioł, który zrodził się w ogniu trudności. Śmierć brata i chęć zaimponowania ojcu to nie wszystkie problemy w domu inżyniera Błaszkiewicza. W małżeństwie się nie układa, Zbigniew i Mary żyją pod jednym dachem, ale osobno. Dziwny to dom, w którym jest niezła pensja inżyniera, a z drugiej strony – lodówka na kłódkę i ubóstwo części rodziny. Rozwód jest nieunikniony. W jednym z wywiadów Wanda powie, że jej dzieciństwo było za krótkie i być może to jest powód tego, że nie wybrała „poważnego" życia jak większość.

Relacje z ludźmi Wanda ma skomplikowane. Z jednej strony potrafi być czarująca, zjednywać sobie przychylność, a z drugiej – bywa nieprzyjemna, egoistyczna i instrumentalnie traktuje innych. Jako kierownik wypraw wysokogórskich rządzi twardą ręką, staje w opozycji do całego zespołu. Jej pierwsze małżeństwo rozpadło się szybko. Drugie było fikcją – Wanda wychodzi za mąż za zakochanego w niej austriackiego chirurga Helmuta Scharfettera, kiedy w Polsce nastaje stan wojenny, a ona potrzebuje operacji i planuje kobiecą wyprawę na K2. Trwające dwa lata „małżeństwo" pozwala jej zrealizować wszystkie plany. Inny z mężczyzn jej życia („Gotowa byłam wyjść za mąż z nadzieją, że to będzie do końca życia" – mówiła), Kurt Lyncke-Krüger, został w górach na zawsze.

WRZENIE NA SZCZYCIE

„Najbardziej drażni ludzi to, że ryzykujemy życie dla czegoś, co wydaje się kompletnie bezużyteczne, nikomu niepotrzebne. Ale może to jest potrzebne tym, którzy to robią! Może oni po prostu potrzebują tego, żeby żyć" – stwierdziła kiedyś Wanda. W latach 60. jeździ w Alpy, staje na szczycie Mont Blanc. Chce więcej. Pierwszy siedmiotysięcznik zdobywa mało uroczyście. To Pik Lenina (7134 m) w Pamirze. Jest rok 1970, Wanda ma wtedy 27 lat. Sto metrów przed szczytem czuje objawy głodu tlenowego, ale prze do przodu. Ostatkiem sił dociera na szczyt i wymiotuje.

Z czasem coraz częściej myśli o wyprawach kobiecych. W roku 1975 organizuje kobiecą wyprawę – i staje na jej czele – w Karakorum. W Polskim Związku Alpinizmu zapada decyzja, że z kobietami, których celem podczas wyprawy ma być zdobycie dziewiczego szczytu Gaszerbrum III (7952 m), pojadą też mężczyźni. Oficjalnie – by kobiety nie jechały same do kraju muzułmańskiego, nieoficjalnie, bo mężczyźni nie uzyskali pozwolenia na zdobycie Gaszerbrum II (8035 m). Wyprawa kończy się sukcesem, bo większość uczestników zdobyła wyznaczone szczyty, w tym Gaszerbrum III, ale także – konfliktami i skandalem, bo Wanda zdecydowała, że Gaszerbrum III zdobywać będą nie same kobiety, lecz zespół mieszany (ekipa kobieca zdobyła wtedy Gaszerbrum II). Dzięki temu Wanda osiąga swój cel i zdobywa dziewiczy szczyt, ale zespół czuje się oszukany.

O dokonaniach wyprawy – mimo kontrowersji bez wątpienia imponujących – kierowanej przez Rutkiewicz rozpisuje się polska i światowa prasa (powstał też film dokumentalny pt. „Temperatura wrzenia"), ale prawdziwą sławę przynosi Wandzie najwyższa z gór. Kiedy 16 października 1978 r. staje na szczycie Mount Everestu, jest pierwszym Polakiem i trzecią kobietą na Dachu Świata (Jan Paweł II, nawiązując do zbieżności dat w ich życiorysach, powiedział jej: „Dobry Bóg tak chciał, że tego samego dnia weszliśmy tak wysoko").

Zdobycie może i najwyższej, ale przecież nie aż tak wymagającej góry wciąż pozwalało niektórym wątpić w pozycję Rutkiewicz jako jednej z najwybitniejszych światowych himalaistek. Kolejne dokonania Polki wpisały ją na stałe do tego grona. Jako pierwsza kobieta i pierwszy Polak 23 czerwca 1986 r. weszła na K2. Zdobyła osiem z 14 ośmiotysięczników: Mount Everest, Nanga Parbat, K2, Sziszapangmę, Gaszerbrum II, Gaszerbrum I, Czo Oju i Annapurnę.

KARAWANA DO ŚMIERCI

„Zginę w górach" – mawiała dość otwarcie. „Zginie w górach" – mówiła po cichu duża część polskiego środowiska himalaistów. Zwłaszcza pod koniec kariery, gdy Wanda z wiekiem traciła formę. Wciąż była silna i wytrzymała, ale już nie tak szybka, a szybkość w strefie śmierci to rzecz niebywale istotna. Gdy już jako prawie 50-latka ogłasza swój program „Karawana do marzeń", w zasadzie przypieczętowuje swój los. Założyła sobie, że w rok zdobędzie osiem z 14 brakujących jej do Korony Himalajów i Karakorum szczytów.

Spektakularny program od początku się komplikuje. Wanda zdobywa Czo Oju i Annapurnę, choć to ostatnie wejście było kwestionowane (ostatecznie dowody przesądziły na korzyść Rutkiewicz). Ze swojej ostatniej góry, Kanczendzongi, nigdy nie wróciła. Próbowała zdobyć szczyt mimo odwodnienia, biegunki, braku wody, niesprawnego palnika gazowego. Ostatni widział ją żywą meksykański himalaista Carlos Carsolio. Spotkał ją siedzącą w jamie śnieżnej. Wanda odmawia zejścia, mówi, że odpocznie i pójdzie na szczyt.

Formalnie za datę jej śmierci sąd przyjął 13 maja 1992 r., godz. 24. Maria Błaszkiewicz przeżyła 103 lata i przez wiele lat utrzymywała, że jej córka żyje. Czy wierzyła w to do końca? Możliwe, choć nie jest to pewne, bo pod koniec życia nie mówiła o tragediach, które ją dotknęły (oprócz śmierci syna w dzieciństwie także brutalne morderstwo na ojcu Wandy oraz śmierć córki w Himalajach).

Zapewne uwierzyłaby w historię opowiedzianą na początku lat dwutysięcznych przez turystów, którzy po powrocie z Himalajów odwiedzili Izbę Pamięci Jerzego Kukuczki. Powiedzieli Celinie Kukuczce, że w jednym z tybetańskich klasztorów widzieli klęczącą postać przypominającą Wandę Rutkiewicz. Poznali ją po sylwetce, twarzy nie dostrzegli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem m.in. z książki Anny Kamińskiej „Wanda. Opowieść o sile życia i śmierci", Wydawnictwo Literackie 2017.

eprasa.pl d61c8fc80f

Nokaut w porównaniu z „chemią”

Katarzyna Pinkosz

Pacjenci i eksperci cieszą się, że na majowej liście refundacyjnej znalazły się nowe terapie dla chorych na najczęstszego chłoniaka u dorosłych. To szansa dla tych, u których doszło do wznowy choroby

Chłoniaki to nowotwory wywodzące się z tkanki chłonnej. Pod względem częstości zachorowań na nowotwory zajmują piąte miejsce u kobiet, a szóste u mężczyzn. – Chłoniaki można generalnie podzielić na takie, które mają przebieg agresywny lub powolny. Te pierwsze cechuje szybki postęp choroby. Właśnie takim nowotworem jest chłoniak rozlany z dużych komórek B (DLBCL), najczęstszy chłoniak występujący u dorosłych. Jeśli pacjenta nie będziemy leczyć, to czas jego przeżycia można liczyć w miesiącach, czasami nawet w tygodniach. Dobrą wiadomością jest jednak to, że leczymy chorych z intencją wyleczenia – mówi prof. Iwona Hus, kierująca Oddziałem Chorób Układu Chłonnego w Instytucie Hematologii i Transfuzjologii w Warszawie, przewodnicząca Polskiego Towarzystwa Hematologów i Transfuzjologów.

Na chłoniaka z dużych komórek B najczęściej chorują osoby po 60. roku życia, choć zachorowania zdarzają się też u młodszych. Początkowo leczenie polega na zastosowaniu immunochemioterapii, czyli przeciwciała monoklonalnego (rytuksymabu), wraz z chemioterapią. – 60 proc. chorych jesteśmy w stanie w ten sposób wyleczyć. Problem jest z pozostałymi 40 proc. pacjentów, u których choroba jest albo oporna, albo powraca. Niestety, w takim przypadku staje się znacznie trudniejsza do opanowania – mówi prof. Hus. Młodszym pacjentom, w dobrym stanie ogólnym, można w takiej sytuacji zaproponować wysokodawkowaną chemioterapię i przeszczepienie szpiku. – Niestety, skuteczność wysokodawkowej chemioterapii, wspomaganej przeszczepieniem komórek macierzystych, jest dziś o wiele mniej skuteczna niż 10–20 lat temu, kiedy potrafiliśmy w ten sposób uratować połowę chorych. Obecnie możemy pomóc nie więcej niż 20 proc. chorych – zaznacza prof. Wojciech Jurczak, kierujący Pododdziałem Leczenia Nowotworów Układu Chłonnego w Klinice Onkologii Klinicznej Narodowego Instytutu Onkologii w Krakowie. Dlatego zarówno eksperci, jak i środowiska pacjentów od

eprasa.pl d61c8fc80f

FOT. ADOBE STOCK

dawna postulowali o możliwość zastosowania nowych terapii, już zarejestrowanych w Europie. Od maja dwie znalazły się w programie lekowym i mają być dostępne dla pacjentów.

SZANSA NA PRZEŁOM

Pierwsza z nowych terapii na majowej liście refundacyjnej dla chorych na DLBCL to polatuzumab wedotyny. – To celowana chemioterapia, czyli cytostatyk sprzężony z przeciwciałem monoklonalnym – tłumaczy prof. Jurczak. – To lek nowej generacji: przeciwciało monoklonalne ma doprowadzić cytostatyk do komórki nowotworowej, gdzie zostaje on wchłonięty, a następnie niszczy komórki chłoniaka – dodaje prof. Hus.

Dzięki temu, że chemioterapia zaczyna działać dopiero w komórce nowotworowej, nie powoduje poważnych działań niepożądanych. – To bardzo ważne, ponieważ dzięki temu możemy podać większą dawkę leku, co byłoby zbyt toksyczne dla organizmu, gdyby podawać ją doustnie lub dożylnie – zaznacza prof. Jurczak. Takie leczenie okazuje się bardzo efektywne.

– Rejestracja leków w onkologii często jest możliwa, jeśli przedłużają życie o kilka miesięcy. W przypadku polatuzumabu wedotyny to nie jest kilka miesięcy, to jest wręcz nokaut w porównaniu z klasyczną chemioterapią: mamy ponaddwukrotne wydłużenie przeżycia wolnego od choroby. Atutem jest też to, że lek możemy podać zarówno pacjentom, którzy nie mogą być poddani przeszczepieniu szpiku, jak i tym, u których przeszczepienie się nie powiodło – tłumaczy prof. Jurczak.

Polatuzumab wedotyny działa podobnie jak inny lek, z powodzeniem już stosowany od kilku lat w chłoniaku Hodgkina. – Obydwa zawierają ten sam cytostatyk (aurystynę), różnią się tylko przeciwciałem. W przypadku brentuksymabu wedotyny przeciwciało jest skierowane przeciw antygenowi CD30, obecnemu na powierzchni komórek chłoniaka Hodgkina; w przypadku polatuzumabu: przeciw antygenowi CD79, obecnemu na powierzchni komórek chłoniaka rozlanego z dużych komórek B. To jest kontynuacja rewolucji w onkologii, gdzie klasyczna chemioterapia jest zastępowana przez celowaną – dodaje prof. Jurczak.

OŚRODKI CZEKAJĄ NA FINANSOWANIE

Od maja dla chorych na DLBCL, u których doszło do nawrotu, będzie również refundowana bardzo nowoczesna terapia komórkami CAR-T. – To bardzo dobra wiadomość, choć problem polega na tym, że zarówno polatuzumb wedotyny, jak i terapia CAR-T zostały zapisane do refundacji w sposób zgodny z Charakterystyką Produktu Leczniczego (ChPL), bez żadnych ograniczeń, co oznacza, że powinni móc je otrzymać wszyscy pacjenci, którzy mają wskazania do leczenia – mówi prof. Jurczak. To nowość w programach lekowych, w których zwykle jest wiele ograniczeń zawężających grupy leczonych pacjentów.

Objawy DLBCL

DLBCL to chłoniak o agresywnym przebiegu, ważne jest jak najszybsze podjęcie leczenia. Niepokojące objawy to: powiększenie węzłów chłonnych, powiększenie wątroby, śledziony, a także objawy ogólne (gorączka, poty nocne, chudnięcie, zmęczenie, częste infekcje). Objawy często zależą od lokalizacji chłoniaka.

Profesor Jurczak zwraca jednak uwagę na to, że na razie w Polsce są jedynie trzy ośrodki będące w stanie wykonać procedurę CAR-T (od chorego pobiera się jego limfocyty T, następnie są one modyfikowane genetycznie i podawane z powrotem choremu). – Trudno mi wyobrazić sobie sytuację, żeby była możliwość leczenia w ten sposób więcej niż 40–50 pacjentów rocznie. W przypadku polatuzumabu wedotyny nie ma takiego problemu, możemy leczyć wszystkich, a szacujemy, że będzie to ok. 500 chorych rocznie. Wyzwaniem jest jednak finansowanie programu – mówi prof. Jurczak. Okazuje się, że obydwie nowe metody leczenia zostały dopisane do już istniejącego programu DLBCL. Otwarte pozostaje pytanie, czy znajdą się dodatkowe środki na leczenie.

– Cieszę się, że nowe leki znalazły się w programie, jednak to, czy będziemy mogli w ten sposób leczyć dużą liczbę pacjentów, zależy od podejścia NFZ do przekazywania środków na program terapeutyczny. Mamy nadzieję, że ten nowy sposób refundacji leków, bez ograniczeń grup pacjentów, będzie również dotyczył finansowania, a NFZ nadąży za intencją ustawodawcy i renegocjuje kontrakty na program lekowy dla ośrodków prowadzących terapię. Inaczej to szpitale musiałyby kredytować leczenie, czekając na zwrot pieniędzy, a lekarze w praktyce musieliby „wybierać" pacjentów, którym leki zostaną podane. Mamy nadzieję, że tak się nie stanie – dodaje prof. Jurczak.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Katarzyna Lisowska, Hematoonkologiczni:

Bardzo się cieszymy z refundacji polatuzumabu wedotyny dla pacjentów; to kolejna „biała plama" w hematoonkologii, która zostaje zapełniona. To lek przedłużający życie chorych. Mamy nadzieję, że szpitale szybko zorganizują przetargi, a pacjenci szybko dostaną lek i będzie on dostępny dla wszystkich chorych, którzy tego potrzebują. W tej chorobie bardzo liczy się czas, z leczeniem nie można czekać, pacjent potrzebuje natychmiast leczenia, gdyż jest to choroba o bardzo agresywnym przebiegu. Są szpitale, które mają już wytypowanych pacjentów do takiego leczenia, ważne, żeby jak najszybciej je dostali.

eprasa.pl d61c8fc80f

NASZ TEST: PROJEKT EPSON EH-LS300W

Wysoka jasność, świetne odwzorowanie barw i wysoki kontrast, dobry dźwięk, porządna jakość wykonania, wbudowane funkcje Smart TV i banalnie prosta obsługa – to największe zalety projektora laserowego ultrakrótkiego rzutu firmy Epson.

Wiele osób nie chce wieszać na ścianie wielkiego telewizora i zamiast tego szuka projektora, który będzie nadawał się nie tylko do weekendowego oglądania filmów, lecz także będzie w stanie zastąpić tradycyjny odbiornik typu Smart TV. Najlepsze urządzenia z jakością 4K kosztują ponad 20 tys. zł, ale niezły projektor z rozdzielczością Full HD można kupić już za mniej niż 10 tys. zł.

Testowany model Epsona mieści się w tej półce cenowej, a dodatkowo nie potrzebuje zbyt wiele miejsca. Ważący 7,2 kg projektor ultrakrótkiego rzutu można bowiem postawić niemal bezpośrednio przy ścianie, na której chce się wyświetlać filmy. Zalet takiego rozwiązania jest wiele. Urządzenie można umieścić po prostu na szafce telewizyjnej i wystarczy odsunąć je o 50 cm od ściany, aby móc wyświetlać obraz o wielkości 120 cali. Poza tym jest ono błyskawicznie gotowe do projekcji obrazu, a do tego osoby przechodzące po salonie nawet na chwilę nie zasłaniają strumienia świetlnego. Teoretycznie do uzyskania wysokiej jakości obrazu wystarczy po prostu dobra, czyli prosta ściana, ale w praktyce w wielu domach konieczne będzie jednak zastosowanie ekranu do projektorów.

Model EH-LS300W wygląda nieźle, jest też porządnie wykonany i prosty w obsłudze. Na pochwałę zasługuje jasny obraz na poziomie 3600 lumenów. Dzięki tak wysokiej jakości, korzystając z projektora, nie trzeba już szczelnie zasłaniać pomieszczenia czarnymi zasłonami lub czekać z wieczorem filmowym na zapadnięcie nocy. Wielkość wyświetlanego obrazu waha się od 61 do 120 cali. Barwy są w tym przypadku bardzo dobrze odwzorowane. Świetny jest również współczynnik kontrastu, który wynosi 2500000:1. Czerń jest niemal idealna. Wystarczy dorzucić wygodne fotele oraz popcorn i można poczuć się jak w kinie.

Aby projektor mógł jak najlepiej zastąpić telewizor, Epson wyposażył testowany model w system Android TV. Takie rozwiązanie pozwala na zainstalowanie wielu różnych aplikacji służących do streamingu wideo lub/i audio, takich jak Netflix, Amazon TV czy YouTube.

Podstawową cechą odróżniającą projektor od przeciętnego telewizora jest dźwięk. Nawet w nowoczesnych telewizorach ze względu na ich konstrukcję nadal jest on „płaski". W testowanym modelu producent zastosował system dźwięku Yamaha, który daje o wiele lepsze odczucia. Nie jest to oczywiście dźwięk przestrzenny na poziomie, który zadowoliłby audiofila, ale jakość odtwarzanego przez ten projektor dźwięku stereo powinna dobrze sprawdzić się przy oglądaniu filmów czy programów telewizyjnych. Można również wyłączyć obraz i używać projektora jedynie do słuchania muzyki prosto ze smartfona.

Plusami są też stosunkowo cicha praca oraz dwa wejścia HDMI (w tym jedno ARC – audio return channel).

Wady? Po pierwsze, rozdzielczość mogłaby być jednak wyższa niż Full HD, zwłaszcza jeśli chce się wyświetlać obraz o wielkości 120 cali. Po drugie, projektor ma wyraźnie odczuwalne opóźnienie na wejściu HDMI, co nie jest dobrą wiadomością dla fanów gier komputerowych.

Mimo tych minusów testowany projektor ma cenę adekwatną do oferowanej jakości. Obecnie trzeba za niego zapłacić 7949 zł. ©℗

Jacek Przybylski

INTELIGENTNE ŁÓŻKO

Koncern Xiaomi zaprezentował nowy produkt: 8H Feel Leather Smart Electric Bed X Pro. Inteligentne łóżko jest wyposażone w dwa silniki służące do podnoszenia górnej lub dolnej części materaca. Możliwość zmiany kąta położenia pleców nawet o 60 stopni ma ułatwić komfortowe czytanie książek w pościeli lub oglądanie ulubionych seriali. Aby łóżko można było nazwać „inteligentnym", musi być też naszpikowane sensorami. I tak jest też w tym przypadku. Nowy produkt Chińczyków mierzy tętno podczas snu, zbiera też dane dotyczące oddechu i ruchów ciała. W razie wykrycia chrapania gadżet automatycznie podnosi materac pod plecami, aby ułatwić oddychanie. Sterowanie odbywa się za pomocą aplikacji, głosu lub pilota. Łóżko w przedsprzedaży kosztuje 6399 juanów, czyli równowartość 4,2 tys. zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„DRONIK" DLA FOTOGRAFÓW

DJI Mini 3 Pro to najmniejszy z dronów chińskiej firmy przeznaczony dla amatorów latania bezzałogowcami, a zwłaszcza dla miłośników podniebnych filmów oraz zdjęć. Nowy dron jest wyjątkowo lekki (waży mniej niż 250 g), a jednocześnie – według zapewnień producenta – oferuje dobrą jakość zdjęć (dzięki matrycy formatu 1/1.3", obiektywowi 24 mm f/1.7 i aparatowi o rozdzielczości 48 Mpix), zapis filmów w rozdzielczości 4K przy prędkości 60 kl./s, możliwość automatycznego śledzenia nagrywanych obiektów, czujniki wykrywające przeszkody wokół drona ułatwiające bezpieczne loty, a także akumulator pozwalający na lot trwający do 34 minut na jednym ładowaniu. Premiera: 17 maja. DJI Mini 3 Pro w najdroższej wersji z kontrolerem DJI RC kosztuje 999 euro (równowartość 4,6 tys. zł). Osoby, które mają już odpowiedni kontroler DJI, mogą kupić samego drona za 739 euro. ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl d61c8fc80f

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Sezon na szparagi

Sezon na szparagi jest krótki – trwa mniej więcej od końca kwietnia do czerwca. Szparagi to przedsmak lata. Gdy się pojawiają, to znak, że w ślad za nimi przyjdą świeże sałaty, rzodkiewki, truskawki z pola i inne różności. Nie wolno nam tego czasu przegapić! Zwłaszcza że szparagi są bardzo zdrowe.

Były bardzo popularne już w starożytnej Grecji – wówczas uważano je za afrodyzjak. Jednak prawdziwą popularność to wspaniałe warzywo zdobyło w renesansie. Pojawiało się na stołach ludzi bogatych, a także samych królów. Ludwik XIV ponoć kazał je sobie podawać tak często, że opracowano specjalną metodę uprawy szparagów w tunelach. Może czuł, że mu służą?

Szparagi to prawdziwa bomba witaminowa – suma substancji bioaktywnych jest pięć razy większa niż w wielu innych warzywach. Zawierają dużą dawkę potasu, wapnia i magnezu, kwasu foliowego oraz witaminę K. Powszechnie znane i najbardziej popularne są szparagi białe i zielone, które zresztą mają najwięcej cennych wartości odżywczych.

Mają też inną zaletę – są niskokaloryczne – to ok. 18 cal/100 g. Najpopularniejsze i najbardziej smakowite są szparagi białe. Kolor ten uzyskuje się w ten sposób, że pozostawia się je pod przykryciem ziemi, aby nie uległy fotosyntezie i jak najdłużej pozostały w ciemności.

Smak ich jest równie delikatny, są bardziej wydajne kulinarnie. Zielone szparagi możemy gotować bez obierania, białe musimy obrać delikatnie obieraczką albo małym nożykiem. Szparagi możemy przygotowywać na wiele sposobów. Posmarowane oliwą możemy grillować, zapiekać, np. w tartach czy cieście francuskim, smażyć czy gotować i mrozić, aby wykorzystać je później. Możemy również zjadać je na surowo. Należy pamiętać o tym, aby szparagi gotować odpowiednio krótko – ok. 10 min w wodzie z solą i cukrem, a na parze od 5 do 10 min. Dzięki temu nie będą łykowate. Możemy przygotować je po azjatycku w woku albo bardziej „po naszemu", czyli z bułką tartą i masełkiem.

Naszym sprawdzonym przepisem na szparagi białe są szparagi gotowane na parze z sosem holenderskim, a na szparagi zielone – zupa krem z grzankami oraz szparagi zapiekane w cieście francuskim. W każdym wydaniu są wyśmienite. Wykorzystajmy w pełni ten wspaniały czas dla naszego podniebienia. Delektujmy się szparagami, bo czas szybko mija, chwile są ulotne, a na następny sezon trzeba czekać cały rok.

Szparagi z sosem holenderskim

Szparagi myjemy, twarde, dolne części szparagów delikatnie obieramy, solimy. Gotujemy na parze ok. 15–20 min. Odcedzamy.

FOT. MAGDALENA M. KRUPA

Sos holenderski

• 3 żółtka • 150 g masła • 3 łyżki soku z cytryny • szczypta soli i pieprzu • Masło roztapiamy, żółtka ubijamy na parze, ostrożnie, tak aby żółtka się nie ścięły. Dodajemy sok z cytryny, sól i pieprz, następnie powolutku dolewamy roztopione masło. Cały czas ubijamy sos, aż zgęstnieje. Sosem polewamy ciepłe szparagi i podajemy np. z grzanką.

Smacznego! ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Wicekról sosów

FOT. ADOBE STOCK

Sezon sałat i szparagów otwarty, zatem vinaigrette. Podobnie jak inne adopcje z zagranicznych kuchni także ten sos otrzymał u nas dziesiątki nowych, swojskich interpretacji. Wśród nich językową: winegret. Trudno tego zabronić, każdy robi, jak chce, i każdy uważa swój pomysł za najlepszy.

Na początku od razu wyjaśnijmy, że gotowe dressingi pomijamy milczeniem. Wystarczy przeczytać listę składników na opakowaniu, żeby to świństwo zdyskwalifikować. Sos winegret należy zrobić w domu, tym bardziej że jest to dziecinnie proste. Nie ufam także sosom w restauracjach. Znajoma kelnerka w paryskiej – całkiem niezłej – knajpie powiedziała mi, że sos kupują gotowy w dużych pojemnikach. Inna sprawa, że w sałacie wcale nie był on taki zły.

Wersja kanoniczna winegretu: jedna trzecia objętości octu winnego, dwie trzecie oliwy, musztarda z Dijon, sól i pieprz. I teraz wariacje: jedni dodają cukier, inni majonez, jedni lubią sos mocno kwaśny, inni łagodniejszy. Ja osobiście od octu balsamicznego wolę sok z cytryny, oliwę uważam za zbyt ostrą w smaku i mieszam z częścią oleju słonecznikowego. Musztarda też niekoniecznie musi być dižońska, sarepska jest całkiem w porządku. Do szparagów i młodych sałat świetnie pasuje winegret z koperkiem. W latach 80. nauczyłam się tego od francuskich dyplomatów na placówce w Warszawie. Trzeba było Francuzów w Polsce, ojczyźnie koperku!

W domu moich rodziców – jak w wielu polskich domach ludzi starszego pokolenia – sałatę jadało się ze śmietaną. O winegrecie w czasach PRL nikt nie słyszał – ocet był tylko spirytusowy, o oliwie można było pomarzyć. Ale od niedawna odnotowuję oznaki powrotu do sałaty ze śmietaną – mody kulinarne lubią cytaty z przeszłości.

Do sosu do szparagów i zielonej sałaty zawsze dodaję przetarty przez praskę czosnek. Ile, nie powiem, żeby nie przestraszyć, zależy od osobistej tolerancji, ja mam wysoką (rozumiem jednak tych, którzy czosnku nie biorą do ust). W słoiku mieszam składniki: czosnek, sól, pieprz, cytrynę, oliwę, musztardę – mocno wstrząsam. Taki dresing można przechowywać w lodówce kilka dni. Jest świetny do wczesnych warzyw ugotowanych i podanych na zimno – młode kartofle, kalafior, szparagi, marchewka.

Wiosenne warzywa bez tego wicekróla sosów (tron dzierży beszamel) są bez sensu. ©℗

eprasa.pl d61c8fc80f

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Ojcowizna rodu Zawiszy

Skąd wywodził się ród sławnego Zawiszy Czarnego? Na takie dictum wszyscy odpowiadają chórem: z Garbowa. Nie jest to do końca prawda, bo – jak już pisałem w jednym z poprzednich felietonów – pod koniec życia, po zakupie zamku, sławny rycerz pisał się: z Rożnowa. Garbów zaś – obecnie Garbów Stary, położony w dawnym województwie sandomierskim – był wprawdzie miejscem jego urodzenia, ale tylko jedną z kilku posiadłości.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

RYS. JOBA

Zawisza i jego dwaj bracia – najstarszy Piotr zwany Kruczkiem i młodszy Jan Farurej – odziedziczyli po ojcu Mikołaju zaledwie kilka cząstek wsi; w XVII w. albo późniejszych czasach można by zaliczyć ich zaledwie do ubogiej, prawie zaściankowej szlachty, ot, tacy bogatsi krewni Dobrzyńskich z zaścianka opisanego w „Panu Tadeuszu". Zawiszowie posiadali zaledwie działy, czyli części pięciu wiosek: wspomnianego Garbowa, Siedlec, Winiar, Nagoszyna i Szymunowic.

Winiary znajdują się nieco na wschód, przy drodze 777 łączącej Zawichost z Sandomierzem, natomiast Nagoszyn to być może wzmiankowana w 1390 r. wieś leżąca na północ od Dębicy, w obecnym województwie podkarpackim. Szymunowice to z kolei zapewne obecne Szymanowice Górne i Dolne, położone koło Klimontowa w województwie świętokrzyskim. Położenia Siedlec nie udało mi się ustalić, na pewno jednak nie chodziło tutaj o miasto Siedlce na Mazowszu. Niestety, w żadnej z wyżej wymienionych miejscowości nie zachowały się żadne pamiątki z czasów, kiedy należały one do Zawiszy i jego braci.

Wspomniane części wsi zostały odziedziczone przez Zawiszów po ich ojcu Mikołaju, ten zaś – jak podaje Dariusz Piwowarczyk, autor biografii sławnego rycerza – z kolei przejął je po dziadku, Stefanie z Garbowa. Przejął po wydarzeniach, które śmiało nadawałyby się na karty średniowiecznego „Prawem i Lewem". Otóż otrzymał je w spadku po krewnych swej żony – pierwszym z nich był Pełka herbu Janina, który zamordowany został w 1381 r. na uczcie w Uniejowie przez kasztelana łęczyckiego Mikołaja w zwadzie o wynik polowania.

Kiedy z kolei Mikołaj zarąbany został przez służbę zabitego, jego brat Bernard w ramach zemsty rodowej zajął Uniejów i zrabował znajdujący się tam skarbiec arcybiskupa gnieźnieńskiego. Chociaż groziły za to banicja i ekskomunika, to uzyskał gwarancję nietykalności, jednak prawdopodobnie poległ w czasie wybuchłej wkrótce wojny Grzymalitów z Nałęczami.

Włości obu dostojników odziedziczył zatem mąż ich siostry, Stefan, dziadek naszego Zawiszy, po nim zaś jego syn, Mikołaj, ojciec bohatera. Niestety, ten z kolei wyruszył na krucjatę, międzynarodową wyprawę pod wodzą króla Węgier Zygmunta Luksemburczyka na Turków i... zginął w 1396 r. pod Nikopolis, pozostawiając synów w opłakanej sytuacji finansowej, a może i z długami. Wszak, aby pójść na wojnę, na którą wybierał się kwiat europejskiego rycerstwa, musiał się dobrze wyposażyć, a może i zaciągnąć długi.

Młodzi Zawiszowie byli zatem biedni niczym kalwaryjskie dziady. Zapewne dlatego nie podzielili włości, ale pozostawali w braterskim niedziale, korzystając wspólnie z dochodów przynoszonych przez części wsi; inaczej po prostu żyliby w nędzy.

O ich mizernej kondycji świadczy fakt, że w 1397 r. sprzedali część wsi Siedlce, aby kupić za to rycerski rynsztunek. Na uwagę zasługuje to, że pieniędzy starczyło tylko dla dwóch braci – Jana Farureja i Zawiszy. Najstarszy – Piotr Kruczek – pozostał w domu i umiejętnie gospodarując, starał się podreperować zrujnowaną fortunę rodową. Pozostali tymczasem udali się na służbę, która z chwałą rycerską miała mało wspólnego. Zaciągnęli się jako najemnicy do armii margrabiego Prokopa z Moraw, który prowadził wojnę z królem Zygmuntem Luksemburczykiem. Polegała ona głównie na pustoszeniu okolic Ołomuńca na Morawach, a Zawiszowie i ich towarzysze zmienili się w bandy raubritterów bezlitośnie mordujących i łupiących mieszkańców.

W 1399 r. oddziały margrabiego zostały zagrożone ekskomuniką, a – jak podaje Piwowarczyk – wśród rycerzy wymienionych w edykcie znalazł się nasz Zawisza Czarny, wprawdzie w doborowym towarzystwie Piastów śląskich i mazowieckiego księcia Siemowita IV. Dopiero po uwięzieniu Prokopa w 1402 r. nastąpił rozłam wśród jego popleczników. Część, jak Jan Farurej, udała się w poszukiwaniu służby na zachód, inni, jak Zawisza, wstąpili na służbę do niedawnego wroga – Zygmunta Luksemburczyka. Kariera Sulimczyka na dworze władcy to temat na zupełnie inną opowieść; dość przyznać, że doszedł do takich zaszczytów, że rodzinny Garbów i zapewne części innych wsi pozostawił bratu Farurejowi, córkę zaś zmarłego Piotr Kruczka spłacił. Sam od ok. 1425 r. tytułował się jako pan z Rożnowa, gdzie wykupił zamek rycerski. ©℗

eprasa.pl d61c8fc80f

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Suwenir przeczuwa

Coraz częściej pojawiają się dwa trendy w narracji. Pierwszy to – COVID nie ma. Po co ludzi straszyć? Było, minęło, zamknijmy księgi rachunków zwycięstw i ofiar. Ciągnięcie tego to z jednej strony „grzanie tematu" przez zainteresowanych, głównie ekspertów, którzy utracili nagle swoją sławę, po drugiej stronie mamy mieć kasandryczących foliarzy, którzy też nie chcą się pogodzić, że ich temat znika.

Drugim trendem jest wskazywanie na fakty pełzającego sanitaryzmu, co zdaje się być wypierane ze społecznej świadomości na podobnej jak wyżej zasadzie: dajmy już spokój, zapomnijmy. Po co nam przypominać (zwłaszcza o tym, że daliśmy się zmanipulować), a szczególnie bić na alarm, że nic się nie skończyło i powoli, w osłonie dymów wojennych, pandemia przeistacza się w systemowe rozwiązania niemające wiele wspólnego z epidemiologią – bardziej z kontrolą ludzi.

Pod koniec maja mamy mieć pierwszą przymiarkę do ogólnoświatowej regulacji oddającej – w razie dowolnej pandemii – rządy światowej spółce ONZ-WHO. 10 maja tego roku Parlament Europejski zadecydował o przedłużeniu do 30 czerwca 2023 r. ograniczenia prawa do swobodnego przemieszczania się i utrzymania certyfikatów szczepiennych. Ponieważ nie mają one praktycznie żadnego znaczenia epidemiologicznego jest to w rzeczywistości system kontroli społecznej na zasadzie kredytu społecznego. Władze po prostu przygotowują się do wprowadzenia systemu, w którym to będą mogły decydować o dostępie obywatela do „nowej normalności" (podróże, praca, dostęp do środków, szkolnictwo) i reglamentować wedle własnego uznania. To, że mamy do czynienia z tym systemem na bazie kompletnie bezsensownego kryterium zaszczepienia, nie ma tu nic do rzeczy. W takim systemie za „pożądane (przez władze) zachowanie" można już podstawić wszystko, np. poglądy polityczne, jak zrobił to premier Kanady, wyłączając protestującym dostęp do ich własnych pieniędzy.

Ja zawsze słucham opinii ludu. Ten w sensie praktycznym i taktycznym często się myli i daje manipulować. Ale w przeczuciach jest wspaniałym barometrem, w dodatku często karze rządzących swoimi wyrokami. Otóż z przeprowadzonych ostatnio badań (IBRiS dla Radia Zet) wynika, że 74 proc. Polaków obawia się, że obostrzenia covidowe wrócą na jesieni. W takiej masie to nie opinia, ale fakt społeczny, który łatwo można przerobić w stan rzeczywisty.

Tak że nie śmiejcie się z tych obaw, że sanitaryzm wróci. Wystarczy spytać „suwenira", ten rzadko myli się na temat tego, co władza jeszcze może mu zrobić. System „odkryty" w COVID wciąż stoi w trybie „stand by". A przycisk go włączający jest poza wolą ludu, co dowiodły dwa lata ostatnich (mam nadzieję, że niezapomnianych) wydarzeń. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Nękanie lekarzy

W naiwności swej myślałem, że nękanie przez Izby Lekarskie sygnatariuszy apeli domagających się dyskusji o zasadności polityki resortu zdrowia wobec COVID-19 rozmyje się, tak jak rozmyła się ta cała pandemia. Tymczasem młyny (nie)sprawiedliwości kręcą się pełną parą.

Przypomnę – chodzi o postępowanie dyscyplinarne wszczęte na skutek donosu (w aktach sprawy przywołana jest publikacja „Gazety Wyborczej") wobec sporej grupy lekarzy, którzy podpisali się pod listem otwartym poddającym krytyce politykę rządu, m.in. diagnozowanie na podstawie testów, zamykanie placówek opieki zdrowotnej, restrykcje sanitarne i masowe szczepienia.

Listów o podobnej treści, na różnych etapach tzw. walki z pandemią, było kilka. Łącznie lekarzy, którzy podpisali się pod tymi apelami, było ok. 400.

Prowadzenie postępowań przez rzecznika odpowiedzialności zawodowej wobec lekarzy tylko za poglądy jest czymś niespotykanym. Inkryminowanym bowiem zachowaniem nie są błędy lekarskie, przyczynienie się do kalectwa czy śmierci pacjenta, lecz domaganie się, właśnie w trosce o dobro pacjentów, naukowej weryfikacji drakońskich i nielogicznych zarządzeń. Choć w trakcie postępowań na uzasadnienie swojej postawy lekarze przedstawili raporty, badania, prace naukowe z prestiżowych branżowych periodyków, to nie zrobiło to wrażenia na rzeczniku Naczelnej Izby, lekarzu Grzegorzu Wronie, i na rzecznikach z okręgowych izb. Nie tylko istota zarzutów jest skandaliczna, ale postępowanie także prowadzone jest skandaliczne.

Nieuwzględnienie rejonizacji, odmowa wstępu na przesłuchanie pełnomocników, skandalicznie ograniczony dostęp do akt. Adwokat reprezentujący lekarza z Dolnego Śląska, gdy przyjechał 530 km do Warszawy, by zapoznać się z aktami, otrzymał kilka tysięcy stron, ułożonych kompletnie chaotycznie, w kilkudziesięciu tomach i tylko do wglądu, bez możliwości kserowania. Stojąca nad nim urzędniczka dała mu 45 minut – bo potem już przychodzi kolejny zainteresowany. – W 20-letniej praktyce, odwiedzając różne miejsca – od ABW, przez sądy, do prowincjonalnego komisariatu – nigdzie nie spotkałem takiej ordynarnej arogancji i buty – mówi pełnomocnik lekarza. Wobec widocznej gołym okiem kompromitacji pandemicznej polityki, nadmiarowych zgonów, nieskuteczności szczepień itd. wszystkie tezy nękanych dziś lekarzy okazały się słuszne. Wokół kwitną bzy i kasztany, świeci słońce, zniesiono restrykcje, wychodzą na światło dzienne kolejne szwindle, na których zbudowana była cała covidowa operacja, tymczasem samorząd lekarski brnie w to szaleństwo. Dlaczego? Złowrogim wytłumaczeniem tej gry jest prewencyjna rola postępowań, przed kolejną odsłoną sanitarnego terroru. ©℗

eprasa.pl d61c8fc80f

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Zakład o jedną Mariannę?

Nie przyszło to państwu do głowy? A jeśli oni z nas po prostu kpią? Jeśli tłusto wgniatając brązową skórę foteli, dźwigając na dolnych wargach cygara, siedzą i przyglądają się temu z cynicznym grymasem? Jeśli? Jeśli to po prostu zakład będący jednocześnie wyrafinowanym eksperymentem społecznym? Marianna Schreiber…

To nie może być na serio. Czyste szaleństwo nie może sobie tak spektakularnie hasać

Był taki film amerykański, niby komedia, ale w sumie nie do końca. W Polsce znany jako „Nieoczekiwana zmiana miejsc". Dwaj bardzo bogaci bracia spekulujący na giełdzie zakładają się o jednego dolara, tak – o jednego dolara, czy z ciemnoskórego agresywnego żebraka, który ciągle ma kłopoty z prawem, są w stanie zrobić prezesa ich firmy, a z prezesa ich firmy żebraka, który zaczyna popełniać przestępstwa. Żebraka, który przemienia się w prezesa, brawurowo gra Eddie Murphy. Już choćby z jego powodu warto film obejrzeć. Chodzi mi o tę część fabuły. Patrzę na żonę ministra Mariannę Schreiber, która najpierw występuje w tajemnicy przed ministrem w programie TVN „Top Model", potem wrzuca swoje roznegliżowane zdjęcia do sieci, przyznaje, że kochała kobietę, a teraz chce zakładać partię o nazwie Mam Dość, która, jak rozumiem, ma być w opozycji do partii, do której należy jej mąż, czyli do PiS. Jak rozumiem, pani Marianna ma dość PiS, ale męża chyba nie.

I co? Przyszło państwu do głowy, że ktoś się założył o jedno euro czy jednego dolara, że pani Marianna dostanie się do parlamentu w 2023 r.? Że ktoś za tym stoi? Ja tam oczywiście nie wiem. Ja na to patrzę i mnie się wydaje, że to nie może być na serio, że czyste szaleństwo nie może sobie tak spektakularnie hasać. A hasa. Zobaczymy. Jedno jest pewne, wielka miłość ministra Łukasza Schreibera góry może przenosić…

W mediach społecznościowych było w ubiegłym tygodniu trochę o czereśniach i burakach. Furorę robiło zdjęcie pierwszych czereśni w tym roku, które kosztowały, bagatela, 260 zł za kilogram. Do tego zdjęcia nawiązał w swojej politycznej jak najbardziej przemowie Donald Tusk, mówiąc, że minister Zbigniew Ziobro, którego działania mają nam blokować pieniądze z Unii Europejskiej i przynosić codziennie olbrzymie kary, jest „najdroższym ministrem świata, droższym niż czereśnie". W sumie zgrabnie. Lecz niestety, niestety, przyszła psuja Kukiz i perełkę Tuska zepsuła. Kukiz pytany o tę wypowiedź powiedział, że „Tusk jest mniej więcej w cenie buraka". Dodał, że i od Tuska, i od Ziobry chce być jak najdalej. Pewnie po prostu lubi mięso. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Divide, a wtedy zero z imperium

Małgośka, mówią mi, a ty z kim jesteś w kwestii wojny – z romantykami czy z realistami? To nasze podejrzliwe obwąchiwanie rodaka jest przejawem polskiej pasji tropienia i instynktowną próbą usadowienia zadka w bezpiecznej odległości od wrogiej bandy. Bez przerwy więc trwają przegrupowania, bo okazało się, że jeszcze za mało jesteśmy podzieleni i potrzeba więcej plemion! Oprócz kodziarzy i pisiorków, lewaków i prawicowców, sanitarystów oraz antyszczepionkowców potrzeba nam nowych wyzwań, czytaj: nowych wrogów wśród nas samych. Pocieszam się, że to nie jest nasza wina ani wada, tylko jeszcze jeden dowód republikańskiej i ułańskiej fantazji. U nas nigdy „ruki po szwam", bo ręce zawsze rozgestykulowane w gardłowych sporach i nocnych rozmowach Polaków.

A jednak codziennie podglądam, że można i TRZEBA inaczej. Oto zagapiona jestem w świetny serial o królowej Izabeli Katolickiej, która notabene powinna być już dawno wyniesiona na ołtarze, ale Żydzi jak nie zgadzali się za naszego św. JP II, tak do dziś nie pozwalają, aby Kościół ją beatyfikował (to jednak temat na inną opowieść). Podglądam więc z uporem, choć przecież niemało wiem na ten temat, jak małe księstwo kastylijskie stało się imperium, nad którym słońce nie zachodziło. I do dziś jest na tyle silne, że iberosfera jest większa rozmiarami od Rosji, a hiszpańskim jako ojczystym posługuje się 600 mln ludzi. Pomysł na imperium wydaje się zadziwiająco prosty: zamiast podziałów – koronkowy system sojuszy. Ziarnko do ziarnka, a uzbiera się lobby na pół planety. I przede wszystkim: okręcić wokół palca Rzym, bo papieże bywają różni, a wszyscy papieże to ludzie i nic, co ludzkie, nie jest im obce, a zwłaszcza pieniądze, wpływy i wianuszek podszeptujących doradców.

Wydawało się, że co jak co, ale przynajmniej w Rzymie jeszcze powinniśmy zachować jakichś lobbystów. Tymczasem niewykluczone, że już więcej mamy do powiedzenia w Patriarchacie Konstantynopolitańskim niż w murach Watykanu. Trudno też podejrzewać, aby sieć emisariuszy i lobbystów polskich opanowała Berlin, Paryż czy Jerozolimę. I tu znów przypomnieć muszę, że to oczywiście nie jest naszą wadą: ten brak sprytu i inteligentnej dyplomacji, bo to po prostu jako żywo pochodna ułańskiej i katolickiej fantazji, że „prawda się sama obroni". I tak już parę wieków wzniośle abstrahujemy od praxis i trwamy dumnie w przeświadczeniu i rojeniu o potędze Naszej Prawdy. A może by jej czasem tak po ludzku pomóc i nie zostawiać Prawdy samej na pastwę losu? ©℗

eprasa.pl d61c8fc80f

ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Co Rosjanie mają nam do powiedzenia?

Trwa wojna. Niewątpliwie to rosyjskie wojska są na terytorium sąsiedniego państwa – Ukrainy, a nie odwrotnie. To żołnierze Federacji Rosyjskiej „wyzwalają" kolejne wsie i miasta na Ukrainie, a nie odwrotnie. To rosyjskie bomby i rakiety spadają na domy i ludzi na Ukrainie – a nie Ukraina ani też nie NATO bombardują Rosjan.

To jest rosyjska agresja. Przedstawiana jest jednak w Rosji i przez Rosję chętnym odbiorcom na całym świecie (także w Polsce) jako bohaterska samoobrona, a nawet więcej: wojna, która ma wyzwolić nie tylko Ukraińców od „banderowskiego reżimu", zdenazyfikować ich od Mariupola do Karpat i Bugu, lecz także ma uratować świat przed jarzmem „atlantyckiej despocji" i realizowanego przez elity Zachodu „postkapitalistycznego projektu likwidacji człowieczeństwa". Tak mówią najtęższe głowy i piszą najlepsze pióra służące odwiecznemu imperium dobra, które znalazło swoje ostatnie schronienie w Moskwie.

Można posłuchać rozbudowanej argumentacji, która taką wizję podtrzymuje, w dostępnych na YouTube niemal codziennych wystąpieniach jednego z najwybitniejszych pisarzy współczesnych, Zachara Prilepina (jego arcydzieła, na miarę Dostojewskiego, takie jak „Klasztor" czy „Sańkja", są dostępne także w polskich przekładach) czy takich mędrców jak prof. Andriej Fursow, wieloletni dyrektor Instytutu Studiów Fundamentalnych i Stosowanych Uniwersytetu Humanistycznego w Moskwie. Nie ironizuję w tym miejscu. Świadomie odsyłam nie do tanich propagandystów Putina, ale do ludzi, którzy potrafią w najbardziej przekonujący sposób uzasadniać agresję wojskową Rosji jako światową misję wyzwolicielską. Część zachodnich odbiorców, z wyrafinowanych kręgów antyglobalistycznej prawicy, kupuje nawet znacznie gorszy jakościowo „towar", jaki na swoistym rynku uwielbienia Rosji Putina jako ostatniej nadziei dla świata oferuje Aleksandr Dugin.

Wszyscy oni – Dugin, Fursow, Prilepin, nawet Sołowjow czy sam Putin – odwołują się do przebogatych pokładów rosyjskiej kultury i myśli, z której czerpią swoje argumenty na rzecz tezy o konieczności walki ostatecznej z Zachodem, walki o imperium dobra. Takie argumenty można znaleźć u Puszkina – w jego największych dziełach: „Jeńcu kaukaskim" (sławiącym podbój Azji przez Rosję), „Jeźdźcu miedzianym", głoszącym konieczny triumf imperium nad jednostką, czy zwłaszcza w „antypolskiej trylogii lirycznej", zagrzewającej wojsko Mikołaja I do skutecznego rozdeptania „polskiego buntu" w roku 1831. Można takie argumenty znaleźć u Dostojewskiego, niemal w każdej z jego przesyconych kompleksami i nienawiścią do Zachodu powieści, ale szczególnie w jego „Dzienniku pisarza", wprost wyrażającym wolę dominacji nad światem i ostatecznego wytępienia „katolicko-polskiej hydry". Można znaleźć takie argumenty w powieściach i w publicystyce Sołżenicyna, który przecież z dumą przyjął order z rąk Putina – jako zbawcy wielkości Rosji. Można zaczerpnąć tej imperialnej buty i pogardy dla maluczkich narodów nawet u Mandelsztama (jego straszny wierszyk o polskich legionistach) czy u Brodskiego (jego wiersz „Na niepodległość Ukrainy"!). Można to wszystko podlać muzycznym sosem kantat Prokofiewa i Szostakowicza ku czci Stalina, wzmocnić wystrzałami artyleryjskimi, którymi kompozytor pedofil, Piotr Iljicz Czajkowski, ozdobił swoją uwerturę o zwycięstwie nad Europą z roku 1812. Można.

I trzeba dlatego pamiętać o tej stronie kultury rosyjskiej. Ona nie jest tylko niewinna, czysta, jak „Jezioro łabędzie" czy Tatiana z „Eugeniusza Oniegina". Ona tworzy fundament tej wojny, którą Rosja od wieków prowadzi ze światem. Stanowi zarazem potężną broń w tej walce o umysły wiernych wyznawców wiary w „świętą Ruś" czy „cara katechona" na całym świecie. Pisałem o tym zjawisku obszerniej w książce „Metamorfozy Imperium Rosyjskiego. Geopolityka, ody i narody".

Ale to nie jest cała prawda o tej kulturze. Nie możemy jej wyrzucić w całości do worka z napisem: „Trucizna". Nikt bowiem nie daje lepszej odtrutki na tę samą właśnie imperialną truciznę niż sami Rosjanie. Puszkinowi odpowiada Lermontow. Dostojewskiemu – Czechow. Prilepinowi – Siergiej Lebiediew, największy, moim zdaniem, talent współczesnej literatury światowej, oczywiście emigrant. Niech państwo poczytają, dostępne również w polskich tłumaczeniach jego powieści: „Granica zapomnienia", „Dzieci Kronosa", „Debiutant". Nie znam doskonalszego artystycznie rozrachunku z dziedzictwem morderczej działalności imperium. Znam natomiast i chcę przypomnieć tutaj, w odpowiedzi zasłuchanym w słowa Dugina, Fursowa, Putina czy Prilepina, twarde słowa, które rzucił przed 180 laty wspomniany Lermontow: „Żegnaj mi, Rosjo nieumyta, / Ojczyzno rabów, kraju panów / I wy, mundury policyjne / I ty, narodzie im sprzedany…".

Tego głosu nie zagłuszajmy. ©℗

eprasa.pl d61c8fc80f

EWAKUACJA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Praca w Białym Domu ustawia twoją karierę na lata do przodu i to niezależnie od tego, czy pracowałeś na posadzie kucharza, kamerdynera, rzecznika prasowego czy stroiciela choinek. Nie jest też ważne, ile czasu tam pracowałeś. Niektórzy prezydenci zatrudniają swoich przyjaciół na krótką chwilę, tuż przed końcem kadencji – tylko po to, by kolega miał z czego żyć do śmierci. Najzwyklejszy były elektryk z Białego Domu to szycha w gronie elektryków, bo przecież musiał być stosownie prześwietlony przez służby, aby nie wczepił w kable czegoś, co podsłuchuje, zakłóca, wywołuje pożary lub eksplozje. I potem taki zwyczajny elektryk może otworzyć nadzwyczajną firmę, która zabezpieczy okablowanie twojej firmy przed podsłuchem, pożarem i wybuchem. A skąd wiemy, że on się na tym zna? Pracował przy kablach w Białym Domu! A co tam konkretnie robił? Być może jedynie wymieniał przepalone żarówki, ale nikt tego nie wie na pewno, a sam zainteresowany nam niczego nie powie, bo obowiązuje go urzędowa tajemnica.

***

Do dowolnej, nawet najgorszej roboty w Białym Domu ludzie się PCHAJĄ. Niezmiennie od pokoleń. Mieć coś takiego w życiorysie to dobre pieniądze przez resztę życia. A teraz dzieje się coś niespotykanego – trwa ewakuacja z Białego Domu. Nie dotyczy jednak pracowników bez nazwisk – elektryk, stolarz i sprzątaczka pracują po staremu, ale pracownicy z nazwiskami, czyli aparat partyjny Partii Demokratycznej, wycofuje się i zaciera ślady.

Joe Biden zrobił się toksyczny, w dodatku nie zostawi po sobie politycznych następców, nie da się więc po skończonej kadencji pojechać dalej z Bidenem tak, jak dało się jechać z Clintonami i Bushami. Biden już teraz jest skończony politycznie, a za chwilę skończy się też jako człowiek z powodu wieku, nie warto więc przy nim trwać – tak myśli aparat partyjny demokratów. Cyniczne i praktyczne.

Demokraci próbują zrzucić wszystkie swoje winy na Joe Bidena – jemu już nic nie zaszkodzi, a partię trzeba ratować. Inflacja, kryzys paliwowy, najazd imigrantów, eksplozja przestępczości, tragiczne w skutkach odstąpienie Afganistanu Chińczykom oraz pakowanie Ameryki w wojnę z Rosją i wydatki na Ukrainę, która nie jest sojusznikiem USA (tak jak Tajwan czy Polska), lecz kompletnie obcym krajem, gdzie USA nie ma żadnych swoich interesów – każdą z tych win można przypisać konkretnym ludziom Obamy, bo to oni wystawili i obsiedli Bidena, ale teraz wszyscy wolą udawać, że robotę zawalił osobiście Biden, że to on rządził krajem, nie oni. Ha, ha, ha – rządził. Szczególnie po godz. 15, gdy kończy pracę i zapada w drzemkę.

***

Jesienią w USA wybory cząstkowe. Gdyby to rozwiązanie stosować w Polsce, wyglądałoby tak: co dwa lata jedna trzecia posłów i senatorów idzie do wymiany. Co to daje? Ciągłość pracy, bo nigdy nie wymieniasz wszystkich posłów naraz, oraz rzecz kluczowa – partie muszą bez przerwy brać pod uwagę zadowolenie wyborców, gdyż zawsze gdzieś w kraju trwa jakaś lokalna kampania, w której startują nasi. (Aby ten śliczny system działał, muszą istnieć wyłącznie okręgi jednomandatowe; żadnych partyjnych list!).

Konserwatyści w USA od lat postulują ograniczenie liczby kadencji, czyli likwidację zjawiska „polityk zawodowy". U nas zrobiłbym to samo. Władza nigdy nie powinna być ZASIEDZIAŁA. Od zasiedzenia tworzą się układy i ścieżki dojścia, powiązania trwałe i wieloletnie. Ile to już kadencji widzimy tego samego Jarosława czy dowolnego Ziutka lub Zdzisia? Ile? Zbyt wiele! Powinny być dwie kadencje i do domu. Pierwsza kadencja na próbę, druga w nagrodę od wyborców za dobrą robotę, a trzeciej kadencji nigdy nie będzie, bo nie chcemy istnienia odrębnej klasy politycznej – chcemy by to przedstawiciele narodu reprezentowali naród, a nie kasta polityków. „Polityk zawodowy" pasuje do dyktatury, do monarchii absolutnej lub do tyranii, ale nie do demokracji.

Delegat czy poseł to powinna być funkcja honorowa i krótkotrwała, a potem wracasz do normalnego życia, z którego przyszedłeś. Przykładowy Jarosław musiałby całe życie gdzieś pracować i coś umieć, musiałby w życiu czegoś dokonywać, czegoś niepolitycznego, a potem naród wybrałby go na krótko (maksimum na dwie kadencje) do tej wysoko honorowej roboty, jaką byłoby posłowanie. Po jej wykonaniu Jarosław wraca do normalnego życia narodu, z którego przyszedł. A w trakcie kadencji diety i wynagrodzenie wypłaca mu jego okręg wyborczy, a nie Warszawa. I jednemu posłowi płacą więcej, a innemu zatrzymują pensję, bo się leni, lub odwołują go ze stanowiska, bo sprzeniewierzył się obietnicom wyborczym. Takie mam marzenia, a każde z nich to rozwiązanie, które już gdzieś na świecie było lub jest stosowane, więc są to marzenia, a nie kompletne mrzonki.

***

Wróćmy do wyborów cząstkowych, które w USA będą jesienią. Demokraci spodziewają się, że mocno przerżną. Trwają właśnie różne kampanie i prawybory, na które Joe Biden NIE jest zapraszany, bo gdyby się pojawił i poparł kandydata demokratów, to by go utopił. Demokraci uciekają z Białego Domu, dystansują się od własnej polityki i własnego prezydenta. Ta ekipa się zapada, pogrąża i rozpierzcha.

Po co to wszystko opisałem? Żeby się pastwić? Nie! Polska ma wielu wrogów, a niewielu sojuszników. W dodatku wszyscy nasi sojusznicy są niepewni. Warto wiedzieć, kto jest niepewny w jakim zakresie. Ameryka jest obecnie naszą jedyną gwarancją, że do Polski nie wjadą Ruscy. Nie NATO podzielone wewnętrznie, nie nikt inny, tylko Ameryka, ale jej gwarancje wcale nie są mocne. Wystarczy jeden rozkaz lub brak jednego rozkazu z USA i zostaniemy sami. Ameryka jest obecnie mocno osłabiona oraz ma lichy i niepewny rząd w postaci Joe Bidena. Takie rzeczy trzeba wiedzieć i brać pod uwagę. Może się zdarzyć, że wobec ruskiej lufy będziemy musieli stanąć samotnie. Oby to się nigdy nie stało, ale trzeba być na to zawsze przygotowanym. ©℗

eprasa.pl d61c8fc80f

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIE PAKIET KSIĄŻEK

KS. P. GLAS, J. PULIKOWSKI: „OSTATECZNA BITWA O RODZINĘ", **OJCIEC PIO:** „SŁOWA ŚWIATŁA. NAJPIĘKNIEJSZE LISTY", **KARD. G. MÜLLER:** „JEDNOŚĆ WIARY. ODPOWIEDZIALNOŚĆ RZYMU ZA KOŚCIÓŁ POWSZECHNY" I **ABP. G. GÄNSWEIN:** „NA ROZDROŻU. JAKA JEST PRZYSZŁOŚĆ NASZEJ WIARY"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~948~~ ZŁ

348,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 598 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl d61c8fc80f

eprasa.pl d61c8fc80f